

W NUMERZE DODATEK
SUKCESY XX-LECIA
MIĘDZYWOJENNEGO

JANECKI:
NADCHODZI
ZOMBIE-LEWICA

MICHAŁ KARNOWSKI VS
JAN WRÓBEL
OSTRY SPÓR O TVP

ROKITA:
HAZARD
JOHNSONA



SIECI

NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE

Nr 31 (349) 2019
5–11 sierpnia

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)



KAMIL DURCZOK

W TRAKCIE SWOJEGO PIJACKIEGO RAJDU PRZEZ PÓŁ POLSKI MÓGŁ DOPROWADZIĆ DO KARAMBOLU I ŚMIERCI WIELU LUDZI. ALE JUŻ MA ZASKAKUJĄCO WIELU OBROŃCÓW WŚRÓD ELIT III RP

KULISY SKANDALU

CZY TĘ SPRAWĘ TEŻ SKRĘCĄ?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694







Nowy cykl krajoznawczy w tygodniku Sieci

SIECI

Już za tydzień

- Najciekawsze miejsca warte odwiedzenia
- Opisy i ciekawostki dotyczące zabytków
- Praktyczne informacje dla zwiedzających

Polecamy!



Pierwszy dodatek już 12.08.2019 r.

PARTNERZY DODATKU

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

DEMART

eprasa.pl d736cb0a63

Wszyscy musimy dziś stać przy lżonym Kościele i przy dźganych nożami, krwawiących księżach

Informacje o kolejnych świadomych i często nakręcanych przez opozycję akcjach lżenia świętych dla Polaków i katolików symboli, doniesienia o następnych wezwaniach do jakiejś bliżej nieokreślonej rozprawy z Kościołem toczą się ścieżką niemal równoległą z relacjami o napadach na kościoły, dźganiu księży nożami, przeorywaniu twarzy parafian różańcami. Można odnieść wrażenie, że skoro medialno-filmowe operacje przyniosły efekt ograniczony, to postanowiono uruchomić bojówki mające fizycznie zastraszyć księży i wiernych.

Oto moje niedawne doświadczenie: niedziela, kilkanaście dni temu, małe miasteczko w województwie zachodniopomorskim. Po mszy świętej chcemy zwiedzić piękny zabytkowy kościół. Siostra zakonna pozwala, ale nie za długo: „Straszny przyszedł w Polsce czas, mamy poczucie, że każdy kościół w każdej chwili może się stać ofiarą ataku, każdy z nas może zostać dźgnięty nożem. Dlatego kościół na razie jest zamykany pomiędzy mszami i modlitwami" – mówi ze smutkiem.

Tak, to straszny czas. Prześladowań? Szaleństwa? Nowego nazizmu? Nowego komunizmu? Na pewno czas mający cechy tamtych totalitaryzmów: nienawiści do chrześcijaństwa, Kościoła, księży, katolików, ciągłych oskarżeń, widzenia wyłącznie zła, które się wkradło, wylewania wiader pomyj, obelg, wyssanych z palca ohydztw. Przyszywania, jak to robili komuniści, faszyzmu każdej wiernej ewangelii i bezkompromisowej wypowiedzi biskupa.

Mądrzy ludzie wiedzą, że to wszystko jest częścią wielkiej operacji, w której wcale, a wcale nie chodzi o troskę o Kościół czy realną wiarę w zarzuty, które mu się stawia. Tu chodzi o chrześcijaństwo i polskość.

Słusznie zauważył niedawno prof. Marek Chodakiewicz: „Mamy do czynienia z nowym wcieleniem rewolucji – jest to tym razem »bolszewizm poniżej pasa«. [...] W wieku XX bolszewicy próbowali kolektywizować kobiety, promować masturbację oraz mrugać przyjaźnie do orientacji homoseksualnej. W Rosji bolszewickiej w latach 20. były sztuki pornograficzne w teatrach, demonstracje nagich ludzi, promocja otwartych małżeństw, rozwód był na »cyknięcie«" – mówił. Ale potem przyszedł nieznany w dziejach terror i zamordyzm. Bo – zauważył Chodakiewicz – „rewolucja obyczajowa nigdy nie zostaje na stadium chaosu, który się teraz promuje. Chaos czyni się po to, aby zniszczyć to wszystko, co stanowi esencję cywilizacji zachodniej i esencję polskości. Następny krok po zwycięstwie będzie nałożeniem jakiegoś ładu".

Czym może być ten nowy system? Bez względu na nazwę będzie – jak komunizm – oznaczał morze nieszczęścia i łez, bólu i cierpienia. Dobrze to nazwał 1 sierpnia abp Marek Jędraszewski: „Czerwona zaraza już nie chodzi po naszej ziemi, ale pojawiła się nowa, neomarksistowska, chcąca opanować nasze dusze, serca i umysły. Nie czerwona, ale tęczowa".

To ważne ostrzeżenia. Żeby się bronić, trzeba rozumieć zagrożenia. Ale musimy wszyscy czynić także rzeczy najprostsze. Musimy stać dziś przy lżonym Kościele i dźganych nożami, krwawiących księżach. Musimy tym bardziej chodzić do kościoła, angażować się w parafii, znaleźć czas, by powiedzieć księdzu i siostrze zakonnej, jak ważne jest dla nas to, co robią. Zdobyć się na gest sprzeciwu. To niby proste, ale znaczy bardzo dużo.

Bez względu na wszystkie nasze grzechy i słabości, pomyłki i upadki, a nawet osobiste żale – jest to dziś naszym zadaniem. Bo walka idzie o coś znacznie większego niż my. Niż ja.

Michał Karnowski



58/0319/F

eprasa.pl dla Copaco

SIECI spis treści



30 ***Białystok: krajobraz po bitwie***
Maja Narbutt



53--64 **Sukcesy XX-lecia międzywojennego** ***dodatek historyczny***



39 **Nagonka na księży katolickich w Polsce już trwa**
Jakub Maciejewski

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **OFIARA Z MISIŁY**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

14 **RÓWNOŚCIOWY MARSZ LEBIEGÓW**
Jan Pietrzak

15 **KTO JEST AGRESOREM, KTO OFIARĄ**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **MODNA POLSKA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **CZŁOWIEK Z PROCENTÓW**
Marek Pyza

KRAJ

30 **BIAŁYSTOK: KRAJOBRAZ PO BITWIE**
Maja Narbutt

36 **ZOMBIE-LEWICA**
Stanisław Janecki

39 **NAGONKA NA KSIĘŻY KATOLICKICH W POLSCE JUŻ TRWA**
Jakub Maciejewski

42 **Z OLGĄ SEMENIUK**
rozmawia Marcin Wikło

44 **Z JANEM OŁDAKOWSKIM**
rozmawia Marcin Fijołek

47 **POLEMIKA NA TEMAT TVP**
Michał Karnowski kontra Jan Wróbel

50 **WOJNY HYBRYDOWE XXI W.**
Grzegorz Górny

SIECI KULTURY

65 **WIELKI POWRÓT WOODY'EGO ALLENA „ARESZTOWANY"**
Łukasz Adamski

68 **SEZON NIE TYLKO W KORONIE**
Jolanta Gajda-Zadworna

71 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

72 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

74 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

76 **CZAS CHAOSU I WYCISZENIA**
Krzysztof Logan Tomaszewski

78 **CHOPIN – NIEZAWODNY MAGNES**
Adam Ciesielski

OPINIE

79 **Z TOMASZEM SZATKOWSKIM**
rozmawia Edyta Hołdyńska

82 **N JAK NAGRODA MEDIÓW PUBLICZNYCH**
Hanna Karp

ŚWIAT

84 **HAZARD JOHNSONA**
Jan Rokita

87 **OBIEKTYWIZM BEZOBJAWOWY**
Aleksandra Rybińska

GOSPODARKA

90 **CICHA REWOLUCJA NA UKRAINIE**
Marek Budzisz

94 **O CO CHODZI NIK?**
rozmowa z dr. inż. Alvinem Gajadhurem

NATURA DLA LUDZI

100 **JERZYK, PEKIN I KOMARY**
Przemysław Barszcz

PODRÓŻE

102 **MOJE SZLAKI: TADEUSZ BIEDZKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

103 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

104 **MALEJĄCA ŻĄDZA JURGIELTU**
Maciej Pawlicki

106 **WSZYSCY DO SEJMU?**
Wojciech Reszczyński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **TRZY KŁAMSTWA**
Aleksander Nalaskowski

109 **TOMY I TONY**
Wiktor Świetlik

110 **ZAPISKI NIE Z TEGO ŚWIATA**
Jan Pospieszalski

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **PRODUKCJA NIEWINNYCH**
Ryszard Makowski

113 **SERCE W CZŁOWIEKU PRZYSTAJE...**
Leszek Długosz

114 **KRAINA BUGU**
Katarzyna Zybertowicz

21/0619/F

eprasa.pl d736cb0a63


PGE
Zapewniamy energię
Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.
Dbamy o to, aby pod Twoim dachem nigdy
nie zabrakło dobrej energii.
Jesteśmy przy Tobie.
www.gkpge.pl



Sygnalista nadaje

Miasto Gdańsk na swoich oficjalnych stronach tak oto zaprosiło na obchody niemieckiej napaści na Polskę: „W niedzielę 1 września polsko-niemiecka delegacja pojawi się o godz. 4.45 na Westerplatte […]. Na godz. 15.00 zaplanowano »marsz życia«, czyli radosny pochód, który rozpocznie się nieopodal Teatru Szekspirowskiego. Stamtąd uczestnicy marszu przejdą pod Bramę Zieloną, gdzie zaplanowano koncert, tańce i wspólne świętowanie”. Później treść zaproszenia nieco zmieniono, ale smród pozostał.

To smród głupoty i wyjątkowej tandety, ale także zdrady pamięci o milionach zakatowanych, zamęczonych, udręczonych. „Pragniemy przypomnieć o dyskryminacyjnym charakterze Wolnego Miasta Gdańska wobec Polonii, o tragicznym losie obrońców Poczty Polskiej i Westerplatte, jak również o tym, że tereny województwa pomorskiego stały się już w pierwszych miesiącach II wojny światowej polem ludobójstwa (Zbrodnia Pomorska 1939)” – przypomniał władzom Gdańska w specjalnym oświadczeniu IPN. Cenne słowa nie znoszą jednak obawy, że na którymś etapie ktoś tam wpadnie na pomysł, by postawić pomniczek np. katom z Piaśnicy. W odniesieniu do władz Gdańska nie ma już słowa „niemożliwe”.

Głos w sprawie zabrał poseł mniejszości niemieckiej Ryszard Galla, który nie ukrywa żalu, że Polakom nie podoba się pomysł „świętowania” 1 września. „Dla mnie to jest nienormalne. To brak zrozumienia, jakiego rodzaju są to uroczystości i czemu dokładnie mają służyć” – stwierdził Galla, wspominając jednocześnie o „antyniemieckiej fobii”. Znów notują nazwiska?

Władze Gdańska z jednej strony eksponują niemczyznę, z drugiej ślą pozwy. Pozywają tygodnik „Sieci” za pytanie: „Czy Gdańsk chce do Niemiec?”, chcą też sprostowania od „Wiadomości”. Chodzi o następujące sformułowania: „Władze miasta Gdańska otwarcie gloryfikują nazistowską kartę w historii Gdańska”; „Władze miasta Gdańska przypisują Polakom współodpowiedzialność za wybuch II wojny światowej”; „Władze miasta Gdańska odwołują się do nazistowskiej spuścizny”. Trudne zadanie przed miejskimi prawnikami. Bardzo trudne.

Tomasz Lis zaczął regularnie publikować na łamach „Faktu”. Widocznie niemieckojęzyczni właściciele gazety uznali, że nie dość jasno komunikują swój wstręt do obecnej władzy, i coś z tym trzeba zrobić. Redaktor naczelny „Newsweeka” nie zawiódł. Na początek postanowił skłonić wyborców PiS do refleksji. To, że uznano, iż Lis może jakiekogokolwiek wyborcę dobrej zmiany skłonić do zmiany stanowiska, naprawdę wiele mówi o kondycji opozycji.

Lis twierdzi, że wyborcy PiS „bagatelizują oczywiste kłamstwa i nadużycia władzy”. I pyta: z czego wynika to przyzwolenie. „Sądzę, że głównie z wdzięczności za 500+. Nie lekceważę tego ich poczucia. Raczej mam pretensje do poprzedników PiS-u, że nie podzielili się ze społeczeństwem owocami wielkiego sukcesu Polski. Ale powiedzmy sobie szczerze, to 500+ Polakom się po

Paweł Kowal powalczy o mandat poselski z list Koalicji Obywatelskiej. „Zdecydowałem się kandydować, bo mam poczucie, że czas jest trudny, i chciałbym kiedyś po latach móc powiedzieć, że ze swojej strony zrobiłem wszystko, co możliwe, czego może ode mnie ktoś oczekiwał”. Dlaczego próby „reformy PiS” zawsze kończą się tak samo?

eprasa.pl d736cb0a63

prostu należy". Dla władzy powiedzą wszystko, nawet jeśli oznacza to skrajne upodlenie własnej osoby.

Lis twierdzi, że „ludzie władzy zachowują się bardziej bezczelnie niż aparatczycy PZPR, a pieniądze należące do podatników traktują w wielu wypadkach jak własne". Dowody? „Nadużycia popełniane przez marszałka Kuchcińskiego są tu doskonałym przykładem". Może to nadużycia, może niezręczność, a może po prostu histeria? Bo ważne są proporcje: typowy pisowiec myśli, jak zabrać rodzinę na pokład rządowego samolotu, albo jak zatrudnić gdzieś kuzyna, a typowy platformers, jak zarobić na sprzedaży Orlenu, Lotosu czy PKP Energetyka.

Właścicielka małego pensjonatu na Podhalu mówi tak: „Od lat przyjeżdżają tu bardzo różni ludzie, i z południa, i z zachodu, i ze wschodu. I biedniejsi, i bogatsi, wierzący i niewierzący. Ludzie mają różne poglądy, ale dziś wszyscy właściwie mówią to samo: jeszcze nigdy nie żyło się w Polsce tak dobrze, jeszcze nigdy nie było tak dobrego czasu. To i słychać, i widać". Czy na tym tle apele Lisa mogą być skuteczne? Polacy są mądrzejsi, niż sądzi protekcjonalny salon.

Ale są też tacy, którzy biedują. ***Jan Rulewski*** pożalił się „Super Expressowi": „Za komuny, kiedy byłem prześladowany, więcej się na polityce dorobiłem niż teraz. Miałem wtedy w wieku trzydziestu paru lat już dom. Od kiedy działam w Senacie, nie odczuwałem, ile zarabiam. Dopiero po tej obniżce po raz pierwszy poczułem, że na koniec kariery zabrano mi kasę. Zabrano mi dobre wczasy na których nigdy nie byłem, a chciałem polecieć z żoną do Chin. Zabrano mi około 42 tys. zł za ten cały okres, czyli 1,5 roku. A chciałem za to poznać Chiny". Niech mówią, więcej nie trzeba nic.

Iwona Śledzińska-Katarasińska podzieliła się z „Wyborczą" pomysłami PO na media publiczne po ewentualnym zwycięstwie wyborczym. Jeśli chodzi o dziennikarzy, to postawione ma im zostać ultimatum – aby dalej pracować, będą musieli podpisać nowy kodeks etyki dziennikarskiej. Ale już wiadomo, że w nowej TVP nie znajdzie się miejsce dla Danuty Holeckiej, Michała Adamczyka ani Krzysztofa Ziemca. „Według mnie nie, bo nie spełniają wymogów kodeksu etyki dziennikarskiej: obiektywizmu, niezależności, pluralizmu. Ale pragnę uspokoić – nie politycy będą to oceniali". Tak działa III RP – politycy nic nie muszą, robi się samo.

Śledzińska-Katarasińska oceniła, że przeprowadzenie rewolucji w TVP opozycji zajmie trochę czasu, bo wszystko ma być zgodnie z prawem. Ta deklaracja oburzyła Wojciecha Sadurskiego. „Rok zajmie Platformie po ewentualnym zwycięstwie, by wykarczować dzisiejszą manipulację i pozbyć się dzisiejszych manipulantów z TVP, mówi Iwona Śledzińska-Katarasińska w »GW«. No ta ja bardzo dziękuję za takie zwycięstwo, drogie żółwie!". Skoro dziękuje, to trudno, cóż poradzić.



Inny pomysł ma ***Jerzy Owsiak***. „Możemy pisać petycje, możemy zbierać podpisy, możemy wynająć kancelarię prawną, ale chyba lepiej będzie, jak po prostu wyłączymy telewizję publiczną" – ogłosił, dodając: „Ja, gdańszczanin, zwracam się z uprzejmą prośbą do wszystkich gdańszczan w Polsce i na całym świecie, abyśmy jednym, wspólnym czynem, raz na zawsze wyłączyli w swoich telewizorach programy telewizji polskiej". To dziwny komunikat, bo wydawało się, że wszyscy przyzwoici ludzie już dawno wyłączyli. Po co więc te apele?



Kazimierz Marcinkiewicz ogłosił, że odchodzi z życia publicznego. Wyjaśnia dlaczego: „Nie da się normalnie żyć z stalkerką na głowie. 10 lat temu popełniłem błędy i wiem, że muszę za nie zapłacić, ale nie mogę płacić całym swoim schodzącym już przecież życiem. Stalkerka poniża mnie, szydzi ze mnie, kłamie na mój temat już ponad cztery lata, bez umiaru i bez opamiętania i nie ma zamiaru się zatrzymać". Każdy płaci za swoje błędy, ale w jednym zgoda: tym razem cena jest wyjątkowo wysoka. Być może dlatego, że zdrada była szczególna.



Antoni Macierewicz w TVP Info tak mówił o Powstaniu Warszawskim: „Byliśmy już po akcji »Ostra Brama«, po działaniach sowieckich na terenach polskich [...] wszędzie realizowano ten sam scenariusz okupacyjny. Warszawa wiedziała, że jeżeli sama nie wywalczy wolności, to czeka nas nie mniej okrutna okupacja". Sławomir Cenckiewicz skomentował tę wypowiedź na Twitterze, krótko: „Co za bzdury". Można tylko dodać: co za człowiek.



Zdaniem abp. Marka Jędraszewskiego to z powstańczych mogił narodziła się wolna Polska. „Trzeba było długo na nią czekać. [...] Czerwona zaraza już nie chodzi po naszej ziemi, ale pojawiła się nowa, neomarksistowska, chcąca opanować nasze dusze, serca i umysły. Nie czerwona, ale tęczowa" – mówił metropolita krakowski w homilii. Jeśli wciąż mamy takich kapłanów, Polska jeszcze nie zginęła.

Fot. Fratria, Andrzej Wiktor, Mateusz Zalnik, Julita Szewczyk

eprasa.pl d736cb0a63

Ofiara z Misiły



KRZYSZTOF FEUSETTE

Szanowni towarzysze i szanowne towarzyszki z ulicy Czerskiej, my członkowie i członkinie Tajnego Stowarzyszenia LGBT-owców i LGBT-owiec, pragniemy wam z całego serca podziękować – za wszystko, co robicie dla naszego ruchu zmierzającego do całkowitej eliminacji Kościoła katolickiego z życia publicznego w Polsce oraz na świecie. Niech żyje Nergal. Bo jakby nie żył, to nikt inny wam nie wybaczy tego, jak wspaniałą rozpętaliście nagonkę. Na, jak oni to mówią, Boga, honor i ojczyznę. Bo to są naczynia połączone: kto pluje na Matkę Boską, pluje na ten kraj, jak my to mówimy, więc honoru, ich zdaniem, nie ma. To są na szczęście wszystko pojęcia nam obce, mamy lepsze. Aborcja – niech żyje. Pornoedukacja dzieci – niech żyje. Plucie na katolików – niech żyje. Więzienie dla przeciwników i wyrzucanie ich przez okna – niech żyją.

Zresztą, co my wam będziemy tłumaczyć, skoro to właśnie wy nam to tłumaczycie. Niedawno żeście dali jednego tylko dnia 20 materiałów poświęconych LGBT. Za każdy dziękujemy najpiękniej, jak umiemy, czyli wiecie jak. Bo albo my Kościół, albo Kościół nas. Możemy sobie snuć baśnie o LGBT-owcach chodzących ma msze, ale dobrze wiemy, że chodzić do kościoła mogą wyłącznie normalni geje i lesbijki, a nie chłopaki w psich maskach i smyczą w czterech literach, tych na „D", nie na „L". Bez rozbicia Kościoła metodami smarzowskimi oraz sekielskimi nie poszerzymy, za przeproszeniem, grona naszych wyznawców, którzy gejami, lesbijkami, transami czy biseksami nie są. Oczywiście, może być coś na rzeczy w tym spostrzeżeniu, że niezależnie od nauki Kościoła gej to w Polsce zawsze będzie gej. I albo się z tym pogodzi i nie będzie afiszować, podobnie jak nie afiszują się z własną orientacją seksualną ci zboczeni heteronormatywni, albo opuści tereny nadwiślańskie i poleci szukać dziecka do adopcji gdzie indziej. Może bliżej Jugendamtów. Najwyższy czas zakrzyknąć: dosyć tego! Wspomniany Człowiek Pies wrzeszczący o chęci wychowywania nie swojego potomstwa musi przestać być dla społeczeństwa kimś poniżej dopuszczalnego zakresu debilizmu, podobnie jak jego koledzy wypinający to, co mają najcenniejszego – w stronę rodzin z dziećmi. To wszystko musimy przewalczyć – jak to mówią seksedukatorki – sposobem.

Dlatego raz jeszcze dziękujemy „Gazecie Wyborczej" za wszystko, co robi dla naszego ruchu. Nigdy wam nie zapomnimy, jak pięknie promowaliście „artystę" przebranego za motylka, który „założył obcisłą koszulkę, rajtuzy, na głowę – druciki z piłeczkami pingpongowymi imitujące czułki, a na plecy skrzydła. Stanął na trasie procesji z okazji Bożego Ciała, a gdy ta zrównała się z nim, zaczął podskakiwać i biegać wokół wiernych i księży". Był waszym bohaterem. Podobnie jak lżący modlących się na Krakowskim Przedmieściu niejaki Beton czy Taras, w każdym razie z ramienia Palikota. I ta wasza cudowna postępowość oraz otwartość, według której kobieta w stałym związku musi co pół roku robić badania na HIV. Tak z ciekawości – naprawdę w tych sprawach aż tak wam nie idzie? Aż tak rozłożyste macie rogi lub nogi, że musicie badać się co pół roku? I to dlatego „aborcja jest OK", „wagina" musi być „wyklęta", a Blumsztajn, choćby się zesr...ł, to i tak nie urodzi? Nie szkodzi, i tak jesteście boscy.

A jak cudownie lansowaliście innego „artystę", tego, co na golasa w homoseksualnych pozach przytulał się do figury Chrystusa na krzyżu. To też była sztuka nowoczesna. A potem „Klątwa", odważna i świeża. Może i zbiórka na zabójstwo niepotrzebna, no, ale w końcu chodzi o Kaczyńskiego, więc to tylko spektakl. Seks oralny z figurą Jana Pawła II też nie przeszkadzał za bardzo. Kolenda-Zaleska jednej łzy nie uroniła, że krzywdzą papieża, bo przy „Pożarze w burdelu" w TVN musiałaby całe oczy wypłakać – gdy obrażano ze sceny Wandę Półtawską tylko dlatego, że była przyjaciółką Karola Wojtyły. A o Polsce mówiono, że to „zdzira". Aż dziwne, że TVN nie zamówił drugiej części.

Potem już poszło. Podleśne kobitki zaczęły Matce Boskiej tęczową ścierkę zamiast aureoli wciskać, świniopas Jego Ekscelencji Donalda I Śmiesznego popluł się o świniach na uniwersytecie, sam Jego Ekscelencja drwił z tych, którym tęcza zamiast aureoli nieładnie pachnie, a na koniec cipkoartystka zaczęła sprzedawać jakieś „maryjki". I co? I za wszystko zapłacił tradycyjnie frajer ze spóźnionym nie tylko zapłonem, niejaki Piotruś Pan Misiło, ksywka „Grzywka". Wybiegł z piskiem: „Mnie! Mnie zróbcie kozłem ofiarnym. Ja już nie chcę być zwyczajnym baranem!". No, to zrobili. Bo obecnie, w związku z wynikami wyborów, jednak „tęcza już obraża". Nawet Platformę.

No i stąd ten list. Chodzi o to, że Misiło miał jeszcze niedawno poważne ambicje medialne. Chciał zostać prezesem TVP – żeby zrobić czystkę zgodnie z waszymi wytycznymi. A teraz, po tej głupiej tęczy (to znaczy: nie tęcza jest głupia, tylko źli ludzie, którym przeszkadza wpisywanie w nią znaku Polski Walczącej), na chwilę obecną, w związku z przejściem całej opozycji do tzw. chadecji, nikt go nie chce znać. Już wierszyki krążą po Wiejskiej: „Kto to jest – nikt go nie kojarzy, ani z szopy, ani z twarzy?". Więc może, jako nasz ulubiony organ, dalibyście mu coś na przeczekanie, żeby się chłopina z tej samotności naprawdę na homoseksualizm nie przestawił? Może jakąś stałą rubrykę z poradami? Choćby dla fryzjerów?

48/0719/F

eprasa.pl d736cb0a63

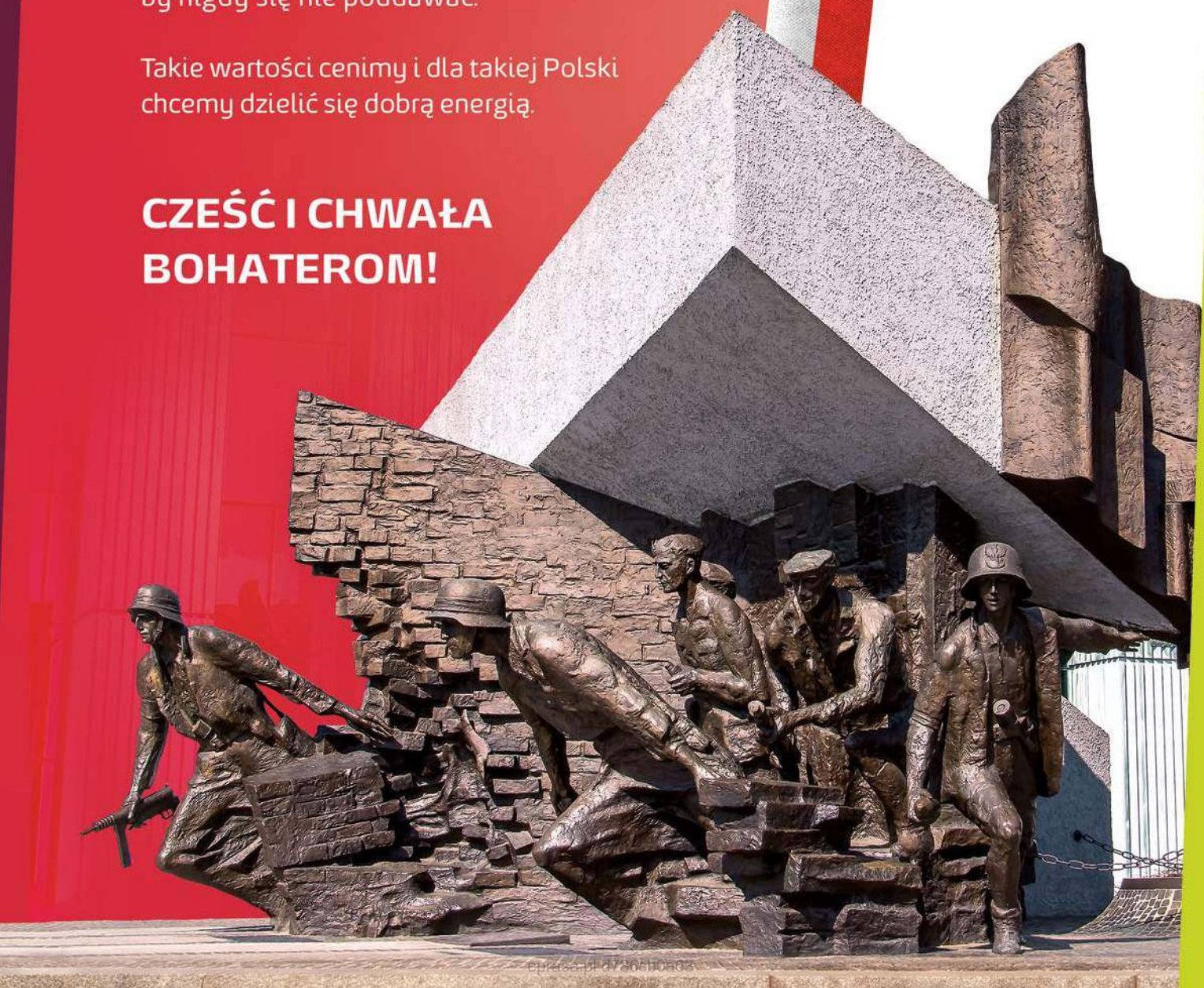
Taką energię pamiętamy!

Energa

O poświęceniu naszych przodków
w imię ojczyzny nie należy zapominać.
Pamięć o ich niezwykłych czynach
przekazujemy z pokolenia na pokolenie
od 75 lat. Z ich bohaterskiej historii
czerpiemy odwagę i inspirację,
by nigdy się nie poddawać.

Takie wartości cenimy i dla takiej Polski
chcemy dzielić się dobrą energią.

CZEŚĆ I CHWAŁA BOHATEROM!




PROCHY
ŻOŁNIERZY AK



POWSTANIE POLSKIE

Coraz łatwiej, ale jednocześnie coraz trudniej opowiadać o Powstaniu Warszawskim. Z jednej strony już jakaś elementarna wiedza o 63 dniach wolności latem 1944 r. w Polakach jest. I to nie tylko w Warszawie. Godzina „W" powoduje, że przystaje już nie tylko stolica, lecz robią to również inne miasta. To budujące.

Jednak jest inny problem i nic na niego nie poradzimy. Minęła 75. rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego. Ci jego uczestnicy, którzy żyją, to ludzie dzisiaj blisko stuletni. Odchodzą niemal codziennie i będą odchodzić. Czy będzie komu opowiadać tę historię, gdy Ich już nie będzie? Wielka jest tutaj rola do odegrania dla harcerzy, których powstańcy wskazali jako spadkobierców etosu Armii Krajowej.

Jednak żadna instytucja nie zadba tak dobrze o pielęgnowanie tradycji i przekazywanie prawdy historycznej jak rodzina. To w domach odbywają się codzienne lekcje, to przy wspólnych obiadach rozmawia się o tym, co ważne. Co naprawdę ważne. Mówić trzeba, należy też dzieci zabierać na powstańcze uroczystości, by chłonęły wyjątkową atmosferę tych spotkań. Nawet jeśli dzisiaj niewiele z tego rozumieją, to za kilka lat będą chociaż wiedziały, o co zapytać.

Naszym narodowym obowiązkiem jest opowiadanie historii Powstania Warszawskiego nie tylko w Warszawie. Mają rację historycy, przypominając, że to był nie tylko bój o miasto, to była walka o wolną Polskę. Wytyczoną wówczas linią powstańczych barykad, niewielką, ale przez 63 dni prawdziwie wolną.

Marcin Wikło, fot. Andrzej Skwarczyński

Ukraina

Energetyczny przyczółek



Amerykańskie firmy z branży węglowodorów zaczynają się interesować obecnością na Ukrainie. Sprzyja temu administracja prezydenta Zełenskiego i rząd w Kijowie, które chcą zmniejszyć energetyczną zależność kraju od Rosji. To dopiero początki, ale wiele wskazuje, że w Waszyngtonie patrzą na to przychylnie. Nie bez powodu na inauguracji prezydenta Zełenskiego Stany Zjednoczone reprezentował wywodzący się z Teksasu minister Rick Perry, w amerykańskim rządzie odpowiadający za ropę i gaz.

Na początku lipca, jak informował Reuters, amerykański tankowiec Visdom Venture wyładował w Odessie 80 tys. ton amerykańskiej ropy naftowej. Pod koniec miesiąca planowany jest następny transport, a w sierpniu kolejny. Jak powiedział cytowany przez agencję anonimowy trader działający na rynku ropy naftowej: „Ukraiński przemysł rafineryjny podnosi się właśnie z popiołów wraz z początkiem kadencji nowego prezydenta Zełenskiego". Amerykanie są bardzo aktywni na europejskim rynku, na którym zwiększyli sprzedaż o połowę. Ukraina jest krajem, którego nie zamierzają przeoczyć.

Tej ekspansji sprzyjają ukraińskie władze. W wyniku wspólnej decyzji rządu i administracji prezydenta Zełenskiego Ukraina wprowadza właśnie specjalne cła na importowanego diesla produkowanego w rosyjskich rafineriach. Decyzja ta ma również wymiar wewnętrzny, bo na transporcie rosyjskich produktów naftowych zarabia firma Wiktora Medwedczuka, lidera drugiej pod względem wielkości frakcji w Radzie Najwyższej, polityka otwarcie prorosyjskiego. Jednak nie ulega wątpliwości, że władze w Kijowie, zwłaszcza po tym jak Moskwa w ramach kolejnych sankcji wprowadziła ograniczenia na eksport na Ukrainę rosyjskich węglowodorów, są zainteresowane dywersyfikacją źródeł zaopatrzenia w surowce energetyczne.

W ostatnich dniach lipca rząd Ukrainy poinformował, że zwycięzcą postępowania koncesyjnego na eksploatację największej działki w szelfie kontynentalnym, jaka dotychczas została wystawiona na przetarg, jest amerykańska firma Trident Acquisitions. Została ona założona przez Ilję Ponomariowa, jedynego deputowanego do rosyjskiej Dumy, który głosował przeciw aneksji Krymu, a następnie emigrował na Ukrainę, gdzie uzyskał obywatelstwo. W ub.r. firma zadebiutowała na amerykańskiej giełdzie NASDAQ, i pozyskała 200 mln dol. kapitału. Ponomariow już zapowiedział, że w razie prób blokowania przez Rosję rozpoczęcia wierceń firma, która jest w świetle prawa w 100 proc. amerykańskim podmiotem, wystąpi o ochronę do amerykańskiego rządu.

Marek Budzisz

Fot. Yannick Morelli / Shutterstock

Niemcy

Kościoły tracą wiernych

Kościoły zarówno katolicki, jak i ewangelicki w Niemczech tracą coraz więcej wiernych. Według niemieckiego episkopatu w 2018 r. Kościół katolicki opuściło ponad 216 tys. wiernych. To prawie 29 proc. więcej niż w roku 2017. Sekretarz generalny episkopatu o. Hans Langendörfer SJ mówi o „niepokojących statystykach". Jeszcze więcej wiernych stracił w tym samym czasie Kościół ewangelicki – 220 tys. Z sondaży i prac studyjnych na ten temat wynika, że głównym powodem opuszczania wspólnoty kościelnej jest oddalanie się wiernych od Kościoła i kryzys jego wiarygodności.

W przypadku Kościoła katolickiego wiele osób jako powód podaje niezgodne z duchem czasu nauczanie w zakresie moralności seksualnej, nierówne traktowanie kobiet, homoseksualistów oraz osób, które ponownie zawarły związek małżeński. Według pracy studyjnej przeprowadzonej na zlecenie diecezji Essen inne podawane motywy to: podatek kościelny, brak poczucia wspólnoty, kryzys wiary i skandale.

Kurcząca się liczba wiernych obu największych Kościołów ma także podłoże demograficzne. Od dłuższego czasu liczba pogrzebów przewyższa liczbę chrztów. W 2018 r. liczba niemieckich katolików zmniejszyła się łącznie o 309 tys. i wynosi 23 mln. Liczba ewangelików zmniejszyła się o 395 tys. do 21,1 mln. Niemcy liczą 82,7 mln mieszkańców. W ten sposób łączny odsetek wiernych obu największych kościołów chrześcijańskich w niemieckim społeczeństwie zbliża się do granicy 50 proc. W 2018 r. odsetek ten wyniósł 53,2 proc., rok wcześniej 54,2 proc. Według prognoz do 2060 r. populacja chrześcijan w Niemczech skurczy się o połowę.

Na początku lipca grupa wiernych z niemieckiej stolicy napisała list do arcybiskupa Berlina Heinera Kocha, w którym zaapelowała o powrót do „nauczania Jezusa Chrystusa" i przeciwstawienia się próbom „stworzenia innego kościoła, sprzecznego z doktryną". Według sygnatariuszy listu – m.in. lekarzy, inżynierów, dziennikarzy i sędziów – „niektórzy przedstawiciele Kościoła katolickiego w Niemczech bronią pozycji niezgodnych z naszą wiarą". „Przyjęcie protestanckiego modelu nie rozwiąże problemu pustych kościołów" – ostrzegają.

Aleksandra Rybińska



Fot. 1Adesia1 / Shutterstock

eprasa.pl d7



Fot. Dhalle / Shutterstock

Erytrea

Chrześcijanie w totalitarnym świecie

Rząd Erytrei nakazał zamknięcie wszystkich 22 ośrodków służby zdrowia – szpitali, przychodni i klinik – należących do Kościoła katolickiego w tym kraju. Pacjenci zostali przymusowo usunięci z placówek, a przy wejściu ustawiono żołnierzy, by nie wpuszczali nikogo do środka. W ten sposób bezpłatnej opieki medycznej pozbawiono ok. 170 tys. mieszkańców (bez względu na ich wyznanie).

Działania władz nie ograniczyły się jedynie do zamknięcia wspomnianych ośrodków, lecz także do ich konfiskaty przez państwo. Biskupi katoliccy w Erytrei wysłali w tej sprawie ostry list protestacyjny do rządu w Asmarze, lecz otrzymali równie twardą odpowiedź. Rządzący odpisali, że respektują jedynie (nieegzekwowane do tej pory) prawo z roku 1995, które mówi, że wszystkimi usługami socjalnymi, łącznie ze szkolnictwem i służbą zdrowia, musi zarządzać państwo. Ich zdaniem działalność organizacji religijnych w tych obszarach oznacza dyskryminację przedstawicieli innych wyznań.

W rzeczywistości to reżim prezydenta Isajasa Afewerkiego, uważany za jeden z najbardziej autorytarnych na świecie, dyskryminuje chrześcijan. W Erytrei panuje ustrój totalitarny, niewiele mniej opresyjny od północnokoreańskiego. Komisja ONZ ds. praw człowieka stwierdziła w 2016 r., że rząd w Asmarze jest winny „zbrodni przeciwko ludzkości". Więzienia są tam pełne politycznych skazańców, a tortury stały się powszechną praktyką. Władze zezwalają na istnienie jedynie czterech religii: islamu sunnickiego, prawosławia, katolicyzmu i luteranizmu. Podlegają one jednak ścisłej kontroli państwa. Inne wyznania są surowo zabronione. Najwięcej jest muzułmanów (51 proc.), a najmniej katolików (5 proc.). Ci ostatni boją się, że rząd może wkrótce zamknąć także 50 zarządzanych przez nich szkół i 100 żłobków.

Wiadomości o prześladowaniach docierają z Erytrei sporadycznie z powodu blokady informacyjnej władz. Ostatni korespondent zagraniczny został wydalony w 2006 r. Dobrych wieści stamtąd w najbliższym czasie nie należy się spodziewać.

Grzegorz Górny



Fot. Eric Crudup / Shutterstock

USA

Bojówkarze czy terroryści?

Od lat pisano o tym ukradkiem w prawicowych mediach. Po każdej rozróbie zamaskowanych chuliganów z Antify pojawiały się głosy, by uznać tę skrajnie lewacką bojówkę za terrorystów. Lewica, zawsze gotowa, by straszyć faszystami, niechętnie dostrzega radykałów wywołujących burdy z sierpem i młotem na sztandarach. Teraz może się to zmienić po tym, jak prezydent USA Donald Trump opowiedział się za uznaniem Antify za organizację terrorystyczną. Rezolucję w tej sprawie złożyli republikańscy senatorowie Bill Cassidy i Ted Cruz.

Trump napisał na Twitterze, że uznanie Antify, której członkowie „walą ludzi po głowach kijami bejsbolowymi", za organizację terrorystyczną spowodowałoby, że „policji łatwiej byłoby wykonywać swoją pracę". Prezydent w swoim stylu nazwał członków Antify „radykalnie lewicowymi tchórzliwymi wariatami".

„Antifa jest organizacją terrorystyczną złożoną z ziejących nienawiścią, nietolerancyjnych radykałów, którzy realizują swój ekstremalny program poprzez agresywną przemoc. Swoimi działaniami wielokrotnie pokazali, że ich głównym celem jest wyrządzenie krzywdy tym, którzy sprzeciwiają się ich poglądom" – napisał Ted Cruz.

Pomysł senatorów może zaskakiwać. Jednak w amerykańskich mediach debata o terroryzmie Antify toczy się od dłuższego czasu. Nabrała tempa po ataku na dziennikarza Andy'ego Ngo w Portland. Ngo mówił kilka tygodni temu w Fox News, że atak nastąpił tuż obok budynku, gdzie mieszczą się biuro szeryfa i posterunek policji. „Byliśmy tuż obok instytucji reprezentujących prawo. To, co się stało, było anarchią i pokazem pogardy dla prawa" – mówił dziennikarz uderzony w tył głowy (widać to na nagraniu dostępnym na YouTubie). Ngo został obrzucony mlecznymi napojami, jajkami i opryskany sprejem pieprzowym.

Gdyby do napaści na dziennikarza doszło na marszu skrajnej prawicy, to prawdopodobnie atak taki zostałby przez lewicę przestawiony jako „zbrodnia nienawiści". Zwłaszcza że reporter jest synem wietnamskich imigrantów i do tego gejem. Nie podlega jednak ochronie lewicy, bo deklaruje się jako antykomunista. Jego rodzice uciekli z Wietnamu na łódce, a on pisał felietony w konserwatywnym „National Review" i „New York Post". Choćby z powodu podwójnych standardów obowiązujących na lewicy zrealizowanie pomysłu Cruza i Cassidy'ego nie jest pozbawione sensu.

Łukasz Adamski

eprasa.pl d736cb0a63

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Równościowy marsz lebiegów



Jan Pietrzak

Impreza nazywa się pompatycznie Marsz Równości. Pojawia się w różnych miastach ekipa lebiegów i prowokuje emocje, żądając zrównania kogoś z kimś. Robią wrzaskliwy show i zwiewają!

Rodzi się problem konstytucyjny, czy należy na siłę równać społeczeństwo? Ludzie przecież są różni, co stwierdzam z pełną odpowiedzialnością, obserwując ten gatunek ssaków od 80 lat. Grubi, chudzi, wysocy, niscy, mądrzy, głupi, paskudni, piękni... ale też dwupłciowi. Panom coś wystaje w miejscu, gdzie panie mają wklęsłość. Skala różnorodności olbrzymia.

Równość powinna być zalecana jedynie w sprawach określonych przepisami prawa. Konstytucja i ustawy są rodzajem regulaminu służby garnizonowej. Z racji wojskowej przeszłości wiem, co mówię. Chodzi o to, by z garnizonu nie robić burdelu. Miałem przez jakiś czas dowódcę, który chętnie używał tego wykwintnego porównania, wrzeszcząc na apelu do podchorążych: „Co mi tu k... burdel robicie w koszarach!".

„Wracając do ad remu", jak powiadał inny przełożony, prawo równościowe nawet w najbardziej despotycznych ustrojach nie dotyczy wszystkich sfer życia. Nikt nie próbuje zrównać zapaśnika sumo z akrobatką gimnastyczną. Muszą mieć różne postury, inaczej się odżywiać, ubierać... Nie ma równości miłośników opery i disco polo... itp.

Nie wartościuję, co lepsze, co gorsze, de gustibus non est disputandum. Przypominam jedynie, że kategoria różnicy jest tak samo ważna jak hasło równości. Czym większe przyzwolenie dla różnorodności, tym większa wolność dla wszystkich. Oczywiście, w obrębie określonej cywilizacji. Najbardziej precyzyjną równość społeczną widujemy na obrazkach z Korei Północnej: defilujące kolumny wyrównane przez walec komunizmu. Czy o to chodzi lebiegom? Pytam retorycznie, bo wiemy, że trwa kampania wyborcza i opozycji idzie o niszczenie poczucia wspólnoty, sianie nienawiści, chaos medialny... Każdy pretekst, również erotyczny, jest dobry, by szkodzić Polsce. To jest ich program wyborczy.

Ja natomiast zapraszam na program artystyczny z okazji 99. rocznicy Bitwy Warszawskiej: „Więc pijmy zdrowie, szwoleżerowie!", 11 sierpnia, godz. 18.00, Dom Technika, ul. Czackiego 3/5. Wino w pakiecie!

Znów wyglądam zwyczajnie

Z aktorem Piotrem Stramowskim rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Staje się pan powoli aktorem od zadań specjalnych?

Piotr Stramowski: Trochę tak to wygląda. I organizm coraz częściej zaczyna krzyczeć: „Stop! Basta!". Do większości filmów muszę się intensywnie przygotowywać fizycznie, a odpoczynku nie ma, więc chyba nadszedł czas, by od takich zadań zrobić sobie przerwę.

Z jakiegoś powodu przyjmował pan jednak role w kontynuacjach „Pitbulla", ale też w „Botoksie", „Fighterze" czy „Sługach wojny".

O postaci z „Fightera" zacząłem rozmawiać cztery lata temu. Od tamtego czasu bohater mi towarzyszy, dlatego też to bardzo bliski mi film. Przede wszystkim o człowieku, a nie tylko zawodniku MMA.

W którym miejscu umieściłby pan tego bohatera?

Gdzieś między Krzysztofem ze „Spirali" a komisarzem Majamim z „Pitbulla". To trochę wrażliwiec i trochę twardziel – zarazem zdecydowany i zagubiony.

Mówiliśmy o wymagających fizycznych przygotowaniach do kolejnych ról, ale zmienia pan też dla nich twarz.

Staram się nie tylko inaczej wyglądać, lecz także być kimś innym. Gdy grałem w teatrze, lubiłem charakteryzację, fizyczną zmianę, która pozwalała lepiej wniknąć w postać.

Za chwilę premiera sensacyjnych „Sług wojny" (23 sierpnia), w których znów pan walczy i biega z bronią. A co teraz dzieje się na planie?

Kręcę drugi sezon serialu „Ultraviolet" dla AXN, a także ekranizację książki Wojciecha Chmielarza „Żmijowisko" dla Canal Plus. W obu wyglądam zwyczajnie, co jest pewną odmianą.



Fot. Gałązka/AKPA

eprasa.pl d736cb0a63

BRONISŁAW WILDSTEIN

Kto jest agresorem, kto ofiarą

Środowiskom LGBT chodzi o pełną akceptację ich postulatów. Każdy sprzeciw wobec nich będą utożsamiały z prawdziwymi lub wymyślonymi aktami przemocy. A przemoc wobec duchownych?



Proboszcz bazyliki św. Jana Chrzciciela w Szczecinie i kościelny zostali ciężko pobici przez trzech mężczyzn, którzy domagali się, aby wydano im szaty liturgiczne. Potrzebne im były, jak mówili, w celu udzieleniu (sobie?) ślubu. Można uznać, że jest to kontynuacja parad LGBT, które adorowały „świętą waginę" i konsekrowały homoseksualne msze. Ksiądz i jego pomocnik stanęli im na drodze do realizacji tego projektu.

To tylko kolejny etap działań tych środowisk, które w zachodniej Europie wdzierają się do kościołów w trakcie ceremonii religijnych, aby je sprofanować, i stosują przemoc wobec duchownych. W podobny sposób atakowane są procesje katolickie. Opinia publiczna i organa porządkowe zajęte krzywdą homoseksualistów, których ktoś potraktował bez należytego szacunku, tymi sprawami się nie interesują.

Niecałe dwa miesiące temu we Wrocławiu przed kościołem, w którym miał sprawować mszę, ksiądz został ugodzony nożem w piersi i brzuch. Z trudem przeżył. Agresor, który nie wyraził skruchy, jako przyczynę ataku wskazał film Sekielskiego. Ten w sprawie się nie wypowiedział, a nikt z tak lansujących jego obraz nie zadał mu pytania.

Nie, w przeciwieństwie do TVN czy „Wyborczej", które w analogicznej sytuacji, kiedy ofiarą byłby homoseksualista, a napastnik powoływałby się na naturalne prawa, wskazałyby już Kościół i PiS jako odpowiedzialnych, nie chcę twierdzić, że za atak winę ponosi Sekielski. On tylko uczestniczy w tworzeniu klimatu, który prowokuje tego typu działania.

Środowiska LGBT oraz ich rzecznicy, a jest ich legion, nie zajmują się przemocą wobec duchownych. One zawodzą jedynie nad hekatombą w Białymstoku, której żadna z ofiar nie pofatygowała się do szpitala.

Agresja wobec katolickich duchownych w naszym kraju się wzmaga. Można odnieść wrażenie, że coraz częstsze i bardziej brutalne napady połączone z rabunkiem powodowane są swoistą aurą przyzwolenia. Pisał o tym przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski abp Stanisław Gądecki w „Oświadczeniu w sprawie aktów nienawiści wobec katolików w Polsce". Za stwierdzenie faktów został zaatakowany przez postępowe środowiska. Warto pamiętać, że należą do nich nie tylko najbardziej wpływowe media i ośrodki opiniotwórcze, lecz także większość opozycji, w tym jakoby centrowa PO. Przypomnijmy sobie wstrząsające opowieści o rozwijaniu się faszyzmu w Polsce wydalane z siebie przez Donalda Tuska, Grzegorza Schetynę czy Bartłomieja Sienkiewicza. Czy autorzy ich pamiętają, że Kościół katolicki był jednym z głównych wrogów nazistów zarówno hetero-, jak homoseksualnych?

Agresja wobec duchownych narasta w Polsce już od jakiegoś czasu. Pod koniec 2014 r. Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego przeprowadził badania, w których 12 proc. z ponad 9,2 tys. pytanych księży doznało jakiejś formy agresji z powodu swojej misji. Wielu obserwatorów twierdziło, że liczba ta jest zaniżona.

Mechanizm nakręcania agresji wobec duchownych doskonale można obserwować w stosunku do zajść w Białymstoku. Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych opublikował rysunek ze swastykami i podlewającym je księdzem. „Księża w Białymstoku podziękowali kibolom, faszystom i nacjonalistom za napady, bicie i znieważanie osób społeczności LGBT. Jeśli ktoś z Państwa zastanawiał się, kto stał za białostockimi bandytami i dawał im wsparcie, to nie musi się już zastanawiać".

W rzeczywistości księża jeszcze przed marszem napisali: „Jako kapłani posługujący w naszej parafii, składamy wyrazy uznania i podziękowania tym wszystkim, którzy w ostatnim czasie w jakikolwiek sposób włączyli się w obronę wartości chrześcijańskich i ogólnoludzkich, chroniąc nasze miasto, zwłaszcza dzieci i młodzież przed planową demoralizacją i deprawacją".

Po zajściach potępili wszelkie akty przemocy. To tylko jeden przykład.

Środowiskom LGBT chodzi o pełną akceptację ich postulatów. Każdy sprzeciw wobec nich będą utożsamiały z prawdziwymi czy wymyślonymi aktami przemocy. A przemoc wobec duchownych? Parę lat temu tekst o pobiciu ks. Stanisława Małkowskiego „GW" zatytułowała „Napadł na kontrowersyjnego księdza. Został zatrzymany". Wprawdzie kryminalista, któremu wcześniej duchowny pomagał, nie interesował się jego poglądami, ale to na nie tytuł kieruje uwagę czytelnika. Doczekał się – sugerują jego autorzy.

Nie dajmy się nabierać, gdy słyszymy o walce z przemocą. Walka jest toczona z religią i tradycją, jak trzeba przy użyciu przemocy.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d736cb0a63

OGNIEM NA WPROST

„Sputnik” i siostra Godlewska



Rosyjski portal polskojęzyczny Sputnik, jak powszechnie wiadomo, jest tubą propagandową Moskwy i ośrodkiem agentury wpływu. To co prawda żadna nowość, ale śledzenie treści pojawiających się na nim pokazuje kierunek, w którym podąża narracja Kremla. Ostatnio Sputnik bierze w obronę wzrastającą aktywność ruchu LGBT w naszym kraju oraz pieje z zachwytu nad formującym się do wyborów sejmowych blokiem lewicy. W swoich publikacjach portal nazywa „naziolami” i „sukinsynami” kontrdemonstrantów tęczowej parady w Białymstoku. Rosyjscy propagandyści krytykują także tych wszystkich, „którzy głoszą, że trzeba stworzyć system dwupartyjny, a lewica ma przyłączyć się do jednego z dwu bloków. Wyborcy, którzy chcą »zatrzymać PiS«, mają tak naprawdę tylko jedno wyjście i jest nim poparcie lewicowych kandydatów”. Jak widać gołym, nieuzbrojonym okiem, Moskwa stoi murem za ideologią LGBT i wspierającą ją lewicą spod znaku Czarzastego, Biedronia i Zandberga. Rzecz jasna tylko w Polsce. U siebie w styczniu 2007 r. mer Moskwy Jurij Łużkow określił parady równości jako „sataniczne” i zapowiedział, że tak jak w 2006 r., zakaże przeprowadzenia takiego marszu w stolicy. Mimo to demonstracja się odbyła. Jednak została zaatakowana przez przedstawicieli młodzieżowych narodowych, prawosławnych organizacji oraz Kozaków przy bierności sił porządkowych. Krew z okładanych pięściami działaczy LGBT sikała strumieniami po moskiewskim bruku i od tamtej pory nikt przy zdrowych zmysłach nie chce narażać swojego zdrowia w podobnych pochodach. No to cui bono, tęczowi i polska lewico?

Jednocześnie ci sami Rosjanie „śmieją się z głupoty Niemców” – jak zauważa niemiecki publicysta i pisarz Boris Reitschuster. „Niemcy są niesamowicie podatni na manipulacje Kremla – dodaje – a rusofilia niektórych niemieckich polityków (którzy w dodatku nie są przedstawicielami marginalnych partyjek, ale najważniejszych obozów politycznych w Niemczech) wynika nie tylko z określonych wyobrażeń na temat Rosji. To również »zasługa« aktywnych działań propagandowych Moskwy”. Zdaniem Reischustera szczególnie „po lewej stronie sceny politycznej wierzy się, że wszystko, co przychodzi z Moskwy, jest socjalistyczne. To tak jakby wegetarianin chodził do restauracji ze stekami, bo wcześniej była tam knajpa wegańska”. Jednak Niemiec chwali Polaków za to, że w swojej masie mimo 50 lat komunizmu nie dali sobie „zaszczepić wirusa rusofilii”. Niestety, panie Reitschuster, nie wszyscy! Nie wszyscy!

Prezydent USA Donald Trump na Twitterze podzielił się uwagą, że całkiem poważnie rozważa pomysł wciągnięcia lewackiej Antify na listę organizacji terrorystycznych. Przy okazji nazwał ich po imieniu „tchórzliwymi radykalnie lewicowymi szaleńcami, którzy biją (wyłącznie niebojowników) kijami bejsbolowymi po głowach”. Największy wrzask podniósł się rzecz jasna w Niemczech, kolebce tego ruchu. „#JestemAntifa zawsze i wszędzie. Historia Niemiec zobowiązuje nas do przeciwstawiania się rasizmowi i faszyzmowi. Na ulicy i w parlamencie” – napisał Bernd Riexinger, współprzewodniczący skrajnie lewicowego niemieckiego ugrupowania Die Linke. Ech! Gdyby Trumpowi ten pomysł udało się wcielić w życie, także warszawska Raz Dwa Antifa miałaby się z pyszna. Przypomnijmy. To oni razem z niemieckimi towarzyszami w Dniu Niepodległości zaatakowali w Polsce grupę rekonstruktorów na Nowym Świecie, a w ich lokalu policja znalazła pałki, kastety i inne tego typu akcesoria. Lokal nazywał się Nowy Wspaniały Świat.

Pisząc te słowa, nie wiem jeszcze, czy dojdzie do zapowiadanej na 1 sierpnia premiery powstańczej pieśni „Warszawskie dzieci” w wykonaniu Małgorzaty Godlewskiej. To niewątpliwie ważne wydarzenie artystyczne ma mieć też swoją właściwą oprawę. Wokalistka ma wystąpić w koszulce ze znakiem Polski Walczącej i w stahlhelmie z biało-czerwoną opaską, jaki nosili nasi bohaterowie. Niestety z racji rodzinnej kłótni na pokładzie samolotu (doszło do rękoczynów i obie panie Godlewskie wyprowadziła siłą Straż Graniczna) Małgorzata Godlewska wystąpi solo. Od pewnego czasu bowiem jej siostra Monika uważa, że Gosia nie śpiewa, tylko wyje. Coś niewątpliwie może być na rzeczy. W każdym razie nie wątpiąc (szczerze) w dobre intencje „piosenkarki”, zalecałbym, by tego dnia powstrzymała się od popisów wokalnych, przychylając się do zdania jednego z internautów: „Nie wykończyła powstańców ubecja, a chce wykończyć Godlewska”.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d736cb0a63

Modna Polska



Marta Kaczyńska-Zielińska

Popularne na całym świecie wydawnictwo z branży turystycznej przyznało Polsce nagrodę jako dla jednej z najlepszych destynacji turystycznych. Według najczęściej odwiedzanego portalu rezerwacyjnego nasz kraj jest jednym z trzech najbardziej gościnnych państw świata. Najchętniej odwiedzają nas Niemcy i Brytyjczycy. Gości przyciąga zarówno piękno naszego krajobrazu, bogactwo kultury, ciekawa oferta eventowa, jak i stosunkowo niedrogie, a przyjazne i porządne hotele. Wszystko to sprawia, że znajdujemy się w pierwszej dwudziestce najchętniej odwiedzanych państw świata.

Moda na Polskę zaczyna obowiązywać także w modzie. Jesteśmy 17. największym eksporterem ubrań na świecie. Większość naszej produkcji trafia do Niemiec oraz krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Z opublikowanego w ubiegłym roku raportu PKO BP wynika że w latach 2012–2016 r. eksport odzieży wzrósł aż o 70 proc.

Z opublikowanego w ubiegłym roku raportu wynika, że w latach 2012–2016 eksport polskiej odzieży wzrósł aż o 70 proc.

Najprężniej rozwijająca się dziś rodzima firma z branży modowej ma swoje salony zarówno w Berlinie, jak i w Londynie. Poza tym sprzedaje swoje ubrania w Arabii Saudyjskiej, Katarze i Egipcie. We wschodniej części Europy coraz większe uznanie zyskują ubrania typowo młodzieżowe, ale również te przeznaczone do uprawiania najbardziej popularnych sportów. Polską markę dla aktywnych promuje nie tylko nasza olimpijska reprezentacja, lecz także reprezentacje łotewska, serbska i chorwacka. Ekskluzywne polskie kreacje można kupić w londyńskim domu Harrod's, a po najwyższej jakości klasyczne koszule wyprodukowane na Pomorzu można się wybrać do Budapesztu, Monachium lub Kolonii. Haute couture znad Wisły noszą gwiazdy Hollywood, przedstawiciele rodzin królewskich i dyktujący, co modne, topowi influencerzy z mediów społecznościowych. Możemy się pochwalić popularną na całym świecie marką bieliźnianą, a także postrzeganymi za niezwykle eleganckie torebkami autorstwa naszych projektantek. Pewna butikowa marka polska pokazuje się na Tygodniach Mody w Nowym Jorku, w Paryżu i przez amerykański magazyn „Vogue" jest określana mianem jednej z najbardziej obiecujących młodych firm z branży modowej. Na szczególne uznanie zasługuje wykorzystanie przez projektantów tej firmy motywów z klasyki polskiego malarstwa, takich jak „Szał" Władysława Podkowińskiego. Najwyższy czas, by dzieła polskich artystów weszły do globalnej popkultury, tak jak prace innych europejskich mistrzów!

Według jednego z dzienników jesteśmy czwartym producentem obuwia w Europie, a nasz eksport osiągnął niemal 1,5 mld euro. Polska obuwnicza sieciówka ma swoje sklepy w 20 krajach i planuje ekspansję m.in. na rynek arabski. Co istotne, ze statystyk wynika, że od pewnego czasu etykieta z napisem „Made in Poland" jest dla nas co najmniej tak samo atrakcyjna, jak ta wskazująca na pochodzenie produktu z zachodnioeuropejskich państw. Zaczynamy doceniać jakość własnych wyrobów odzieżowych, co jeszcze kilka lat temu stanowiło wyjątek. Blisko 30 proc. klientów sklepów deklaruje, że wybiera projekty polskich autorów.

Ministerstwo Przedsiębiorczości i Rozwoju wraz z Polską Agencją Inwestycji i Handlu przygotowało program, w którego ramach opracowany został wykaz działań promujących polską branżę modową. Program ma na celu wspieranie zarówno mikro-, jak i małych i średnich przedsiębiorców z sektora odzieżowego, obuwniczego, galanteryjnego oraz jubilerskiego. W ramach realizacji działań do końca 2019 r. Agencja zorganizuje stoiska informacyjno-promocyjne podczas ośmiu wydarzeń targowo-konferencyjnych w Chinach, USA, Indiach, Rosji, Francji i Japonii. Ministerstwo zajmuje się zaś opracowywaniem rozwiązań prawnych służących usprawnieniu eksportu rodzimej mody.

Pani

Dorocie Maciei

wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

TATY

składają

Zarząd i pracownicy grupy medialnej Fratria

eprasa.pl d736cb0a63

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Nowocześnie jak w Szwecji



„Wyniki badań pokazują, że osiągnięto konwergencję, jeżeli chodzi o dzietność par jednopłciowych i wielopłciowych” – powiedział docent Martin Kolk szwedzkiemu dziennikowi „Dagens Nyheter”. Kolk jest współautorem studium, z którego wynika, że prawie połowa lesbijskich związków w Szwecji posiada prawie tyle samo dzieci, ile pary heteroseksualne. Takie badania przeprowadził Instytut Studiów nad Przyszłością w Sztokholmie. O sprawie informuje radioszczecin.pl. W Szwecji obowiązują przepisy, na mocy których lesbijskie pary mają prawo do finansowanego przez państwo sztucznego zapłodnienia. Oprócz tego lesbijkom umożliwiono adopcję biologicznego dziecka swojej partnerki. Niestety z innych badań Uniwersytetu w Linköping wynika, że gdy dzieci mają cztery lub więcej lat, związki lesbijek rozpadają się dwa razy częściej niż małżeństwa heteroseksualne. Czy to także powód do dumy dla pionierów postępu?



15 proc.

– tylu emigrantów jest zdecydowanych wrócić do Polski. To wynik badania ankietowego NBP.

250–380 tys.

– tylu Polaków może wrócić z emigracji według Andrzeja Kubisiaka, eksperta do spraw rynku pracy Polskiego Instytutu Ekonomicznego.

25 mln

– mniej więcej tylu Polaków skorzysta na obniżeniu stawki PIT z 18 do 17 proc.

Ale sztuka!

Sztuka wciąż przekracza kolejne granice. Głównie te dobrego smaku. Ostatnio udało się to estońskiej „artystce”, która przy swojej feministycznej instalacji gołych wagin rozebrała się przed zwiedzającymi. Trafiło na młodych chłopców. Na krążącym w sieci zdjęciu widać ich zmieszane miny i raczej niepowalające ciało „artystki”. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby chłopcy wyrośli na zdeklarowanych konserwatystów. Szkoda, że dziś niedaleko pada sztuka od pedofilii.



Skojarzyło się



Holenderski prof. Dan Hassler-Forest stwierdził, że nowy „Król lew” nie dotyczy tak naprawdę lwów ani innych gatunków zwierząt, ale „oferuje nam faszystowską ideologię na dużą skalę”. W odpowiedzi jeden z komentatorów określił autora tezy „kulturowym analfabetą”. O sprawie informował portal tvp.info. Naukowiec stwierdził, że oglądając film, „uczymy się współczuć lwom, które są faszystowskimi przywódcami”. Widać nie tylko w Polsce niektórym wszystko kojarzy się z faszyzmem lub z Hitlerem.

eprasa.pl d736cb0a63

Na co komu płeć?

„Na co komu płeć?” – pyta młodzież odziana w tęczowe flagi w materiale promującym marsz równości w Szczecinie. „Deklarujesz płeć w każdym zbiorze dokumentów, (...) grając w kobiecej drużynie sportowej, w męskim chórze. Nie my wymyśliliśmy te obyczaje, ale skoro już są, chcemy tylko równych praw” – mówi jedna z osób w spocie. O sprawie informuje portal tvp.info. Problem w tym, że płeć to nie obyczaj, lecz biologia. Dwie płcie są potrzebne do tego, by mogli się rodzić nowi ludzie. Takie to skomplikowane?



„Bycie młodym Polakiem nigdy nie było tak zyskowne” – podała stacja CNN, komentując wprowadzenie tzw. zerowego PIT-u dla osób do 26. roku życia. Nawet CNN został tubą PiS. Opozycji jak nie szło, tak nie idzie

Oszukana

Znana z sejmowego protestu opiekunów niepełnosprawnych Iwona Hartwich ogłosiła, że nie wystartuje w wyborach do Sejmu z listy Koalicji Obywatelskiej. „Cała sytuacja jest dla mnie bardzo przykra i czuję się oszukana” – napisała na Facebooku. Okazało się, że pani Iwona ma mieć dopiero siódme miejsce na liście, choć wcześniej obiecano jej trzecie. Po tej publicznej skardze Grzegorz Schetyna jednak ogłosił, że dla Hartwich znajdzie się obiecane trzecie miejsce, a kandydatka stwierdziła, że jednak będzie kandydować. Sorry, Polacy, ale to nie jest sprawa polityczna.



Fot. Andrzej Wiktor, Facebook, Disney, Twitter, Shutterstock, Jan Bielecki/East News

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Komuś trzeba ufać



Dominik Zdort

Mój znajomy swoje kolejne samochody wyposaża w dodatkową elektronikę, m.in. kamerki. Gdy sfilmuje pirata drogowego, nagranie wysyła policjantom, czasem wrzuca na jakiś portal. Nie on jedyny.

Policyjne skrzynki e-mailowe są zasypywane filmikami pokazującymi, kto wyprzedzał na trzeciego, a kto przejechał podwójną linię. I – choć donosicielstwem się brzydzę – to rozumiem, że jeśli ktoś jeździ niebezpiecznie, ryzykując życie innych, to powinien ponieść konsekwencje.

Nie martwią mnie też kamery porozwieszane na ulicach. Zgadzam się na tę powszechną inwigilację, pod warunkiem że w końcu Rafał Trzaskowski nie umieści w moim pokoju kamery kontrolującej, czy nie używam plastikowych słomek.

W miejscach publicznych ludzie nie powinni robić rzeczy, których potem mogliby się wstydzić. Za drzwiami prywatnego domu czasem niestety je robią, ale to sprawa raczej dla spowiednika niż dla władzy.

Niestety i tu już nie możemy być bezpieczni. I nie myślę o podkładanych nam przez „złych ludzi” pluskwach. Do sieci raz po raz trafią materiały, gdzie żona (ewentualnie była żona) filmuje komórką kłótnię ze swoim mężem, często celebrytą lub politykiem, np. siedzącym nago na klozecie.

Dwa lata temu w internecie pojawiły się filmy obciążające byłego warszawskiego radnego, który – oględnie mówiąc – nie był szarmancki wobec kobiet. Podczas niedawnej rozprawy sądowej – opisanej przez OKO.press – zaprezentowano ponad 2 godziny nagrań przekazanych przez eksmałżonkę, co oznacza, że w sumie musiała ich zgromadzić wielokrotnie więcej. Używając języka politycznego: zbierała na radnego haki. Zamiast się wyprowadzić, miesiącami cierpiała i nagrywała, a im bardziej cierpiała, tym bardziej nagrywała, aby w końcu krwawo się zemścić.

Nie zamierzam bronić chamstwa i brutalności. Lecz wydawało mi się, iż przysięga małżeńska, cywilna czy kościelna, powoduje, że pewne sprawy chowamy za zamkniętymi drzwiami. Bo każdemu zdarzają się sytuacje wstydliwe lub przykre, które powinny pozostać rodzinnymi tajemnicami.

Oczywiście czasem dłużej wytrzymać się nie da i ludzie się rozstają. We współczesnych czasach, w dużym mieście, to nie jest bardzo trudne. Ale dopóki tak się nie stanie, małżonkowie, rodzice, dzieci, nie powinni się nawzajem podsłuchiwać i na siebie donosić. Bo komuś w życiu trzeba ufać.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl d736cb0a63

RZECZY POSPOLITE

Jestem Polakiem



Tomasz Łysiak

Rozkręcana przez „Gazetę Wyborczą" akcja „Jestem LGBT" skłoniła mnie, by siebie samego określić jednym słowem. I to, co teraz napiszę, nie jest skierowane przeciwko komukolwiek czy czemukolwiek. Po prostu definiuje mnie jako człowieka najprościej i najdobitniej, a nie wiąże się w ogóle z kwestią seksualności. A zatem moja odpowiedź na pytanie: „Kim jesteś?", zawiera się w bardzo prostym zdaniu: „Jestem Polakiem".

Co za tym idzie? Od razu zaznaczę, żeby nie było wątpliwości – to stwierdzenie nie „wyklucza" nikogo (że użyję nowomowy politycznie poprawnej), ale mówi wszystko o mnie.

Zawiera się w nim wszystko to, co mnie ukształtowało jako człowieka: wiara ojców, przywiązanie do tradycji, kultura, w której się wychowałem, dom i najgłębsze wspomnienia z dzieciństwa, książki, które przeczytałem, filmy, które obejrzałem, i ludzie, którzy ze mną, wokół mnie byli i są. Dziadkowie, którzy zostawili „w spadku" Napoleona i Piłsudskiego, powstania i AK. Ojciec taki spadek przejął, a potem postanowił zostawić go dla mnie. Jest Babcia opowiadająca o bombach w 1944 r. i o tym, jak robiła wszystko, by przeżył mój, mający wtedy kilka miesięcy, Tata.

Jest w tym stwierdzeniu czynienie znaku krzyża pod kościołem, gdy się go mija, jadąc drogą. Jest modlitwa przed posiłkiem. Jest Sienkiewicz, Kmicic i Wołodyjowski. Łzy, gdy mówi „nic to", i łzy, gdy kapłan woła „Małego Rycerza" w świątyni, w trakcie mszy pogrzebowej, a on nie odpowiada. Do kraju tego... Grób Agamemnona. Herbert. Wawel. Grobowce królewskie. Wesele. Wyspiański. Matejko. Stańczyk. Grottger. Krzyż przy racławickiej drodze. Dmowski i moje obowiązki polskie.

I są moje dzieci, obaj synowie, lata spędzone na ich wychowaniu. Kościół dominikański na Freta. Harcerstwo. I książki. A tam znowu – Sienkiewicz, Kmicic i Wołodyjowski. Łzy, gdy mówi „nic to". Do kraju tego... Grób Agamemnona. Fortepian Chopina. Litwo. Tak za tak, nie za nie, bez światłocienia. Legiony to żołnierska nuta. Grobowce królewskie. Wesele. Biało-czerwona wywieszona na 1 sierpnia.

Patrzę na nich i mogę powiedzieć, że to prawda. Tak właśnie się to spełnia: jestem Polakiem.

Grill w Stutthofie



Piotr Cywiński

Gdyby spytać przedstawicieli naszej opozycji, które państwo jest dziś najważniejsze na świecie, odpowiedź byłaby tylko jedna: Polska. Na drugim miejscu znalazłyby się Stany Zjednoczone. Dlaczego? Bo i u nas, i tam dzieje się źle. A źle dzieje się dlatego, że w Warszawie i Waszyngtonie rządzą ludzie będący zagrożeniem lokalnym dla Europy i całego świata. Jak wyłożyła „Gazeta Wyborcza", prezydent Donald Trump naśladuje prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Dla ścisłości, „GW" postawiła w tytule znak zapytania, żeby było bardziej inteligentnie: „Od rasizmu do faszyzmu. Czy Trump kopiuje Kaczyńskiego?".

Wiadomo, że kopiuje! Nie przemawiał pod pomnikiem Powstańców? Przemawiał! Nie kadził PiS? Kadził! I teraz Warszawa znów stanęła, bo nie wiedzieć po co to powstanie tak rozpamiętują. Już parę lat temu nasz dyplomata z Chobielina Dworu herbu Ośmiorniczki głosił, że to frajerstwo było i tragedia narodowa, po co więc to świętować? Dajemy się podpuszczać takiemu np. profesorowi z Walii Normanowi Daviesowi, który w książce „Powstanie '44" pisał: „Gdybym jako chłopak znalazł się w 1944 r. w Warszawie, to z całą pewnością byłbym wstąpił do Armii Krajowej". Też frajer. Że na 1 września przyjedzie do nas Trump? A na cholerę?! Znów będzie jątrzył. Mamy tuż za miedzą „najlepszą kanclerz Niemiec od tysiąca lat dla Polski", jak ocenił Radek/Radosław Sikorski, herbu jak wyżej, obecnie europoseł, a my wciąż „robimy laskę Amerykanom"...

Na szczęście są u nas tacy, którzy wiedzą, że ten Trump i Kaczyński to niebezpieczni faszyści. Więc, ponieważ Niemcy też coś wiedzą o faszyzmie, z okazji obchodów rocznicy wybuchu II wojny światowej prezydent Gdańska zarządziła, że będzie „radosny pochód, koncert, tańce i wspólne świętowanie" polsko-niemieckiej delegacji na Westerplatte. Bo chodzi o to, żeby „w zgodzie budować przyszłość – takie przesłanie pojednania, w imię dobrosąsiedzkich relacji, szukania tego, co łączy, a nie tego, co dzieli – popłynie z Gdańska", zaćwierkała na Twitterze pani Aleksandra Dulkiewicz.

Więc ja w tym duchu proponuję zorganizować wspólnego grilla w pobliskim Konzentrationslager Stutthof. Można by nawet wykorzystać obozowe piece, gdyby żył mój ojciec, podpowiedziałby, jak je uruchomić. Jako więzień przydzielony był do Leichenkommando, którego zadaniami były codzienne zbieranie i palenie zwłok. Ale zapewne żyją jeszcze Niemcy, którzy pamiętają ich obsługę i w imię „szukania tego, co łączy" chętnie przypomną... Przy okazji warto zaprosić tego Trumpa i Kaczyńskiego, niech się uczą!

eprasa.pl d736cb0a63

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI
ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: GRZEGORZ MICHAŁOWSKI/PAP, DARIUSZ ŚMIGIELSKI/DZIENNIK ŁÓDZKI/EASTNEWS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl d736cb0a63

To modelowy przykład na to, jak ze szczytu upaść na samo dno. Kiedyś medialny bóg – za takiego uważało go wielu, ale przede wszystkim sam siebie tak postrzegał. Dziś jest najsłynniejszym w Polsce pijakiem za kierownicą. W jego sprawie najbardziej uderzające jest to, że dominujące pytanie brzmi: czy znów to skręcą?



Kamil Durczok po opuszczeniu sali Sądu Rejonowego w Piotrkowie Trybunalskim, który odrzucił postanowienie prokuratury o areszt tymczasowy dla dziennikarza

Człowiek z procentów

eprasa.pl



MAREK PYZA

Jego nieprzytomny rajd przez pół Polski to w tej historii puenta, której być może nie dało się uniknąć. Grozi mu nawet wieloletnie więzienie, ale istnieje obawa, że powtórzy się casus Piotra Najsztuba, któremu nie spadł włos z głowy po potrąceniu staruszki na pasach, gdy jechał bez prawa jazdy, ubezpieczenia OC i przeglądu technicznego. Czy – podobnie jak w przypadku innych celebrytów – skończy się na zapłacie symbolicznej grzywny i odebraniu prawa jazdy na parę miesięcy? A może wcale nic w jego życiu się nie kończy? Może znów uda mu się wykaraskać z wizerunkowej katastrofy? Może za jakiś czas dostanie od kogoś szansę w mediach? Może powiedzie się misja jego obrońców, którzy z taką inwencją szukają argumentów, by rozłożyć nad nim parasol ochronny? Czy Kamil Durczok będzie kolejnym dowodem na to, że są w Polsce równi i równiejsi? Niestety już są powody, by się tego obawiać.

Chodzi o jeden z symboli mediów III RP. O człowieka, który co wieczór mówił do milionów Polaków (w swojej książce twierdzi, że gromadził czasem nawet 20-milionową publiczność). Ogarnięty manią słupków i pogonią za procentami w pomiarach widowni czuł się wszechmocny. „Byliśmy jak zakon rycerzy Jedi. Nikt naszej pozycji nie kwestionował, bo cokolwiek by się nie działo, »Fakty« zawsze kończyły na piętnastu procentach oglądalności" – pisał w wydanej przed trzema laty książce „Przerwa w emisji". Na pewno nieraz zapowiadał materiały o pijanych kierowcach. Opowiadał widzom o świecie, objaśniał go, nauczał, jak trzeba myśleć.

„Tak, była we mnie – ale była też w nas – arogancja. Nie wynikała jednak z cech osobniczych. Brała się z poczucia, że jesteśmy najlepsi z najlepszych. Nie mamy konkurencji. Jesteśmy wyrocznią dla polityków – tych mniej zadowolonych z naszej pracy i tych niezadowolonych z niej bardzo. Jesteśmy wyrocznią dla widzów. W »Faktach« pracowali więc kapłani tej religii, a ja byłem biskupem całego interesu" – wyznawał w książce.

Jak doszło do tego, że tak wielka gwiazda zgasła? Jej upadek nie zaczął się przy kielichu we Władysławowie. To konsekwencja i suma jego stylu życia, problemów z samym sobą oraz chaosu w niemal każdej sferze codzienności. Za wizerunkiem twardziela i telewizyjnego guru kryje się facet w rozsypce, topiący problemy w alkoholu.

> Durczokowi postawiono zarzuty prowadzenia auta w stanie nietrzeźwości i sprowadzenia bezpośredniego niebezpieczeństwa katastrofy w ruchu lądowym. Grozi mu do 12 lat więzienia.

RAJD NA GAZIE

Okoliczności kraksy Durczoka wciąż są niejasne. Wiemy, że w poniedziałek 22 lipca wybrał się z o 30 lat młodszą znajomą nad morze, do brata, który prowadzi we Władysławowie knajpę. Fragmenty jego zeznań złożonych w prokuraturze ujawnił „Super Express". „Piliśmy alkohol. Głównie piwo i wino, ale było też whisky" – miał powiedzieć w czasie przesłuchania. Tuż przed piątkowym powrotem na Śląsk miał wypić jeszcze dwa piwa. „Czułem, że mogę prowadzić auto. Na trasie nic złego się nie działo. W mojej ocenie nie przekraczałem prędkości". Tyle że jego ocena była mocno zaburzona. Dał radę przejechać 370 km. Podróż zakończył ok. godz. 13 na autostradzie A1 na wysokości Piotrkowa Trybunalskiego. Na remontowanym odcinku drogi jego BMW X6 M zjechało z pasa i uderzyło w pachołek.

„Jadąc, widziałam już, jak balansuje tym samochodem, że nie panuje nad nim. Gdybym nie odjechała w prawo, pewnie skończyłoby się to tak, że by wjechał na mnie, a prędkość jego była ogromna" – opowiadała „Wiadomościom" TVP świadek zdarzenia.

Badanie alkomatem wykazało 2,6 promila alkoholu. To potężne stężenie. Oznacza całkowite upojenie. Dziennikarz nie był w stanie samodzielnie wysiąść z auta. Na tylnym siedzeniu towarzyszył mu ukochany owczarek Dymitr. Pies trafił na kilka godzin do schroniska (odebrał go przyjaciel Durczoka). Kierowca – do policyjnego aresztu. Alkohol parował długo. Przesłuchanie okazało się możliwe dopiero w niedzielę. Trwają podobno badania na obecność narkotyków we krwi.

Czy w aucie znajdował się ktoś jeszcze? Świadczyć miałaby o tym wystrzelona poduszka powietrzna po stronie pasażera. Uaktywnia się, gdy czujnik odczyta obciążenie fotela bądź zapięcie pasów bezpieczeństwa. Aby poduszka zadziałała bez obecności kogokolwiek obok kierowcy, musiałoby nastąpić silne uderzenie pojazdu w przeszkodę. To nie ten przypadek.

Według nieoficjalnych doniesień mediów z Durczokiem jechała 20-letnia Karolina, kelnerka z Krakowa. Pierwszy pisał o tym na Twitterze dziennikarz śledczy ze Śląska Tomasz Szymborski. Prokuratura pierwotnie zaprzeczała, lecz później przyznała, że sprawdza ten wątek. Nie wiadomo jednak, kiedy kobieta miała wsiąść do auta ani kiedy wysiąść.

Durczokowi postawiono zarzuty prowadzenia auta w stanie nietrzeźwości i sprowadzenia bezpośredniego niebezpieczeństwa katastrofy w ruchu lądowym. Grozi mu do 12 lat więzienia. Prokuratura wniosła o zastosowanie aresztu tymczasowego. Sąd zdecydował jednak inaczej. Według pełnomocników dziennikarza sędzia miał stwierdzić, że drugi zarzut nie jest wystarczająco uzasadniony.

Nie podejmujemy się rozstrzygać, czy Durczok powinien na dłużej trafić do aresztu. Być może nie. Jednak stanowisko sądu jest szokujące. Wszak oczywistością jest, że tak bardzo pijana osoba

Fot. DARIUSZ SMIGIELSKI/DZIENNIK ŁÓDZKI/EAST NEWS

eprasa.pl d736cb0a63

na autostradzie stanowi śmiertelne zagrożenie dla innych uczestników ruchu. To musi rodzić pytania, czy celebryta zostanie potraktowany sprawiedliwie – jak zwykły człowiek.

Wobec dziennikarza zastosowano jedynie dozór policyjny (ma się stawiać na komisariacie), zakaz opuszczania kraju oraz poręczenie majątkowe w wysokości 15 tys. zł (zaskakująco niskie jak na tak zamożnego człowieka).

Po tym dobrym dla niego rozstrzygnięciu Durczok wygłosił przed kamerami krótkie oświadczenie: „Bardzo, bardzo wszystkich przepraszam. Wszystkich tych, którzy we mnie wierzyli. Wszystkich tych, którzy mi ufali. To są dla mnie bardzo, bardzo trudne dni. Mam pełną świadomość, że to, co się wydarzyło, jest karygodne absolutnie. Ani przez moment nie zaprzeczałem faktom, które zgromadziła w tej sprawie i policja, i prokuratura. Pozostaje mi przeprosić i moich widzów, i internautów, i czytelników, i tych, którzy mi ufali, ale przede wszystkim chciałbym przeprosić moich najbliższych, bo zostali narażeni na infamię i cierpienia, na które w najmniejszym stopniu nie zasłużyli".

Prokuratura złożyła już zażalenie na niezastosowanie aresztu tymczasowego.

Z POGARDĄ NA SZCZYT

Zaczynał w 1991 r. w Radiu Katowice. Później kierował Radiem Top. W 1993 r. trafił do ośrodka TVP w Katowicach. Trzy lata później był już w centrali – prowadził publicystyczne programy na ogólnopolskich antenach. Ale jego gwiazda rozbłysła w 2001 r., kiedy został jednym z prowadzących „Wiadomości".

– Szefem formalnie był Robert Kozak, ale to Durczok nim kręcił. Na porannych kolegiach lubił się mądrzyć. Zasiadał z całym zespołem przy długim stole, kładł na niego nogi i perorował. Pamiętam jedną z takich opowieści: „Byłem wczoraj na kolacji i Jolanta powiedziała..." Chodziło o to, jak dany temat miał być pokazany w „Wiadomościach". A powoływał się przy tym na najwyższy wówczas „autorytet", czyli Jolantę Kwaśniewską – mówi nam osoba, która wówczas z nim pracowała.



Kamil Durczok od lat jest bohaterem tabloidów

Słyszymy relację, że już wówczas był człowiekiem, „do którego należał świat". – Miał pieniądze i sławę. Co było najbardziej charakterystyczne, to gardzenie wszystkimi, z którymi pracował. Był miły tylko dla polityków silniejszych od niego. W kluczowym momencie przed wydaniem przychodził na ostatnią chwilę, zawsze wkurzony, i zaczynał na wszystkich wrzeszczeć. Że „biała" (zapowiedź materiału reporterskiego czytana przez prezentera) napisana nie tak, jak trzeba – a samodzielnie nigdy ich nie pisał, bo korona by mu z głowy spadła – kwestionował zawartość materiałów, atmosfera robiła się naprawdę nerwowa. Do rozpoczęcia programu zostawało niewiele czasu, a Kamil potrafił rozkosznie rozmawiać przez telefon na tyle głośno, by wszyscy słyszeli, z kim jest w dobrej komitywie. Pamiętam, gdy ostentacyjnie gaworzył z jednym z członków KRRiT z wysokiego „czerwonego towarzystwa". Musiałeś wiedzieć, że siedzisz obok nie byle kogo, kto z „kimś takim" rozmawia.

Po latach napisze w swojej książce: „Telewizja publiczna to tonący w długach moloch, w którym zatrudnienie muszą znaleźć krewni i znajomi aktualnie sprawującego władzę królika. Trzeba ją po prostu zamknąć. [...] jeśli ma przetrwać, powinna pełnić funkcję czysto edukacyjną". Gdy sam był beneficjentem tego systemu, jakoś nie narzekał. Szczycił się Telekamerami, Wiktorami, Grand Pressem, nagrodami prezesa TVP. W 2002 r. od Aleksandra Kwaśniewskiego dostał nawet Złoty Krzyż Zasługi.

W tamtym czasie znalazł się na pierwszym, niezawinionym przez siebie, zakręcie. Mierzył się z chorobą nowotworową. Wygrał tę walkę, a jego historia stała się otuchą dla wielu dotkniętych rakiem.

Przewinął się przez redakcje radiowej Trójki, RMF, Zetki. W 2006 r. wdrapał się na swój Olimp – został szefem „Faktów" TVN.

PIĘKNA WYSPA PRZEMOCY

We wspomnianej już książce „Przerwa w emisji" Kamil Durczok kreśli swój obraz czułego barbarzyńcy, twardziela o miękkim, choć głęboko schowanym sercu. Tłumaczy to, z pozoru samokrytycznie, wielkim przeskokiem jakościowym i finansowym, jaki w jego życiu dokonał się przez przejście z TVP do TVN i presją, jaka na nim zaczęła ciążyć.

„Kiedy więc wciąż szukam odpowiedzi na pytanie, dlaczego część tych ludzi, którzy pracowali tam ze mną, mogła się czuć źle, wręcz pod butem, to myślę i o tym, że być może był to efekt odreagowania pierwszego okresu, kiedy wydawało mi się, że mam stanowczo za mały wpływ na to, co się dzieje. Silniejsi robili, co chcieli... Ktoś wychodził z kolegium i trzaskał drzwiami. Uznałem zatem, że zarządzanie musi się opierać na wojskowym systemie dowodzenia, drylu i darciu się" – pisze o okresie, w którym obejmował kierownictwo „Faktów". Rzeczywiście,

eprasa.pl d736cb0a63

jego choleryczny, wybuchowy charakter stał się częstym tematem rozmów w redakcji, ale i poza nią, w tzw. światku medialno-celebryckim. Durczok tłumaczy, że ciśnienie na wynik, procenty, oglądalność było wielkie, a celem – niewypowiedzianym, ale jasnym – wyjście spod kompleksu koncernu Agora, który do tej pory uzurpował sobie prawo rozgrywania świata polityki i biznesu po cesarsku. Szefostwo TVN musiało widzieć, że szef potężnego zespołu tworzącego najważniejszy komercyjny program informacyjny działa właściwie na pograniczu przemocy, ale skoro przynosiło to efekty...

„Jako medium staliśmy się w końcu właściwie samowystarczalni. Zupełnie jak „Gazeta Wyborcza" i Agora w latach 90. Salon. Myśmy nie »zapraszali«, tylko »dopraszali« gości, komentatorów, inne media do siebie. [...] Wyspa. Piękna wyspa" – czytamy w książce Durczoka, który wręcz ekshibicjonistycznie odkrywa motywy i sposoby działania korporacji z Wiertniczej. „Sami też, zupełnie świadomie, odsuwaliśmy się od reszty medialnego świata. Tak właśnie, jak ta »Wyborcza« w latach 90., która ostentacyjnie pokazywała, kto dla niej nie istnieje, a kogo łaskawie zdecyduje się pogłaskać. Kto swój, a kto nie swój. I wszyscy się do niej łasili. [...] Nawet nie wiesz, w którym momencie zaczynasz zdawać sobie sprawę, że oprócz informowania, robisz własną politykę [...] Podświadomie szukaliśmy więc powodu, żeby o czymś tam nie poinformować [...] Pokolenie, które tam pracowało, nigdy nie chodziło z tym zgięciem w krzyżu wobec »Gazety Wyborczej«, ale wiedziało, że kiedyś tamci dawali placet: albo się dostawałeś do środowiska, albo nie miałeś na to żadnych szans. Lądowałeś w szufladzie »kurioza i oszołomy«".

Dziennikarz nie ukrywa, że taka jazda bez trzymanki, niemal windą do nieba, wielu jego współpracownikom i jemu samemu bardzo się podobała. „[...] uwielbialiśmy być ze sobą po godzinach – typowy syndrom rodziny, która jednocześnie kocha się i nienawidzi, ale inne rodziny nie bardzo ją obchodzą. Jeśli dochodziło do karczemnych spięć, to potem nadchodziła pora, żeby się wspólnie wyluzować. [...] Nie były to grzeczne wyjazdy, zachowywaliśmy się trochę jak wojsko wypuszczone z koszar na przepustkę".

POGARDA DLA MAŁYCH

Jest bardzo wielu dziennikarzy, którzy otarli się o TVN24 w „czasie Durczoka" (szefem „Faktów" był przez blisko 10 lat), ale mało który miał szczęście znalezienia się w „jego gronie". – Na korytarzach rozmawiał tylko z dziennikarzami ze swojej „Faktowej" redakcji albo gwiazdami. Redakcyjnej młodzieży prawie nie zauważał, no, chyba że pojawiła się jakaś fajna panienka – wspomina jedna z szeregowych pracownic stacji. Inny opowiada: – To było przed świętami. Siedzieliśmy w grupie osób, które w hierarchii korporacji znaczyły chyba najmniej (tzw. redaktorzy), i dzieliliśmy pomiędzy siebie bony Sodexo, które sprezentowała nam firma. Nie zarabialiśmy dobrze, więc nawet tak niewielki gest cieszył. Durczok przystanął i nam się przyglądał. Licytowaliśmy się w żartach, co też możemy sobie sprezentować za te bony. Propozycje były skromne, bo każdy miał do wydania zaledwie sto kilkadziesiąt złotych, ale śmiechu mieliśmy przy tym co niemiara. Nagle Durczok wypalił: „A ja mojemu synowi kupiłem quada!". Odwrócił się i poszedł. Zamurowało nas.

Nic dziwnego, że trudno w tym gronie wykrzesać jakiekolwiek współczucie dla upadłej gwiazdy. Tym bardziej że i te „ważniejsze" znajomości budzą teraz wątpliwości. W swojej książce Durczok opisuje dwa momenty, które pomogły mu w zdobyciu sympatii widzów, wybiły go na szczyty popularności. Chodzi mu o chorobę nowotworową, podczas której spotkał się z wielką falą ludzkiej empatii i sympatii, oraz incydent z upier...lonym stołem i „Rurkiem". Hitem internetu stało się nagranie, w którym Durczok karczemnie przeklina, bo zauważył plamę na blacie przed sobą. „Rurku... no to dobrze, że mnie słuchasz. Kto odpowiada za to, jak tu wygląda w tym studiu? Taaaa, nie wkur...aj mnie, dobrze?!". Kim jest „Rurek"? Tak znajomi zwracają się do jednego z najbardziej doświadczonych realizatorów wizji, Artura Rurarza. Durczok zna go świetnie, przez prawie dekadę pracowali przy każdym wydaniu „Faktów", a jednak w swoje książce pisze o Arturze Rurańskim... Niby taki to ważny moment w karierze, a jednak myli nazwisko gościa, którego zna prawie 10 lat? Głupia sprawa.



W PĘTLI PROBLEMÓW

Życie na wysokich obrotach, a takie w swojej opowieści roztacza przed czytelnikami Kamil Durczok, musi prędzej czy później zaprowadzić na zakręt trudniejszy do pokonania od poprzednich. Można odnieść wrażenie, że dziennikarz ma w sobie jakiś gen autodestrukcyjny. Sam

eprasa.pl d736cb0a63

wytwarza ciśnienie, które potem rozbraja w ryzykowny sposób.

W 2016 r., gdy wychodzi jego książka, udziela też wywiadu Magdalenie Rigamonti w „Dzienniku Gazecie Prawnej": „To ja określam granice, co mi przystoi, a co nie. [...] I oczywiście nie wydaje mi się np., by taki facet jak ja mógł się upijać i zataczać w miejscu publicznym. Ale widziała mnie pani w takiej sytuacji? Nie. Więc jeśli idę do knajpy i mam ochotę wypić piwo albo dwa, to je wypijam – bo je lubię. Choć teraz akurat mniej, bo chłodno. Ale latem... Pani Magdo, nie ukrywam, że lubiłem imprezować. Widać było mi to potrzebne, żeby się zrelaksować. Mam się tego wstydzić? Nie, nie wstydzę się".

Durczok mówi to w swoim stylu, bez pokory, która czasem by się przydała każdemu. Jej brak powoduje, że niegroźne życiowe wywrotki stają się spektakularne, a ich skutki bolesne. I nikomu nie jest żal leżącego. W książce kwestia alkoholu pojawia się wielokrotnie. Drink po sukcesie, piwko lub dwa w stresie, wódka na szalonej imprezie. Nazwania problemu jednak nie ma.

„Długo maskowałem się skutecznie. Nie wychwyciła tego w diagnozie nawet moja pierwsza pani terapeutka. [...] Nadal kładłem sobie do głowy, że moje niedziele muszą tak wyglądać, bo mam odpowiedzialną pracę, bardzo ciężką, której nikt poza mną nie rozumie. W związku z tym muszę się znieczulić alkoholem o jedenastej lub trzynastej. Myślę też, że jakaś część moich skłonności do sportów ekstremalnych brała się właśnie z takiego myślenia". W książce opisuje dni, gdy po wyczerpującej pracy umawiał się z grupą kolegów na motocyklową rundkę wokół Warszawy. Z daleka pachnie adrenaliną, ale szczegółów tych wypadów nie ma. Być może autodestrukcyjny gen w momencie pisania książki nie był jeszcze na tyle rozwinięty, by podać do publicznej wiadomości trasy przejazdów i przede wszystkim ich... czasy. Ale zamiłowanie do prędkości chyba mu nie minęło.

SZYBKI ZJAZD NA DÓŁ

Osobną kwestią jest molestowanie, o które go oskarżono. Powołano w TVN specjalną komisję, która przesłuchała wielu świadków, zapewniając im anonimowość. Wyrok – według Durczoka – został wydany na samym początku. Dlaczego nie stworzył się front obrony Kamila Durczoka? Bo nikt tak naprawdę nie miał pewności, jak naprawdę było. Miał opinię kobieciarza i niejedna dziewczyna w redakcji nadziała się na jego grubiańskie i seksistowskie żarty. Tego co prawda nie można jeszcze nazwać molestowaniem, ale nie było chętnych, by zaręczyć, że w innych przypadkach cienka granica nie została przez niego przekroczona.



Gwiazda Kamila Durczoka rozbłysła w 2001 r., kiedy został jednym z prowadzących „Wiadomości" TVP. W 2006 r. wdrapał się na swój Olimp – został szefem „Faktów" TVN

Kamil Durczok ma sporo żalu, przede wszystkim do swoich szefów, że żaden z nich nie podważył decyzji zarządu, by gwiazdy się pozbyć. Często w ocenie pracy swojej i innych powołuje się na światowe standardy. Tym razem chyba ma jednak spore szczęście, że nie pracuje w Ameryce. Gdyby tam wewnętrzna komisja tak jednoznacznie stwierdziła jego winę, zostałby po prostu rozszarpany. Z TVN ostatecznie odszedł za porozumieniem stron i z sowitą odprawą. Miał jeszcze epizod w Polsacie, ale okazało się, że blask jego gwiazdy już tak nie olśniewa. Wrócił więc na Śląsk i na swojej ziemi zapowiedział przełom w mediach – otworzył portal Silesion.pl. Mało kto się zorientował, że już go w sieci nie ma.

Mimo poważnych zawirowań wokół własnej osoby Kamil Durczok próbował pomagać innym. W internecie wciąż są aktywne strony internetowe Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości z ofertą: „Budowa wizerunku z Kamilem Durczokiem". Za 8,5 tys. zł w dwa dni przedsiębiorca lub osoba prywatna mogli się dowiedzieć np., „Jak opanować kryzys wizerunkowy w firmie i wykorzystać go jako szansę". W opisie czytamy także: „Gwarantujemy Ci, że rezultaty, które osiągniesz po tym szkoleniu, mają charakter trwały".

SZEROKI FRONT OBRONY

Pijani kierowcy to kategoria ludzi, dla których mamy najmniej wyrozumiałości. I nic dziwnego. Każdy, kto wsiada za kółko pod wpływem alkoholu, stanowi zagrożenie nie tylko dla siebie, lecz przede wszystkim innych. Jeśli ktoś prowadzi auto w takim stanie jak Durczok, jest niczym

eprasa.pl d736cb0a63



Fot. Darek Redos/Reporter, Piotr Fotek/Reporter

granat z wyciągniętą zawleczką. Chyba tylko wyjątkowy łut szczęścia sprawił, że na 370 km drogi z Wybrzeża dziennikarz nie pozbawił nikogo zdrowia czy życia.

Tym bardziej może dziwić, że znalazł tak licznych obrońców. Prof. Jan Hartman, znany z przekraczania granic filozof i lewacki publicysta, najpierw napisał na Twitterze: „Kamil Durczok całe życie ma jakieś afery. Ale potem się jakoś podnosi. I tak też będzie tym razem. Bardzo mi go żal, choć to trudny gość. Może jego problemy to nie całkiem jego wina? Pamiętajmy, ile dobrego zrobił, i nie przekreślajmy go". Później rozwinął swą myśl na blogu, solidaryzując się z celebrytą m.in. dlatego, że „Durczok to ważny i zasłużony dziennikarz", a poza tym ma problemy psychiczne.

Osobom, które zrobiły wielkie kariery, wolno więcej – oto filozofia filozofa Hartmana. Podziela ją Bartosz Wieliński z „Gazety Wyborczej": „Dziennikarskim moralistom, którzy ogłaszają z satysfakcją upadek Kamila Durczoka, uprzejmie i na marginesie chciałbym przypomnieć, że Durczok miał z czego upaść. Oni nie mają".

Co jeszcze można wymyślić, by rzucić koło ratunkowe redaktorowi w kłopotach? Można szukać łamigłówek prawniczych, jak dr Mikołaj Małecki, karnista z Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek zarządu Krakowskiego Instytutu Prawa Karnego (kierowanego przez prof. Andrzeja Zolla). „Nie ma zgody na pijanych kierowców, ale zarzut sprowadzenia niebezpieczeństwa katastrofy przez #KamilD wygląda na mocno przesadzony. Kierowca musiałby wywołać zagrożenie naraz dla WIELU osób. Czy w tej sytuacji drogowej po najechaniu na bariery było zagrożonych wiele osób?". Oby sędziowie (nie tylko w tej, lecz i podobnych sprawach) nie wykazywali podobnego stosunku do bezpieczeństwa na drogach i elementarnej logiki. Przecież ledwo przytomny Durczok stanowił zagrożenie dla każdej osoby mijanej po drodze.

Jeszcze bardziej kuriozalną obronę zastosował Łukasz Bąk z „Dziennika Gazety Prawnej": „Technicznie rzecz biorąc, to nie on prowadził samochód. Robiły to za niego radary, kamery, siłowniki i komputer. Równie dobrze zatem za kierownicą mógł siedzieć pies Kamila – Dymitr. I też dojechałby do Piotrkowa [...] W sumie można powiedzieć, że było autem półautonomicznym czyli – w pewnych warunkach – samojeżdżącym. Wystarczyło, że Kamil ustawił aktywny tempomat np. na 140 km/h (albo ktoś zrobił to za niego), a z resztą auto poradziło sobie samo". Ciekawe, kto z takiego argumentu ucieszył się bardziej – prawnicy Durczoka czy menedżerowie z BMW.

Mecenasi szybko zadęli w polityczne surmy: „Kwalifikacja prawna nie znajduje podstaw w zgromadzonym materiale dowodowym i obawiamy się, że może to być wykorzystane do ataku na człowieka, który dotąd krytykował władze". Mec. Michał Zacharski jakby zapomniał o tych 2,6 promila. Czy krytykowanie rządów PiS ma stanowić immunitet dla przestępców?

Bez ceregieli wsparł dziennikarza prezes Małopolskiego Związku Piłki Nożnej Ryszard Niemiec: „Niech rzuci kamieniem ten, co na fleku nie wsiadł do auta!".

W tym samym duchu utrzymane były publikacje „Gazety Wyborczej" i TVN24. Ci pierwsi zamieścili obszerny komentarz

eprasa.pl d736cb0a63



W 2002 r. od Aleksandra Kwaśniewskiego dostał nawet Złoty Krzyż Zasługi

Fot. Tomasz Gzell/PAP

zatytułowany: „Kamil D. to po prostu Polak". A w nim zdziwienie, że ktokolwiek się Durczoka czepia i argumentacja, jakoby Polacy w ogóle nie trzeźwieli, więc nie mają prawa się oburzać na jednego gwiazdora: „Dziennikarz D. jechał pijany autostradą – szok? Raczej polska norma. Tylko 28 lipca tego roku zatrzymano 345 nietrzeźwych kierujących. Chlejemy więcej niż w czasach, gdy leżący na chodniku pijak był codziennością. Lepiej się tylko ukrywamy".

To samo w TVN24, który też odnotował, że w Polsce jest coraz więcej pijanych kierowców. Tyle że w dawnej stacji Durczoka mocniej utożsamili się z byłym redakcyjnym kolegą. „Pijemy przy każdej okazji" – mówi w pierwszej osobie reporter. A ekspert Krzysztof Brzózka (kiedyś szef Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych) bagatelizuje: „Pijemy dużo, pijemy coraz więcej. To pokazują statystyki i w związku z tym skutki tego picia muszą być. To jest nieuniknione". Okazuje się więc, że to nie Durczok ma problem, lecz cała Polska. Wszyscy jesteśmy Durczokami?

Wobec powyższego warto więc docenić publikację serwisu naTemat.pl, który mocno wyeksponował rozmowę z Błażejem Gawrońskim, dyrektorem Miejskiego Zespołu Terapii Uzależnień w Olsztynie. Zapytany, czy jest dopuszczalne jakiekolwiek usprawiedliwianie kogoś, kto prowadził auto pod wpływem alkoholu, odpowiada: „Nie, nie. To nie ma żadnego sensu. Mało tego, może być bardzo niekorzystne dla tej osoby. Jeśli ma problem z alkoholem, zastrzegam – jeśli ma, to będzie łapał się wszystkich takich opinii, które usprawiedliwiają, które trywializują ten problem, lekceważą go, a to może być dla niego bardzo niebezpieczne. Oddali go od stanięcia w prawdzie i skonfrontowania się z chorobą. […] Tyle lat pracuję w tej branży, to jest to zastanawiające, ile jeszcze nieszczęść potrzeba, żeby ludzie jednoznacznie się przekonali, że połączenie alkohol i samochód kompletnie się wyklucza. W przypadku tego dziennikarza nic nikomu się nie stało, ale mogło się stać. Pan Bóg chyba się zlitował nad tym człowiekiem, żeby mu dać jakąś szansę. Powinien jednak zostać przykładnie ukarany, aby poczuł, że musi zmienić swoje życie".

BEZ NAUKI

Z aktywności publicznej Kamil Durczok czerpie chyba sporo energii, bo wiele wydarzeń, a z okolic polityki chyba każde, obficie komentuje w mediach społecznościowych. Uwielbia wtykać szpile politykom PiS. Zawsze ciętym językiem, bez poczucia zagrożenia, że może sam się ukłuć.

W grudniu ubiegłego roku premier Mateusz Morawiecki półżartem opowiadał o czasach, gdy był konsulem honorowym Republiki Irlandii w Polsce: „[…] zapewniam, że ten trudny język irlandzki, gaelicki, jak się wypije guinnessa czy whisky, to brzmi bardzo podobnie do polskiego, można się porozumieć". Niestrudzony w krytyce rządu PiS Kamil Durczok nagrał wówczas film, który umieścił w sieci. Przez sine z wściekłości usta cedził: „Gdybym nie był abstynentem, tobym sobie huknął setkę whiskaczyka irlandzkiego. I popił irlandzkim guinessikiem, że tak zacytuję dowcipnie żarcik, którym pan premier Morawiecki zechciał się podzielić z nami wszystkimi podczas tego partyjnego zlotu Prawa i Sprawiedliwości. No tak, faktycznie, jak się wypije odpowiednią ilość alkoholu, to polski jest podobny do irlandzkiego, angielskiego i jakiegokolwiek innego jeszcze języka na świecie. Bo zdaje się, że język pijactwa jest językiem uniwersalnym". Wtedy ten przekaz przeszedł bez echa, dziś jest hitem internetu...

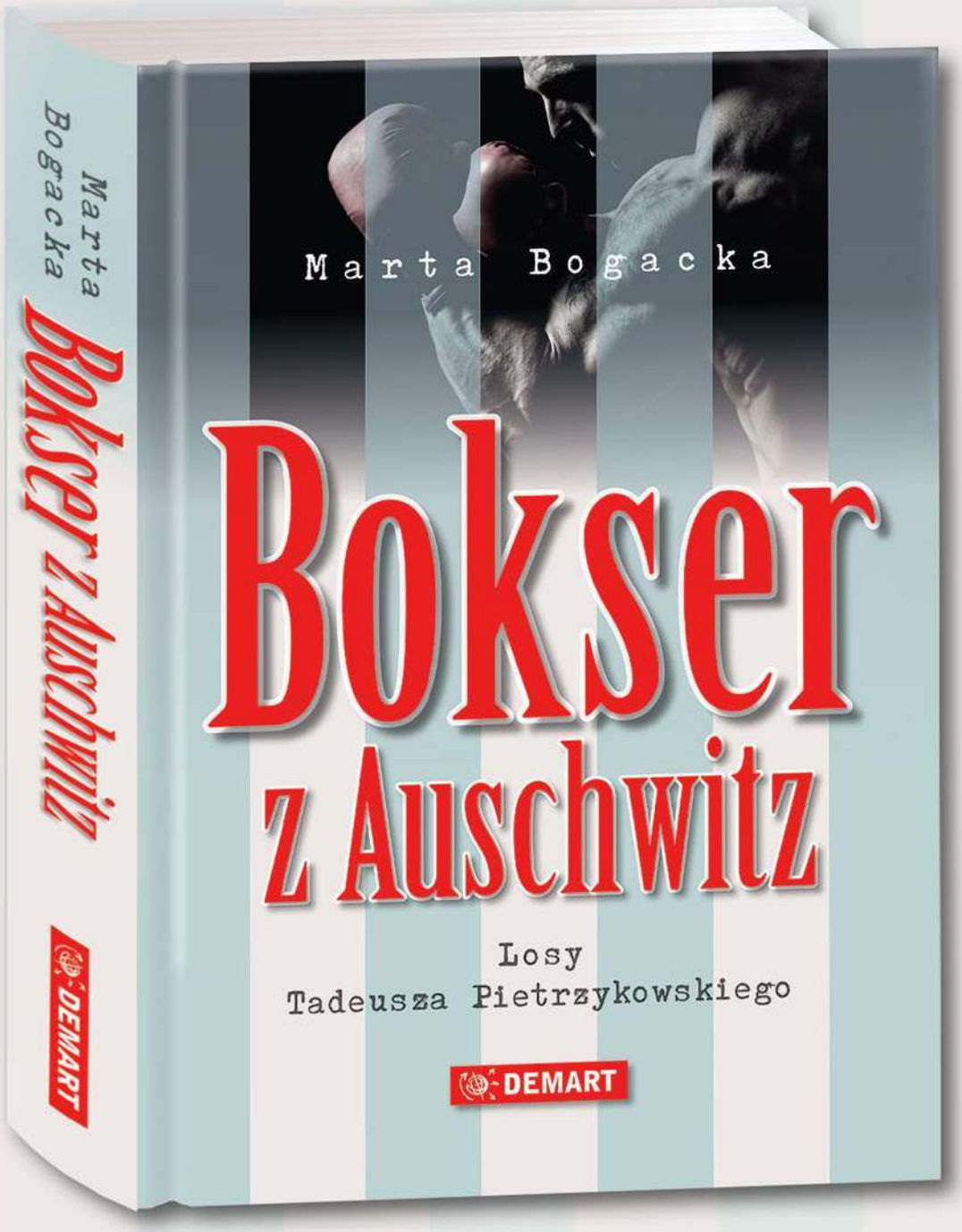
W marcu Durczok pastwił się nad Joachimem Brudzińskim, ówczesnym ministrem spraw wewnętrznych i administracji, którego kierowca dostał mandat za przekroczenie prędkości. „W sprawie szalonej jazdy @jbrudzinski i jego żenującej ofensywy twitterowej, konkluzja jest jedna: daj chłopu młotek, to się sam zmasakruje". Znów można się tylko uśmiechnąć...

Sprawa jest jednak poważna. Po pierwszej, absurdalnej decyzji sądu, który wypuścił pijaka drogowego po zastanawiająco niskiej kaucji, musi paść pytanie o równość wobec prawa. Znów dygresja: sprawę rzekomego oszukania biznesmena Birgfellnera przez Jarosława Kaczyńskiego Durczok też komentował: „Wszyscy obywatele są równi, ale są obywatele równiejsi". Owszem, to zgryźliwość, ale znając przypadki zastanawiającej łaskawości dla pupilów salonu III RP i kondycję dzisiejszego sądownictwa, można przypuszczać, że Durczok się jakoś z tego wywinie. Ile dalibyście procent, że tak?

50/0619/F

eprasa.pl d736cb0a63

Bił Niemców jak chciał...



...historia więźnia 77

Książka dostępna w księgarniach oraz na www.demart.com.pl

DEMART

eprasa.pl d736cb0a63

Białystok: krajobraz po bitwie



eprasa.pl/d736cb0a63



Protest przeciwko marszowi równości w Białymstoku, 20 lipca

Kiedy patrzy się na centrum Białegostoku, pełne ogródków restauracyjnych, z mnóstwem ludzi, trudno wyobrazić sobie, że niedawno było miejscem gwałtownych wydarzeń. Sceneria jest wręcz idylliczna, trochę wielkomiejska, a trochę swojska. Największym powodzeniem cieszą się lokalne specjały, babka ziemniaczana i kartacze oraz piwo z podlaskich browarów



MAJA NARBUTT

Ludziom w Białymstoku żyje się dobrze, tak wynika ze wszystkich badań. Są po prostu zadowoleni, czują się szczęśliwi. To pewien fenomen – zawsze Białystok otwiera rankingi oparte na subiektywnych odczuciach badanych – mówi dr Maciej Białous, socjolog z Uniwersytetu w Białymstoku.

Wcale nie oznacza to, że obiektywne wskaźniki dotyczące jakości życia są równie świetne. Ta rozbieżność może świadczyć o tym, że albo białostoczanie nie mają dużych aspiracji, albo nie wiedzą, jak naprawdę dobrze można żyć. Może też dowodzić czegoś zupełnie innego.

– Rodzina, spokój, tradycyjne wartości. Cieszymy się, że wokół jest zielono, nie jest daleko do lasu, gdzie można zbierać grzyby, że blisko są jeziora, w których można popływać. I właśnie w obronie tego spokoju wyszliśmy na ulice. Bo nie chcemy cywilizacyjnej rewolucji – mówi Jacek Słoma, prezes konserwatywnej fundacji Podlaski Instytut Rzeczypospolitej Suwerennej.

Był jedną z tych osób, które zasiadły przed komputerem tuż przed północą 19 czerwca, by 30 dni przed terminem wysłać na skrzynkę mailową ratusza zgłoszenie o planowanej demonstracji. Wyścig toczył się o to, kto będzie pierwszy, czy zdąży się zarejestrować zgromadzenie, zanim zrobią to działacze Tęczowego Białegostoku. Jacek Słoma twierdzi, że mu się udało – w każdym razie zrobił to w tej samej minucie. Sąd okręgowy przyznał mu rację – uznał, że sekundy czy ułamki nie mają znaczenia. Ale prezydent Tadeusz Truskolaski się odwołał i doprowadził do tego, że marsz w obronie tradycyjnej rodziny się nie odbył.

– Prezydent faworyzował marsz równości, wręcz parł za wszelką cenę do tego, by koniecznie przeszedł ulicami Białegostoku – twierdzi Słoma, podkreślając, że w tym dążeniu prezydent lekceważył wpływające do niego notatki policyjne, które ostrzegały, że może dojść do zamieszek.

– Opór przed marszem równości był w naszym mieście bardzo silny. I wbrew obiegowej opinii wcale nie chodzi o jakiś katotaliban, fundamentalistów katolickich. W sprzeciwie zjednoczyli się wszyscy wierzący – mówi jeden z moich rozmówców.

Kiedy marsz równości dotarł do cerkwi św. Mikołaja, znajdującej się na głównej ulicy miasta, drogę zagrodziła mu grupka prawosławnych.

– To był niezwykły widok. Na drodze marszu stanął siwowłosy mężczyzna, stał, jakby wrósł w ziemię. Wysoko nad głową trzymał ikonę Chrystusa Zbawiciela. W końcu ściągnęła go policja i wlepiła mandat – opowiada białostocka dziennikarka.

Może kontrdemonstranci nie byliby tak zdeterminowani i wzburzeni, gdyby marsz nie przechodził trasą pełną ważnych dla białostoczan symboli – od monumentalnego pomnika, na którym widnieje napis „Bóg, honor, ojczyzna", przez główne arterie miasta i obok najważniejszych świątyń.

Wszystko jest bardziej skomplikowane, niż się wydaje z daleka, Białystok

Fot. Marek Maliszewski / REPORTER



od dawna zaś ma czarny pijar. Jak uważa socjolog Maciej Białous, którego sympatie polityczne są dalekie od prawicy, stygmatyzuje się i krzywdzi to miasto, a obraz medialny jest znacznie gorszy niż rzeczywistość. Mówienie „idziemy po was", co robił ówczesny szef MSW Bartłomiej Sienkiewicz, czy też pogardliwe „każdy ma swój Białystok", autorstwa publicysty Jacka Żakowskiego, budzą jego sprzeciw.

– Białystok nie jest jakimś szczególnym miejscem na mapie Polski. Przyprawia mu się gębę czarnego luda. Owszem, zdarzały się tu skandaliczne rasistowskie wybryki, a białostocki prokurator uznał, że swastyka wcale nie kojarzy się z faszyzmem, lecz jest hinduskim symbolem szczęścia. Jednak mam głębokie przekonanie, że to, co wydarzyło się ostatnio w naszym mieście, równie dobrze mogło się wydarzyć gdzieś indziej – twierdzi.

Emocje powoli opadają, ale to, co stało się 20 lipca w Białymstoku, będzie dostarczać politycznego paliwa.

– To już krajobraz po bitwie, lecz temat zamieszek w mieście będzie wykorzystywany przez wszystkie strony politycznego sporu. Będą się wzajemnie oskarżać, że eskalowały napięcie. Można wskazywać, że odczytywany kilka dni przed marszem równości list arcybiskupa Tadeusza Wojdy, zawierający formułę „non possumus", czyli „nie pozwalamy", podgrzał atmosferę. A można też podkreślać, że prezydent Tadeusz Truskolaski jest związany z Koalicją Obywatelską, co w końcu jest ważnym elementem politycznej układanki – mówi dr Białous.

Wielu moich rozmówców stawia w tym miejscu kropkę nad i. Uważają, że prezydent Truskolaski chce wejść do wielkiej polityki, a forsowanie marszu równości mogło być „spełnieniem politycznego zamówienia centrali". Nie bez znaczenia jest to, że syn prezydenta startuje w najbliższych wyborach z listy KO.

– Jeszcze do niedawna Truskolaski ostentacyjnie siedział w pierwszej ławce w kościele. Teraz zaostrza swoją retorykę. Oświadczył w Polsacie, że jeśli porozmawia z arcybiskupem Wojdą i prawosławnym arcybiskupem Jakubem, to rozmowa będzie dla hierarchów nieprzyjemna. Wszyscy osłupieliśmy – mówi jeden z białostockich samorządowców.

MEDIALNA APOKALIPSA

– Gdy w ruch idą ręce i kamienie, wygląda to fatalnie. Dla naszego miasta bilans jest kiepski, w świat poszedł niedobry przekaz – przyznaje przygnębiony Sebastian Łukaszewicz, radny PiS do sejmiku województwa podlaskiego.

Helikopter Straży Granicznej, lecący tak nisko nad tłumem, że jego koła znajdowały się na wysokości latarni, a podmuch wirujących śmigieł przewracał ludzi. Petardy i butelki rzucane w kierunku marszu równości przez kiboli, policja, która odpierała atak za pomocą granatów hukowych. Przechodnie duszący się gazem pieprzowym, przecierający załzawione oczy. To wszystko można było zobaczyć na ekranach telewizorów i w niezliczonych filmikach wrzucanych do internetu.

> Kiedy uważnie patrzy się na materiały z marszu równości w Białymstoku, nietrudno zauważyć, że kadrów, które wydają się najbardziej brutalne, jest w sumie niewiele

W świecie, w którym obraz znaczy więcej niż tysiące słów, zrobiło to wrażenie. Białystok wyglądał jak miejsce, w którym starcie cywilizacji stało się faktem.

Kiedy uważnie patrzy się na materiały z Białegostoku, nietrudno zauważyć, że kadrów, które wydają się najbardziej brutalne, jest w sumie niewiele. Powtarzają się, co w czasach, w których każdy wyciąga smartfona, by dokumentować zdarzenia, jest znamienne. Największą karierę zrobiły dwa: nastolatka atakowanego przez rosłych młodych mężczyzn i dziewczyny z zalaną krwią twarzą. To zdjęcie rozpowszechniano jako przykład brutalnego pobicia aktywistki LGBT, choć potem się okazało, że była to kibicka spacyfikowana przez policję.

– Z bliska nie wyglądało wszystko tak przerażająco, jak mogło się wydać ludziom, którzy nie byli świadkami zajść. Byłem z mikrofonem na ulicach od wczesnego rana do późnego popołudnia. Do incydentów dochodziło przede wszystkim przed jego rozpoczęciem, gdy na placu Niezależnego Zrzeszenia Studentów tkwili jeszcze kibice, a już zaczęli tam wchodzić uczestnicy marszu. A także po marszu, gdy znaleźli się poza kordonami policji – opowiada białostocki reporter.

Marsz był mocno chroniony przez policjantów ściągniętych przez sztab kryzysowy z innych miast, reagowali zdecydowanie. Dla wielu białostoczan było to szokiem. Stojący przed katedrą na chodnikach ludzie krzyczeli do policjantów: „Zdradziliście nas", gdy w ich kierunku rozpylano gaz pieprzowy. Ale takie sytuacje były nieuniknione: za plecami modlących się chowali kibice rzucający w kierunku policji cegłami.

W relacjach osób, które obserwowały marsz równości w Białymstoku, powtarza się też jedna uwaga: nie miał tak drastycznego charakteru jak podobne marsze w innych polskich miastach. Nie było na nim profanacji symboli religijnych, bluźnierczych parodii mszy ani obscenicznych kostiumów czy zachowań.

– Katarzyna Rosińska, organizatorka marszu ze stowarzyszenia Tęczowy Białystok, od początku mówiła białostockim dziennikarzom, że w przypadku pojawienia się na marszu symboli antyreligijnych, osoby, które się tego dopuszczą, będą wypraszane. Nie było zgody organizatorów na przemarsz wyzywająco ubranych osób czy epatowanie nagością oraz wygłaszanie mów, które mogą kogoś urazić. Właśnie dlatego skrajni aktywiści LGBT, którzy jeżdżą na parady i marsze od miasta do miasta, do Białegostoku po prostu nie przyjechali – opowiada Piotr Sawczuk z „Kuriera Porannego". Nikt nie ma wątpliwości, że gdyby było

eprasa.pl d736cb0a63



Demonstracja lewicy w Białymstoku 28 lipca zgromadziła najwyżej 400 osób. Na zdjęciu przemawiający Robert Biedroń

inaczej, sytuacja mogłaby się wymknąć spod kontroli.

Reakcja protestujących przeciwko marszowi byłaby znacznie bardziej gwałtowna, a kordony policji mogłyby nie wytrzymać pod naporem. Aż do końca kontrdemonstranci obawiali się, że do prowokacji jednak dojdzie, w końcu wydarzenia z marszów w innych miastach przekonały ich, że podczas parad testuje się, jak daleko można się posunąć, kolejne granice są przesuwane, a sytuacja eskaluje.

AUTOBUSY Z REWOLUCJĄ

– Przyjeżdżają do nas do Białegostoku jak do buszu, przekonani, że muszą zrobić pranie mózgu zacofanym prostakom, prymitywom – irytuje się pani Anna, chemiczka na emeryturze. Wybrała się w charakterze obserwatorki na demonstrację „Polska przeciw przemocy", zorganizowaną przez lewicę tydzień po zamieszkach.

W ostatniej chwili datę demonstracji przesunięto o jeden dzień – unikając w ten sposób skojarzeń, które musiałyby się pojawić, gdyby demonstracja odbyła się w rocznicę wkroczenia Armii Czerwonej do Białegostoku.

Ale i tak pewne analogie są oczywiste. Demonstracja była dla miasta ciałem obcym. Większość osób, które się znalazły na placu przez Teatrem Dramatycznym, została przywieziona autokarami wynajętymi przez Wiosnę, Partię Razem i SLD.

Nie zdołały zresztą wypełnić nawet jednej czwartej tej przestrzeni. Było najwyżej 400 osób, rozlokowanych przy samej scenie. Fotoreporterzy i kamerzyści, którzy chcieli pokazać protest białostoczan przeciwko przemocy, musieli się namęczyć, by nie wypadło to tak blado.

A także wybierać ujęcia, które mieściłyby się w pewnej konwencji. Nie cieszył się więc popularnością mężczyzna, który dźwigał transparent w barwach obozowego pasiaka z różowym trójkątem, jakim w obozach koncentracyjnych oznaczano homoseksualistów. Ani młodzi mężczyźni w czarnych koszulkach Antify trzymający kartonowe napisy „Polska przeciw przemocy", co w ich wykonaniu było raczej ironicznym przesłaniem.

Jednak aktywiści LGBT, którzy koncentrowali się na opowiadaniu ze sceny, jak niezwykle traumatycznym wydarzeniem był dla nich marsz w Białymstoku, jak bardzo się bali i drżeli o swe życie, byli jedynie tłem dla politycznego spektaklu wpisującego się w kampanię wyborczą.

I niewątpliwie show skradł Robert Biedroń, choć jego wystąpienie było dość ryzykowne.

Śmiało połączył dwa wątki – powiedział, że dla jego matki, która dumnie stoi teraz przy nim, najcięższym dniem był ten, w którym dowiedziała się, że jest gejem. Tak samo ciężkim jak dzień, w którym zmarł ojciec.

Biorąc pod uwagę, że niedawno ujawniono, że zarówno sam Biedroń, jak i jego ojciec byli sprawcami przemocy domowej, wyglądało to jak wymyślony przez speców od marketingu politycznego zabieg, który ma upewnić wyborców, że w domu Biedronia wcale nie było tak źle.

Fot. Jan Bielecki/East News

eprasa.pl d736cb0a63



Fot. Bartosz Staszewski/East News

SMOKI, RYCERZE I BANDYCI

Nie ulega wątpliwości, że obraz cywilizacyjnego starcia na ulicach stolicy Podlasia byłby inny, gdyby do gry nie włączyli się kibole klubu Jagiellonia Białystok. 500 młodych mężczyzn zmieniło reguły gry, przekształcając pokojowy i modlitewny protest przeciwko przemarszowi kolumny LGBT w zamieszki.

Właściwie można się było tego spodziewać już od momentu, gdy szef stowarzyszenia kibiców Jagiellonii Białystok Adam T., pseudonim Redaktor, wezwał kibiców z innych klubów do podpisania paktu o nieagresji. Podpisanie paktu oczywiście miało się odbyć w Białymstoku, w czasie gdy trwał tam marsz równości. Kibice Jagiellonii zgłosili też zgromadzenie w centrum miasta.

Mówiąc oględnie, kibole Jagiellonii nie cieszą się najlepszą opinią, w Białymstoku głośnym echem odbiło się kilka lat temu zabójstwo syna jednego z wysokich rangą policjantów, należącego do tzw. pretorian klubu, a zamordowanego przez rywalizujących z nimi klubowych skinheadów.

Już po marszu równości media zaczęły podawać, że na Adamie T. i grupie innych kibiców ciążą zarzuty udziału w zorganizowanej grupie przestępczej, wymuszeń, handlu narkotykami, czerpania korzyści z prostytucji. Uznano to za sensację, choć sprawa toczy się od 2013 r.

– Kibole Jagiellonii nie są ani lepsi, ani gorsi od tych z innych klubów. To specyficzna subkultura, mająca pewne związki ze światem przestępczym. Uważają się jednak za współczesnych rycerzy, którzy kierują się swoim kodeksem honorowym. I jak to rycerze walczą ze smokiem. Jednym ze smoków jest policja. A drugim stało się LGBT, reprezentujące wszystko to, czego nienawidzą i czym gardzą twardzi mężczyźni – tłumaczy psycholog społeczny dr hab. Przemysław Piotrowski, autor książki o subkulturze kibiców.

Jak chwalą się kibole Jagiellonii, po wydarzeniach w Białymstoku spłynęły do nich gratulacje od kiboli z innych klubów.

Trudno się jednak dziwić, że od wszelkich kontaktów ze stowarzyszeniem kibiców odżegnują się teraz białostoccy politycy. Pecha mają ci, którzy podczas zamieszek dali się sfotografować w pobliżu grupki kiboli.

– Kompletną bzdurą jest twierdzenie, że dyrygowałem kibicami przed katedrą. Owszem, miałem megafon, przez który na prośbę policji mówiłem, by usunęli się z pasma ruchu – podkreśla Sebastian Łukaszewicz, radny PiS do sejmiku województwa podlaskiego.

Nie on jeden ma wizerunkowy kłopot. Wystarczy cień podejrzeń, że polityk w ogóle kontaktował się z kibolami, by znalazł się teraz pod ostrzałem. Czasem jest to wręcz absurdalne, jak wtedy, gdy zarzuca się marszałkowi województwa podlaskiego, że kilka miesięcy wcześniej przekazał kibicom regionalne sękacze, co można zobaczyć na zdjęciach. Bo jest to broń obosieczna i nietrudno odszukać zdjęcie prezydenta Truskolaskiego z Tomaszem P., pseudonim Dragon, kibolem Jagiellonii Białystok, kilkakrotnie karanym za różne przestępstwa.

W 300-tysięcznym Białymstoku, w którym prezes klubu Cezary Kulesza należy do ścisłej miejscowej elity – powiązanej ze sobą biznesowo, towarzysko, a nawet rodzinnie – stowarzyszenie kibiców klubu, mimo wszystkich ciążących na nich zarzutów, raczej do tej pory nie było izolowane.

– Byłoby lepiej, gdyby protest przeciwko marszowi równości w naszym mieście wyglądał inaczej. Naprawdę właśnie Białystok stać było na to, żeby w mocny sposób pokazać całemu światu, że nie zgadzamy się z rewolucją cywilizacyjną niesioną przez LGBT. Gdyby te tysiące oburzonych, zdesperowanych ludzi wypełniło kościoły i cerkwie, gdyby biły wszystkie dzwony, a ze świątyń przez otwarte drzwi dobiegał śpiew i modlitwy, byłaby to wstrząsająca manifestacja – mówi Marek Pietrowcew, miejscowy przedsiębiorca.

Nie ma wątpliwości, że choć to był pierwszy, to nie ostatni marsz równości w Białymstoku. Będzie po nim następny, warto więc odrobić lekcję.

– Nigdy nie widziałem swego miasta tak wzburzonego, tylu wielotysięcznych tłumów. Co najmniej 5 tys. osób wyległo na ulice. Za rok będzie ich jeszcze więcej. Po obu stronach wyciągnięto wnioski, następnym razem do Białegostoku ściągną posiłki. Konfrontacja jest nieunikniona – uważa białostocki dziennikarz.

Autopromocja

eprasa.pl d736cb0a63

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



HOŁDYŃSKA • JAKUBOWSKA • ŁOSIEWICZ • BIEDROŃ • FIJOŁEK • KARNOWSKI • KARNOWSKI • MAJEWSKI • OTOKA-FRĄCKIEWICZ • PYZA • WIKŁO • WOLNY

OGLĄDAJ NAS:

CYFROWY POLSAT — NA POZYCJI **196**

upc — NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange™ — NA POZYCJI **32**

NETIA — NA POZYCJI **192**

VECTRA — NA POZYCJI **825**

Zombie-lewica

Wbrew zadęciu i dziarskim minom lewicowa koalicja jest bliższa upadku niż osiągnięcia znaczącego sukcesu w wyborach



STANISŁAW JANECKI

Mimo wymuszonego entuzjazmu Włodzimierza Czarzastego, Roberta Biedronia i Adriana Zandberga, czyli łączącej się lewicy, realnie prawie nic ich nie łączy. Przez cztery lata Zandberg uważał swoją formację Partię Razem za niepodległościową lewicę w stylu przedwojennej Polskiej Partii Socjalistycznej, Sojusz Lewicy Demokratycznej zaś za „starych komuchów". Z kolei Robert Biedroń powołał w lutym br. Wiosnę jako ugrupowanie niechcące mieć nic wspólnego ani z „postkomunistami" z SLD, ani z „marksistami" z Partii Razem. Liderzy lewicowych partii szczerze się nie cierpieli jeszcze krótko przed wyborami europejskimi (26 maja br.).

Lewica została zmuszona do łączenia się, gdyż wielkiej koalicji z nią na wybory parlamentarne nie chciał Grzegorz Schetyna. Wtedy liderzy spotkali się w trybie awaryjnym i zaczęli przekonywać, że choć wcześniej mówili o sobie „różne głupoty", to teraz są już na innym etapie i owe „głupoty" poszły w zapomnienie. Dlatego świetlana przyszłość stoi przed nimi otworem.

Problemem jest to, że według sondażowego poparcia z lipca i początku sierpnia br. samodzielnie ani SLD, ani Wiosna, ani Partia Razem mogłyby nie przekroczyć pięcioprocentowego progu. Gdy w listopadzie 2018 r. SLD opuszczał jego były sekretarz generalny Krzysztof Gawkowski, zapowiadał, że za nim podążą inni młodzi działacze. Kiedy sondaże dawały Wiośnie kilkunastoprocentowe poparcie, Robert Biedroń mówił o „trzeciej sile", która rozwali duopol PiS-PO i nie ma zamiaru schylać się po resztki z SLD. Zandberg z Biedroniem prześcigali się w udowadnianiu, kto jest mocniejszy i kto do kogo przyjdzie na kolanach.

Obecnie deklaratywnie nastąpił reset animozji i pretensji, ale to tylko pozory. Poza widmem klęski w wyborach parlamentarnych trzy ugrupowania lewicowe i trzech ich liderów nadal niewiele



eprasa.pl d736cb0a63

łączy. Pojawiły się nawet nowe problemy, choćby dotyczące podziału pieniędzy. I mimo optymistycznych dla bloku lewicy pierwszych sondaży (10,2 proc. w badaniu IBRIS z 27 lipca br.), dominuje tam strach, że gdyby wystartowali jako koalicja, nie przekroczą ośmioprocentowego progu.

DOBRE STARE KOMUCHY

W październiku 2015 r. Adrian Zandberg mówił: „Zupełnie nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy rozmawiać o Zjednoczonej Lewicy [koalicji sprzed wyborów parlamentarnych z 2015 r., m.in. z SLD i Twoim Ruchem] w inny sposób niż o Platformie Obywatelskiej czy o PiS. To jest dla nas kawałek tego samego establishmentu". W maju 2016 r. Zandberg zauważył, że „przez kilkanaście lat w Polsce praktycznie nie mieliśmy lewicy. Mieliśmy formację postkomunistyczną, która była neoliberalna, która stała po stronie wielkiego biznesu". We wrześniu 2016 r. w wywiadzie dla „Dziennika Bałtyckiego" lider Partii Razem mówił: „Czy jest sens rozmawiać o partiach historycznych? Bo rozmawiać o SLD to trochę tak, jakby rozmawiać o Unii Demokratycznej albo o BBWR". Zandberg uznał wtedy SLD za partię martwą, a co najwyżej za zombie. Dlatego pozwalał sobie na wyższościowy ton: „Resztki tej formacji nie zaprzątają szczególnie naszej uwagi. Oczywiście to, że przez lata pod słowem »lewica« funkcjonowała w Polsce partia pełna skorumpowanych aparatczyków, w dodatku wdzięcząca się do biznesu i mająca w nosie pracowników, będzie jeszcze długo utrudniało nam przekonywanie ludzi do lewicy". Także dlatego, że „znaczna część liberalnego centrum i tak zwanej lewicy przegrała walkę o rząd dusz, a przegrała ją dlatego, że zapomniała – zwłaszcza ci, którzy występowali pod sztandarem lewicy – że ich elementarnym obowiązkiem jest stać po stronie praw pracowników i walczyć o prawa socjalne". Dlatego w maju 2018 r. lider Partii Razem przekonywał, że „SLD dobrze pasuje do Platformy i Nowoczesnej".



Fot. Wojtek Laski/East News

W czasie gdy na SLD wciąż spadał grad krytyki ze strony Partii Razem, liderzy nowo powstałej Wiosny nawet nie chcieli się wypowiadać o „trupie" SLD. I to mimo że ten trup wciąż żył w formie zombie, a Włodzimierz Czarzasty zapewniał, że „kocha" zarówno Adriana Zandberga, jak i Roberta Biedronia. I kompletnie nie rozumiał, dlaczego nie chcą oni z nim rozmawiać. Oni zaś zakulisowo przekonywali, że nie chcą się zatruć „trupim jadem". O lewicowej koalicji słowem nie wspominano jeszcze w lutym br.

Adrian Zandberg tłumaczył wtedy: „Sojusz Lewicy Demokratycznej prawdopodobnie podejmie decyzję o tym, że opuści swoje miejsce na scenie politycznej i pójdzie do Grzegorza Schetyny. Jeżeli chodzi o Roberta Biedronia, to komunikaty z miesiąca na miesiąc są coraz bardziej jasne: Biedroń ucieka od słowa »lewica«, mówi, że on lewicy nie buduje. Widać coraz wyraźniej, że idzie po dawnych, rozczarowanych wyborców Ryszarda Petru. Po wyborców liberalnego centrum".

Po wyborach europejskich, w których SLD znalazł się tam, gdzie przewidział Zandberg, nadal byłoby miło i kochliwie w relacjach Czarzasty–Schetyna, gdyby lider PO nie poczuł się wystrychnięty na dudka jako ten, który zrobił z trupa SLD całkiem żwawe zombie, dzięki czemu najbardziej znani „truposze" – Włodzimierz Cimoszewicz, Leszek Miller i Marek Belka – znaleźli się w Parlamencie Europejskim. I natychmiast zapomnieli o swoim dobroczyńcy. Dlatego Schetyna nie chciał już mieć z SLD ani Czarzastym nic wspólnego, a odrzucony, choć wciąż zakochany w PO, przewodniczący SLD musiał szybko znaleźć nowy obiekt miłości, żeby nie wyszło, że nikt go nie chce.

Biedroń i Zandberg nie zostali porzuceni, lecz stracili w tym czasie status posażnej panny. I tak doszło do porozumienia liderów lewicy. Choć stary wyga Leszek Miller przestrzegał (29 lipca br. w radiowej Trójce), że „wyborczy blok trzech partii lewicowych to na razie porozumienie liderów, ale nie porozumienie wyborców". W rzeczywistości jest dużo gorzej.

ZEMSTA SCHETYNY

Pierwszym ważnym problemem jednoczącej się lewicy jest szyld. Jednoczenie zaczęto w takim pośpiechu (żeby nie utrwalił się wizerunek porzuconych panien/kawalerów), że o szyldzie nie myślano. Nawet jeśli tego oficjalnie nie mówią, żeby nie zaogniać sytuacji, liderzy Wiosny i Partii Razem nie mają zamiaru działać pod szyldem SLD. Ani pod szyldem bezpośredniego konkurenta, choć chwilowo sojusznika. Trzeba więc wymyślić całkiem nowy szyld, ale to oznacza pójście do wyborów w koalicji, czyli konieczność przekroczenia ośmioprocentowego progu. I tu wszyscy mają strach w oczach. Nie na darmo Włodzimierz Czarzasty mówił przed wyborami europejskimi, że pójście w koalicji w 2015 r. było „największym błędem i największą głupotą". Powtórzenie tej „głupoty" w br. byłoby samobójstwem, ale może nie być innego wyjścia.

Optymistyczne pierwsze sondaże nie mają tu nic do rzeczy, gdyż po stronie jednoczącej się lewicy nie dzieje się nic, natomiast PiS oraz Koalicja Obywatelska są już gotowe do walki, mając

eprasa.pl d736cb0a63

praktycznie zamknięte listy kandydatów. I PO oraz Schetyna zaczynają się rewanżować SLD oraz Czarzastemu za komunistycznych zombie w europarlamencie. „Wyjęli" Czarzastemu Katarzynę Piekarską, Jerzego Wenderlicha, „wiecznego" prezydenta Rzeszowa Tadeusza Ferenca, a wcześniej Grzegorza Napieralskiego i Dariusza Rosatiego.

Najbardziej upokarzające dla Czarzastego i SLD jest przejęcie przez Schetynę Riada Haidara. Ten popularny pediatra z Białej Podlaskiej był radnym wojewódzkim SLD, kandydatem w wyborach europejskich, wiceszefem struktur partii w Lublinie. I miał być jedynką SLD w okręgu chełmskim. Działacze Sojuszu od Grzegorza Schetyny dowiedzieli się 30 lipca, że Haidar jest jedynką, ale na liście KO. Wprawdzie nadal twierdzą (przynajmniej w czasie gdy ten tekst powstawał), że Haidar jest liderem ich listy, ale raczej żyją złudzeniami. I nie ukrywają wściekłości na Schetynę. Wprawdzie nie dosłownie, ale Schetyna „wyjął" też Robertowi Biedroniowi Joannę Jaśkowiak, jedynkę KO w Poznaniu. Ona, tak jak jej mąż, prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak, jest bliska PO, ale ma poglądy najbliższe Wiośnie. Dlatego w Poznaniu może kandydatom Wiosny „odebrać tlen" i uzyskać dobry wynik ich kosztem. Z kandydatami PiS nie będzie konkurować, bo to odmienne światy.

Wiosna Biedronia nie zgadza się, by na wysokim miejscu warszawskiej listy lewicy znalazła się Monika Jaruzelska, córka gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Sam Biedroń sugerował, że ze względu na swoje dość konserwatywne obyczajowo poglądy, demonstrowane m.in. w Radzie Warszawy, powinna się raczej zapisać do PiS, niż być twarzą lewicy. Ani Biedroń, ani Zandberg nie chcą legitymizować i ożywiać starych towarzyszy i kolegów Czarzastego: Lecha Nikolskiego, Krzysztofa Janika, Marka Dyducha czy Jerzego Jaskierni. Woleliby takich ludzi SLD jak wspomniany Riad Haidar, ale ich podaż jest wyjątkowo skromna. Zanim trzej liderzy siedli do układania list, pojawiły się oskarżenia o to, że SLD chce wszystkich oszukać i wstawiać „starych komuchów", Wiosna i Partia Razem forsują zaś ludzi kompletnie nieznanych, którym słaby szyld (wciąż nieokreślony) nie pomoże.

Za pięć dwunasta jednocząca się lewica nie wie, ani pod jakim szyldem pójdzie, ani skąd wystartują jej liderzy. Z wyjątkiem Roberta Biedronia, który zasmakował życia w Brukseli i Strasburgu, więc z wyborów parlamentarnych zrezygnował, ale łaskawie zgodził się być kandydatem lewicy na prezydenta RP, co jest oczywiście patykiem na wodzie pisane, bo do wyborów prezydenckich z lewicowej koalicji mogą nie zostać nawet strzępy. Na razie połączyła lewicę tylko sprawa LGBT i zajścia w Białymstoku. Ale nawet te kwestie są dla SLD i Partii Razem problemem, gdyż część ich wyborców postrzega problematykę LGBT jako sekciarstwo, przed czym przez ostatnie cztery lata obie partie uciekały.

> Mimo optymistycznych dla bloku lewicy pierwszych sondaży (10,2 proc. w badaniu IBRIS z 27 lipca br.) dominuje tam strach, że gdyby wystartowali jako koalicja, nie przekroczą ośmioprocentowego progu i do Sejmu nie wejdą

STRATEGIA PRZETRWANIA

Kampania lewicy powinna za chwilę ruszyć, ale nawet liderzy nie wiedzą, jakie tematy ani w jaki sposób powinni poruszać. Część działaczy, zwłaszcza SLD, przekonuje, że trzeba być przede wszystkim antypisem, demaskować przywileje obecnej władzy oraz pokazywać jej antyeuropejskość. Nie zajmą się takimi tematami jak służba zdrowia, edukacja, drożyzna i braki leków, bo tym od dawna zajmuje się Koalicja Obywatelska i będzie o tym mówić w kampanii znacznie donioślejszym głosem.

Lewicowa koalicja jest więc zupełnie bezradna programowo, choć oddzielnie Wiosna i Partia Razem mają w miarę atrakcyjne programy socjalne dotyczące przeciętnych obywateli. Obawiają się jednak, że we wspólnym kotle wszystkie atuty znikną, a pozostanie ogólnikowa, lewicowa mowa-trawa. Tym bardziej że mimo łączenia i pokojowych deklaracji liderzy poszczególnych członów koalicji nadal się nie cierpią, we własnych partiach rozmawiają o koalicjantach prawie wyłącznie negatywnie, dostrzegając sztuczność tego tworu i jego słabości, które mogą pogrzebać wszystkie trzy ugrupowania, jeśli pójdą do wyborów razem i nie przekroczą progu.

Duże znaczenie ma też sprawa pieniędzy. Już dochodzi do kłótni o ich podział w zależności od tego, w jakiej formie lewica wystartuje. Działacze Wiosny oraz Partii Razem oskarżają „starych komuchów" z SLD, że próbują ich wyrolować tak, żeby pieniądze rozdzielał Czarzasty. To przeraża zwłaszcza działaczy Wiosny, którzy pieniędzy najbardziej potrzebują.

Przymusowa lewicowa koalicja jest narażona na krach, gdyby wybory były nieudane. Z rozpadem i trwałą marginalizacją SLD wielu już się pogodziło. Dlatego w ostatnich miesiącach ta partia traciła ludzi, w tym znane nazwiska. Ale uciekinierzy mieli alternatywę. Gdy „posypią" się także Wiosna i Partia Razem, żadnej platformy ratunkowej nie będzie. A największą klęską byłaby marginalizacja Wiosny, zanim jeszcze partia Roberta Biedronia rozwinęła skrzydła.

Od strony fasady (mocno Potiomkinowskiej) mamy uśmiechy, uściski dłoni i zapewnienia o 15-procentowym poparciu, od podwórka jest konstrukcja podpierana słupami, która trzeszczy w szwach. To wszystko oznacza, że lewica starego typu może definitywnie odejść w przeszłość, lewica zaś nowego typu (jak Wiosna i Partia Razem) będzie musiała szukać nowych form organizacyjnych, żeby przeżyć. Rola zombie nikomu nie odpowiada.

eprasa.pl d736cb0a63



Nagonka na księży katolickich w Polsce już trwa

Fot. Shutterstock

Jeśli „Gazecie Wyborczej" i innym antykościelnym mediom zależało, by sprowokować przemoc wobec księży katolickich, to ostatnie miesiące pokazały, że szczucie na duchowieństwo się udało. Jak widać, nawet w katolickiej Polsce można do tego doprowadzić



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Istnieje ryzyko, że opisywanie nasilającej się agresji wobec duchowieństwa może zachęcić sprawców do kontynuowania akcji. Skoro odnotowaliśmy zagrożenie, skoro podsycanie niechęci do Kościoła się udaje, to prawdopodobnie aktywiści antykatoliccy tylko temu przyklasną. Jednak czy wolno nam przemilczeć, że nasi pasterze spotykają się z jednej strony z przemocą i agresją, a z drugiej – z obojętnością lub w najlepszym wypadku miałką reakcją wiernych? Sytuacja robi się już tak poważna, że dochodzi do profanacji, pobić, a ostatnio nawet do próby zabójstwa.

Tylko w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy w mediach omówiono cztery ataki na księży katolickich. Choć każdy z nich miał inną specyfikę, to zestawiając je ze skoordynowaną nagonką na duchowieństwo, można być pewnym, że były one nie tylko nieprzypadkowe, ale też znacznie się nasilają. Czy pójdziemy drogą republikańskiej Hiszpanii, która podsycana przez sowieckie intrygi zwróciła się jeszcze przed II wojną światową przeciwko Kościołowi?

Gdy 28 grudnia 2018 r. miejscowy ksiądz chodził po kolędzie od domu do domu ulicą Leszka Białego w Głogowie, ani on, ani dwóch młodych ministrantów nie sądzili, że będzie to posługa inna

eprasa.pl d736cb0a63

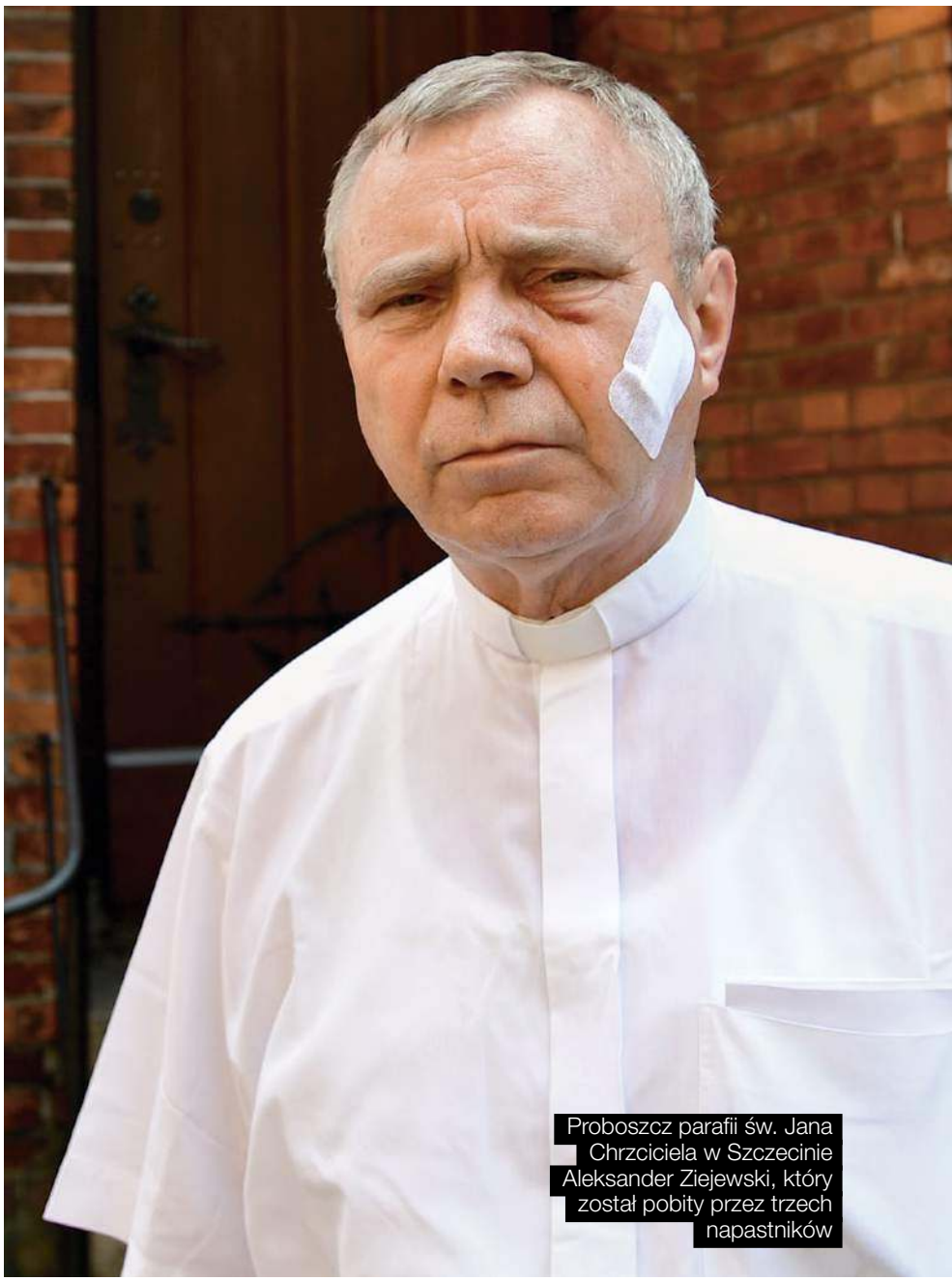
niż zazwyczaj. Ok. 19.00 zbliżył się do nich Arkadiusz J. Zaczął wyzywać duchownego, przeklinał za przynależność do stanu kapłańskiego, aż wreszcie zadał mu cios pięścią w twarz. Uciekł, został później zatrzymany i dziś grozi mu więzienie. Sprawa nie znalazła rozgłosu, ale kolejne ataki na kapłanów stały się znane w całej Polsce.

11 kwietnia na plebanii kościoła św. Augustyna w Warszawie doszło do zabójstwa. Wysportowany, trenujący sztuki walki 40-letni mężczyzna zaatakował 64-letniego Marka Tarnowskiego, ojca jednego z warszawskich duchownych. Siła napastnika była tak wielka, że zabił człowieka własnoręcznie. Choć Jan B., zatrzymany przez policję, jest prawdopodobnie chory psychicznie, to nie wiemy, skąd wziął się u niego impuls agresji skierowany właśnie przeciwko ludziom na plebanii.

Kolejną ofiarą antyklerykalnego ataku stał się ks. Ireneusz Bakalarczyk. Rankiem 10 czerwca szedł odprawić mszę świętą, ale po drodze został zatrzymany przez mężczyznę i ugodzony nożem. Msza święta w kościele Najświętszej Maryi Panny na Piasku we Wrocławiu się nie odbyła, a jedynym zadowolonym z tego powodu człowiekiem był napastnik. Zygmunt W. stwierdził, że nie żałuje swojego czynu, a film Tomasza Sekielskiego „Tylko nie mów nikomu" wskazał jako swoją inspirację.

Nieco ponad miesiąc później doszło do napaści na księdza w Szczecinie, ale atak na duchownego połączony był z zamiarem profanacji. Ksiądz prałat Aleksander Ziejewski z bazyliki św. Jana Chrzciciela został pobity, dostało się także Andrzejowi Belerskiemu, pracownikowi parafii. Napastnicy zamierzali po swojemu „odprawić mszę", czyli sprofanować Najświętszy Sakrament i zadrwić z wiary katolickiej.

Te najbardziej jaskrawe i bolesne przypadki przemocy wobec kapłanów i ich bliskich nie są jedyne.



Fot. Andrzej Szkocki / Polska Press / EastNews

Proboszcz parafii św. Jana Chrzciciela w Szczecinie Aleksander Ziejewski, który został pobity przez trzech napastników

APOSTAZJA I AWANTURA

– Każdy przypadek przemocy jest inny – mówi ks. Walenty Królak z parafii św. Augustyna w Warszawie. Duchowny podkreśla, że zabójstwo Marka Tarnowskiego na plebanii nie było owocem kampanii antykościelnej, bo napastnik był prawdopodobnie chory psychicznie. – Jednak z potworną butą i arogancją spotykamy się często ze strony odwiedzających kancelarie parafialne – kontynuuje ksiądz Królak. Ostatnio modne zrobiły się apostazje, a więc świadome i oficjalne „wypisanie się" z Kościoła, ze spisu parafian. Jednak tacy petenci przychodzą nie tyle z zamiarem dokonania formalności, ile demonstracji światopoglądowej. – Są aroganccy, podnoszą głos, z dziwną satysfakcją obrażają Kościół, często używając słów wulgarnych – opowiada proboszcz parafii św. Augustyna. Dodaje, że tacy goście czasem nagrywają rozmowy, licząc na jakiś skandal lub nieodpowiednie wątki w rozmowie.

Nierzadko się zdarza, że do kancelarii parafialnej wzywana jest policja, jak to się zdarzyło w piątek 26 lipca w wiel-

eprasa.pl d736cb0a63

kopolskiej miejscowości Turek. Troje ludzi: kobieta, jej syn i synowa, pojawili się późnym popołudniem w kancelarii parafialnej, by dokonać aktu apostazji. Choć zastępująca oficera prasowego Komendy Powiatowej Policji w Turku starsza aspirant Dorota Grzelka podkreśla, że sprawa nie wiązała się ze złamaniem prawa ani z wykroczeniem, to jednak na stronie diecezji włocławskiej pojawił się komunikat o incydencie i agresywnych zachowaniach wizytujących: „Po kilkukrotnych, bezskutecznych prośbach, aby napastnicy opuścili kancelarię, kapłan wezwał policję. Po interwencji stróżów prawa agresorzy opuścili budynek plebanii. Szczęśliwie, pomoc medyczna nie była potrzebna".

– W pewnym momencie rozmowy w kancelarii parafialnej mężczyzna zdjął krzyż i wyciągnął go w stronę księdza, tuż przed jego twarz – mówi tygodnikowi „Sieci" policjantka. – Wypraszając gości z plebanii, z kancelarii, wikariusz nie mógł sobie z nimi poradzić, ponieważ się awanturowali, odzywali arogancko i nie chcieli wyjść – dodaje. Po interwencji policji uspokoili się.

SZCZUCIE PRZYNOSI ZATRUTE OWOCE

Nie byłoby to warte komentarza, gdyby nie fakt, że takich podekscytowanych gości na parafiach jest więcej. Nikt nie prowadzi spisu tego rodzaju wizyt, ale ks. Królak opowiada, że wulgarne zachowania są coraz częstsze. – To oczywiste, że po pojawieniu się filmu Sekielskich zjawisko się nasiliło. Duchowni są wyzywani nawet na ulicy, wystarczy przejść w sutannie ulicami Warszawy, by usłyszeć wyzwiska „pedofil", „zboczeniec" albo inne obraźliwe wyrażenia – opowiada ks. Królak.

Trudno w lewicowo-liberalnych mediach znaleźć słowa potępienia, choć analogiczne, a nawet o wiele łagodniejsze krzywdy demonstrantów marszy LGBT są podnoszone do rangi narodowej zbrodni.

Już w poprzednim numerze tygodnika „Sieci" (30/348) Anthony Murphy, katolicki wydawca i publicysta z Irlandii, opowiadał o dziwnym zsynchronizowaniu oskarżeń Kościół o ukrywanie pedofilii przy jednoczesnym nachalnym promowaniu ideologii LGBT. Tak wyglądało to w Irlandii 20 lat temu, tak wygląda to u nas dzisiaj. Jeśli zestawić to z książką z 1987 r., autorstwa dwóch gejowskich aktywistów Huntera Madsena i Marshalla Kirka wyjdzie nam gotowy przepis na szybkie przerobienie światopoglądu Polaków. Amerykańscy działacze napisali swego rodzaju manifest gejowski, zatytułowany „After the Ball" (w swobodnym tłumaczeniu: „iść za ciosem"), w którym zarysowali strategię promowania LGBT. W tych kilku punktach mieści się istota tęczowej propagandy:

- mów o gejach i homoseksualizmie tak głośno i tak często, jak to jest możliwe,
- pokazuj gejów jako ofiary, nie jako agresorów,
- daj swoim obrońcom pretekst do działania,
- pokazuj gejów tylko dobrze,
- pokazuj przeciwników tylko źle,
- zabiegaj o fundusze: pieniądz nie śmierdzi.

Nie da się uniknąć jednoznacznej deklaracji, także nasze społeczeństwo będzie musiało wybrać – albo Kościół i tradycja, albo LGBT i swoboda seksualna.

> Bagatelizując problem, niemrawo reagując na drwiny z duchownych, nie wspierając swoich pasterzy, zostawiamy ich na pastwę nadgorliwców naganianych przez lewicowych inżynierów społecznych

NOWY ZWIĄZEK BEZBOŻNIKÓW

Nie powinno nas dziwić, że „Gazeta Wyborcza" od lat opisuje procedurę apostazji jako działanie postępowe i wartościowe. W jednym z dodatków dziennika co rusz można spotkać akcję pod hasłem: „Jestem gejem", „Usunęłam ciążę", „Nie słucham papieża", „Nie chodzę do kościoła". W kwietniu 2018 r. Agata Diduszko-Zyglewska instruowała czytelników, „jak dokonać apostazji", i podkreślała, że w jej przypadku była to reakcja na „agresywną politykę Kościoła wobec kobiet godzącą w ich podstawowe prawa i godność oraz tuszowanie przez hierarchię kościelną spraw pedofilskich, w których sprawcami są księża".

Dyskusja nad odchodzeniem ze wspólnoty wiernych jest zresztą częstym tematem na łamach „GW", w dodatku zachęcającym do pogardy lub przynajmniej politowania dla Kościoła. Do złudzenia przypomina to działający w czasach stalinowskich Związek Wojujących Bezbożników, który także zachęcał do porzucania wiary, przekonywał, że Kościół (w rosyjskim przypadku Cerkiew) przynosi ciemnotę i zacofanie. Co ciekawe, Mieczysław Lepecki, polski podróżnik przez sowiecki Kaukaz, stwierdził już w latach 30. XX w., że ataki propagandowe na chrześcijaństwo odbywały się „zawsze rykoszetem, nigdy wprost". Nie atakowano duchownych bezpośrednio, lecz wskazywano problem (dziś pedofilia, wtedy np. zamożność czy gromadzenie przez duchownych zapasów żywności) i wskazując problem, przy okazji marginalizowano kler.

We wzmagającej się nagonce na katolicyzm także wierni odgrywają swoją niechlubną rolę. Bagatelizując problem, niemrawo reagując na drwiny z duchownych, nie wspierając swoich pasterzy, zostawiamy ich na pastwę nadgorliwców naganianych przez lewicowych inżynierów społecznych. – Czasem ktoś powie, że księżom to teraz ciężko albo będąc świadkiem wyzwisk, ktoś nieśmiało uciszy napastnika – opowiada ks. Królak.

Wydaje się jednak, że jak na naród św. Jana Pawła II, prymasa Wyszyńskiego czy wielkich dzieł obrony chrześcijaństwa, to trochę za mało, ba, to wstyd, że zakrywamy oczy na wieść o antykatolickich atakach w naszym kraju.

eprasa.pl d736cb0a63



Nie róbcie z powstańców maskotek

Fot. Andrzej Wiktor

Protestuję przeciwko atakowaniu ludzi, którzy 11 listopada manifestują swoją miłość do Polski i wciąganiu w ten konflikt bohaterów powstańczej Warszawy – mówi w rozmowie z Marcinem Wikłą ***Olga Semeniuk,*** radna Warszawy

Jak należy wykorzystywać powstańczy symbol Polski Walczącej?

Olga Semeniuk: Zgodnie z przesłaniem powstańców.

Co to znaczy?

Nie dodając do niego żadnych akcentów politycznych, nie wmanewrowując tego symbolu wolnej Warszawy i wolnej Polski w bieżące utarczki.

W programie „Studio Polska" w TVP właśnie przeciw temu pani protestowała, ale chyba przekaz nie był jasny, bo w tabloidach kilka dni później przeczytaliśmy: Co ta kobieta wygaduje?!" I stwierdzenie wprost, że to pani obraża powstańców Warszawy.

Rzeczywiście taka interpretacja moich słów została narzucona przez publicystów i polityków związanych z lewą stroną i z totalną opozycją. Smutno mi się to czyta. Już wyjaśniam dlaczego. Na warszawskim marszu przeciwko przemocy wspieranym i promowanym przez władze stolicy padły słowa, że 11 listopada w Marszu Niepodległości przez miasto przeszli faszyści. Nie mam wątpliwości, że to element bieżącej polityki, walki ze stroną konserwatywną, którą utożsamia Prawo i Sprawiedliwość.

Ale dlaczego uznała pani, że to atak na PiS? Dlaczego miała pani zastrzeżenia do rozdawanej na marszu wolności wlepki? Przypomnijmy, widnieje na niej powstańcza kotwica i napis „Przeciw faszyzmowi". Nikt rozsądny przecież faszyzmu nie popiera ani nie promuje, prawda?

Ależ oczywiście. Z tym stwierdzeniem nie polemizuję. Nie ma zgody na faszyzm. Nigdy nie usłyszy pan ode mnie aprobaty dla tej ideologii, szczególnie po latach pracy na rzecz powstańców. Problem leży gdzie indziej. Zaprotestowałam przeciwko atakowaniu ludzi, często wyborców PiS, ale przecież nie tylko, którzy 11 listopada manifestują swoją miłość do Polski. Przeciwko nazywaniu ich faszystami, a przede wszystkim – poprzez tę absurdalną wlepkę – wciąganiu w ten konflikt bohaterów powstańczej Warszawy.

11 listopada to prawica ma swoje święto i pokazuje się na ulicy, teraz, latem, przez Warszawę przechodzą tęczowe marsze środowisk liberalnych i lewicowych. To światy, których połączyć się chyba nie da. Może tak to po prostu należy zostawić, daleko od siebie?

To dobry apel, ale w pierwszym ruchu skierowałabym go do polityków Platformy Obywatelskiej i teraz Koalicji Obywatelskiej, którzy od lat przy okazji święta niepodległości dzielą Polaków, przylepiając maszerującym obraźliwą łatkę. W Ameryce jest tak, że 4 lipca – w Dniu Niepodległości – cieszą się wszyscy, a wiemy dobrze, że spory polityczne między republikanami a demokratami bywają tam

eprasa.pl d736cb0a63


Co ta kobieta wygaduje?!
Radna PiS obraża Powstańców Warszawy
Boli nas łączenie Krzyża z falangą albo krzyżem celtyckim. Apelujemy o szacunek dla naszej przeszłości!
Oplucie również można nazwać rozdawanie przez władze Warszawy takiego oto symbolu (Polski Walczącej – red.), przeciw faszyzmowi. Władze Warszawy rozdawały profanację Polskiego Państwa Podziemnego. To się nazywa opluć, nie opluwajcie katolików
PRZECIW FASZYZMOWI

o wiele bardziej zaciekłe niż u nas. Dlaczego w Polsce to nie jest możliwe? Dlaczego podczas manifestacji, w której biorą udział władze stolicy, obraża się tych, którzy – owszem – są politycznie na innym biegunie, ale atakowani są za to, że manifestują radość z bycia Polakami. Idą przecież pod biało-czerwonymi sztandarami, bez partyjnych szyldów. To przeszkadza. Powtórzę, ta naklejka jest obrazą symbolu narodowego.

Mówi pani o wykorzystaniu symbolu powstańczego, ale także samych powstańców. A dlaczego oni nie mieliby się na coś oburzać czy mieć jakieś określone, niekoniecznie zbieżne z konserwatywnymi, poglądy?

Powstańcy byli różni, między nimi też dochodziło do sporów przy rozmowach o polityce. Ale teraz są wykorzystywani – podobnie jak nauczyciele czy osoby niepełnosprawne – jako narzędzie gry politycznej. Jestem na to bardzo wyczulona, bo jako warszawska radna mam z powstańcami stały kontakt i dochodzą do mnie informacje o coraz większych problemach Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej. Sprawa jest prozaiczna, ubywa powstańców, wpływa coraz mniej składek, zaczyna brakować pieniędzy na czynsz za siedzibę w budynku Pasty. Władze Warszawy ustawiają się obok nich jak obok maskotek na sierpniowych uroczystościach, a gdy przychodzi codzienna praca, to nie ma kto pomóc. To, że oni nawet nie mają stołu, przy którym mogliby usiąść i porozmawiać, nie jest dla miasta problemem, na tym polu współpracy z powstańcami nie ma. To jest skrajny cynizm – jak miastu pasuje, to podpiera się ich autorytetem, a jak te starsze osoby przychodzą z realnym, przyziemnym problemem, to są odsyłane.

To prawda, że Warszawa zajmuje się większymi i ważniejszymi sprawami, jak np. wprowadzenie Karty LGBT...

Warszawa gra teraz w dużej politycznej grze, a tak naprawdę w tym obszarze, w którym powinna być aktywna, stoi w miejscu, potwierdzi to wielu samorządowców. Nie ma zajmowania się sprawami społecznymi, jest walka polityczna i ideologiczna. Codzienność stolicy to dzisiaj marsze pod tęczowymi flagami, pod złudnym hasłem walki z nienawiścią i tolerancji dla wszystkich. To fałsz. W rzeczywistości to oznacza wykluczenie bardzo wielu grup, np. patriotów i osób dumnych z polskości. A gdzie w tym jest etos Armii Krajowej i uczestników Powstania Warszawskiego? Ich oddanie ojczyźnie i poświęcenie? Tylko od święta? A na co dzień co?

Czy ta ideologiczna próba sił oznacza, że wokół miast takich jak Warszawa będą budowane swoiste bastiony oporu wobec obozu rządzącego?

Tak i jest to ściśle powiązane z ideologią. Mam przyjaciół w Gdańsku, którzy opowiadają mi czasem, że u nich już nie jest modne bycie hetero. Tak, nie przejęzyczyłam się, chodzi o modę. Jest modnie przyznać się, że jest się homo- lub biseksualnym. I w jakimś szaleńczym zwidzie wiąże się to z polityką oporu wobec Prawa i Sprawiedliwości. W Warszawie robi się tak samo. To się bardzo nasiliło po zwycięstwie obozu antypisu w dużych miastach w wyborach samorządowych. Są też pewnie oczywiści tacy, którzy z takiego obrotu spraw są zadowoleni. Siedzą sobie w strefie relaksu Rafała Trzaskowskiego przed ratuszem i nie mają pojęcia, że w ich mieście, w stolicy 40-milionowego kraju, w XXI w. są mieszkania, gdzie ludzie nie mają łazienki.

Na czym polega ta zbitka z polityką? Przecież to nieprawda, że geje nie głosują na PiS?

Ideologia LGBT w tym momencie jest tylko użytecznym wytrychem. Próbuje się ludzi otumanić, wmówić im, że nie powinno być żadnych hamulców, żadnych granic. Że konserwatyzm i tradycja to zaścianek i antyeuropejskość. A „złe" PiS – co robi? Zabiera nam wolność! Tak, w sposób nieuczciwy i skrajnie populistyczny opozycja szuka poparcia. Polityczny plan jest natomiast szerszy i rzeczywiście wiąże się z rolą samorządów, próbą wyrwania jak największej części władzy ze szczebla centralnego. Chodzi o zdestabilizowanie kraju, co pokazuje podpisane przez prezydentów 21 tez samorządowych. Wspomniałam przede wszystkim o Gdańsku i o Warszawie, bo silna pozycja prezydentów tych miast ich połączyła, ale miejmy świadomość, że to początek drogi, która będzie prowadzić do innych ośrodków w kraju.

Skali realnego poparcia gdańszczan dla Aleksandry Dulkiewicz nie da się oszacować, bo wybory odbyły się po tragicznej śmierci Pawła Adamowicza, ale już zwycięstwo Rafała Trzaskowskiego w Warszawie nie powinno budzić najmniejszych wątpliwości. Może właśnie takiego miasta chcą jego mieszkańcy?

Wydaje mi się, że warszawiacy nie zdawali sobie do końca sprawy, na kogo głosowali. Rafał Trzaskowski był znany przede wszystkim z polityki międzynarodowej, z pracy w europarlamencie. Wystarczyło to, że był kandydatem antypisu. Udało się wyborcom pokazać miłą dla oka fasadę, jednocześnie przekonując, że powierzchowność PiS jest obciachowa. Bez dopuszczenia do świadomości, że to niby-kiczowate PiS wprowadza takie projekty socjalne w kraju i tak dba o bezpieczeństwo Polski za granicą, że gdyby tylko to było wszem wobec wiadome, to naprawdę nie byłoby się czego wstydzić. Niestety, wygrał pozór nowoczesności. Bo nie jest prawdziwą nowoczesnością sytuacja, gdy samotne matki mają problemy lokalowe, a powstańcy spotykają się w warunkach, które powinny zawstydzać.

eprasa.pl d736cb0a63

Przekazać pałeczkę w sztafecie pokoleń

Tych, którzy w Warszawie podczas godziny „W" się zatrzymują, może na co dzień dzielić wszystko, ale przez tę chwilę są razem. To wielka wartość – mówi ***Jan Ołdakowski,*** dyrektor Muzeum Powstania Warszawskiego, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Na stronach Muzeum Powstania Warszawskiego oglądam piękne zdjęcia ze spotkań młodych osób z powstańcami. Zapytam wprost: wielu nam jeszcze zostało bohaterów, którzy mogą się podzielić doświadczeniem z tamtych czasów?

Jan Ołdakowski: Jest ich kilkuset. Trzeba pamiętać, że to ludzie, którzy w trakcie powstania byli młodzi – w sierpniu 1944 r. mieli najczęściej po kilkanaście lat.



Czy nastolatki mogły zapamiętać z powstania jego przesłanie, atmosferę?

Tak, ponieważ byli mocno zanurzeni w tamtym pokoleniu, w ideałach konspiracji i pomyśle na to, że ich wysiłek jest pracą na rzecz Polski, która miała być krajem ich marzeń. Oczywiście nie mieli pełnej wiedzy, ale jeśli już o tym mowa, to warto wspomnieć o dwóch Dziennikach Ustaw wydanych w powstaniu, z pomysłami na wolną Polskę, do której ci młodzi ludzie świetnie pasowali. Niestety, nie mieli okazji tego urzeczywistnić, sprawdzić – część z nich zginęła, część była prześladowana, ale model funkcjonowania mieli w swoim kodzie zachowań.

Co to za model zachowania? Czy on przystaje do dzisiejszej rzeczywistości?

Chodzi o program „Dziś – jutro – pojutrze" zakładający pracę nad sobą i odpowiedzialność każdej osoby nie tylko za siebie, lecz również za innych. Podam przykład. Nasz niemal emblematyczny powstaniec – Jan Rodowicz „Anoda", który jest patronem naszej nagrody społecznej – miał zwyczaj, że pilnował, by jego przyjaciele i koledzy nie wpadli w rozpacz. Oprócz tego wszystkiego, co robił na co dzień w konspiracji, potrafił też przyjść, opowiedzieć żart, wyciągnąć z domu. Wiedział, że rozpacz niszczy także wnętrze człowieka, pilnował, by powstańcy czuli się wspólnotą. I oni są wspólnotą do dzisiaj. Dzwonią, piszą, niektórzy mailują do siebie.

Czy te opowieści są do zainstalowania, do zaszczepienia wśród nastolatków żyjących dziś często w wirtualnej rzeczywistości, w świecie mediów elektronicznych?

Podczas spotkań z wolontariuszami i harcerzami kładłem nacisk na to, że jeśli dojdzie do ich spotkania z powstańcem warszawskim, by pytali nie tylko o historię, lecz również o wartości najważniejsze w życiu.

eprasa.pl d736cb0a63



Fot. Andrzej Wiktor

Z jakim efektem?

Dziesiątki młodych ludzi stało wianuszkiem wokół powstańców i słuchało ich. Wzruszający obrazek. Młodzi pytali głównie o historię powstania, nastolatkom łatwiej bowiem słuchać o historii niż o cnotach społecznych – to zrozumiałe. Chcemy jednak, by równocześnie zwracali uwagę na wyjątkowość tego pokolenia przy pokojowej egzystencji. By się uczyli, że jeżeli dzieje się coś złego, trzeba reagować – czasem gwałtownie, jeśli ktoś jest prześladowany lub krzywdzony. Dodam przy tym, że wizja, iż powstańcy są patronami patriotyzmu sprowadzonego do płacenia podatków i sprzątania trawnika po psie, jest nieprawdziwa.

I młodzi to wychwytują?

Nie wiem, czy wszystko wiedzą i chwytają. Nie wszyscy też będą mieli okazję, by z powstańcami porozmawiać. Również dlatego wyprodukowaliśmy specjalny spot – by w tych starych i zniszczonych życiem ludziach ta młodzież zainstalowana w internecie dostrzegła ich piękno. Trzeba do tego pewnej dojrzałości, ale myślę, że to wielkie i piękne wyzwanie dla młodych, by w powstańcach zobaczyć swoich rówieśników sprzed 75 lat. I dlatego w tym roku pomysł padł na zbudowanie z jednej strony szacunku do starszego człowieka, a z drugiej zobaczenia, że te wartości – sprzed 75 lat – dziś, ci powstańcy, starsi ludzie niosą do młodych i mają coś do powiedzenia.

Powstańcy rozumieją te sceny, bo pamiętają je, gdy sami byli młodzi, a słuchali powstańców styczniowych.

Też nie wszystko rozumieli, ale pewien wzorzec zachowań, niemalże kod DNA, został przekazany.

Dokładnie tak! Tych powstańców styczniowych było wielu – oni najczęściej występowali podczas uroczystości, ale później byli i tacy młodzi, którzy mieli szczęście podejść do nich, spotkać ich np. w parku Ujazdowskim i porozmawiać z nimi, zobaczyć z bliska. Dzisiaj tamta młodzież sama występuje jako weterani. W tym roku po raz pierwszy mieliśmy dwa razy więcej wolontariuszy i harcerzy niż powstańców – jako osoby organizujące te obchody mamy satysfakcję z tego, że powstańcy spotykają swoich kontynuatorów.

Widzi pan to jako pewien rodzaj sztafety powstańczej? Styczniowi przekazali tę pałeczkę młodym, a dziś warszawscy przekazują te ideały następnej młodzieży?

Tak. Mało tego, na tej pałeczce są już dwie ręce – powstańca i nastolatka. Ten młody jeszcze jej nie trzyma, ale już widać, że dla młodzieży, a zwłaszcza wolontariuszy (najbardziej cenionych przez powstańców), to naturalny odruch, że pałeczkę trzeba będzie przejąć.

Dużo macie wolontariuszy?

Około 400. Mają różne funkcje, ale zazwyczaj oparte na kontakcie z powstańcami: pomagają im przejść, zorientować się, poinformować, zapewnić wodę. Harcerze mają nieco inne zadania. Jeśli o nich chodzi, to muszę powiedzieć, że jestem dumny z tego, że tutaj, wokół MPW, wszystkie organizacje harcerskie współpracują z sobą. Nie ma innego zadania, które wykonywaliby wspólnie, a tutaj się udaje.

A jest pan przekonany, że tak jak udało się przy MPW przezwyciężyć podziały w harcerstwie, tak udaje się w społeczeństwie?

Mam nadzieję, że tak. Powstanie staje się ważnym elementem tożsamości – zwłaszcza w Warszawie, mieście zniszczonym nie tylko w czasie powstania, ale i później, już po zrywie. Pyta pan o te podziały... Myślę, że są one dużo słabsze niż wspólnota dobrej pamięci wokół godziny „W". Kiedy jesteśmy w realu, a nie w internecie, gdy słyszymy syreny o godz. 17.00, gdy wszyscy mamy łzy w oczach, bo widzimy gdzieś z tyłu głowy młodych powstańców, którzy ruszyli w bój, wiedząc, że w obronie tak istotnych wartości są w stanie ryzykować nawet życie. Niesamowitość godziny „W" polega też na przeżywaniu tej chwili wspólnie, razem – mimo nieznajomości osób, które stoją obok. Przecież tych, którzy zatrzymują się wtedy w Warszawie, może wszystko dzielić, ale przez tę chwilę są razem. Warszawa jest zresztą takim miejscem, które można zrozumieć przez powstanie warszawskie. Nawet na poziomie architektonicznym – bo zabytków jest stosunkowo niewiele, ale i widać wielki rozwój. Wokół MPW rośnie las wieżowców.

Zauważyłem. Jeszcze trochę i będziecie w samym środku warszawskiego city.

Lokując tutaj muzeum, prezydent Lech Kaczyński tak to zaczął planować. Ten jego pomysł jest kontynuowany – by to miejsce było warszawskim downtown. Zależało mu, by równoważyć funkcje: by były wieżowce, mieszkania, ale i instytucje publiczne.

eprasa.pl d736cb0a63

Godzina „W" to jedno, ale coraz większe tłumy garną się na pl. Piłsudskiego, by śpiewać powstańcze piosenki. A zaczynaliście od garstki osób.

To prawda, zaczęło się od 800 osób. Plac jest wielki, przyznam, że byliśmy skrępowani tak niską frekwencją, nie wierzyłem, że to się uda i rozkręci. Przekonały mnie moje współpracowniczki w MPW. I tak się stało. Ostatnie śpiewy przyciągnęły tyle osób, że wręcz tłum wylewał się z placu.

Skąd ten fenomen? Na czym on polega?

Fenomen polega na tym, że tworzy się tam nieskrępowana wspólnota – to uroczystość nieformalna, nieoficjalna, ale mająca pewien rytm i mistycyzm. To swoiste pożegnanie – zaczynamy, gdy jeszcze świeci słońce, od piosenek żywych i skocznych, a kończymy sentymentalnymi utworami, gdy zapada zmrok. To także rytm powstania – od nadziei do rozpaczy i smutku. Ludzie się w tym świetnie odnajdują – wiemy, że przyjeżdżają z całej Polski.

> Wizja, że powstańcy warszawscy są patronami patriotyzmu sprowadzonego do płacenia podatków i sprzątania trawnika po psie, jest nieprawdziwa

Panie dyrektorze, są też głosy, że to kult klęski. Że nawet tymi śpiewami przygotowujemy kolejne pokolenia do pamięci historycznej opartej na porażkach, dramacie, rozlewie krwi.

Mam nadzieję, że jesteśmy muzeum ostatniego polskiego powstania. Że Polaków nie powinno interesować wygrane powstanie, ale świat, w którym nie ma powstań. Do powstań nie dochodzi bowiem wtedy, gdy w społeczeństwie mamy kult klęski czy rozwiniętą myśl insurekcyjną, ale wtedy, gdy obcy okupant zaczyna mordować młodych Polaków. Więc jeśli Polska nigdy nie będzie zagrożona, to nie będzie powstań.

Namawia pan do pewnej zmiany perspektywy w myśleniu o pamięci, o polityce historycznej.

Oczywiście. Tu nie chodzi o dyskusję, czego to jest kult. Wszystkich, którzy są przeciwnikami powstań, namawiam do refleksji: pewność co do tego, by powstań nie było, będzie wtedy, gdy Polska nie będzie nigdy podbita. Nie wiem, ile trzeba do tego myśliwców i czołgów, ale są tacy, którzy to wiedzą – by Polska była bezpieczna nie tylko dla naszego pokolenia, ale i naszych dzieci.

A jak opowiadać o powstaniu warszawskim za granicą? Zwłaszcza w Niemczech, gdzie MPW również próbuje działać.

Chodzi – jak na razie – o jedną wystawę. Aby efekt był wymierny, trzeba włączenia się innych instytucji. W ciągu pięć lat zobaczyło ją 280 tys. widzów (w kilku miastach Niemiec), przeważnie Niemców, ale i turystów z całego świata. Po tym czasie wystawa wraca do Berlina, a opowiada ona o dramacie niemieckiej okupacji w Polsce.

Czy w Niemczech wiedzą cokolwiek o powstaniu warszawskim?

Powiedzmy sobie szczerze – w Niemczech nie ma świadomości powstania warszawskiego. Ale to się zmienia, choć trzeba tutaj wielkiego, regularnego wysiłku. Opowiem poruszającą anegdotę: kiedy Richard von Weizsäcker (niemiecki polityk, prezydent RFN) oglądał naszą wystawę, wziął mnie na bok i przyznał, że był w Wehrmachcie. On zwiedzał nasze muzeum trzy godziny – widziałem, że mierzył się z tym moralnie, czuł się współodpowiedzialny za to, co się wydarzyło.

Powie ktoś, że to tylko jednostka, wyjątek potwierdzający regułę.

To, że są takie miejsca, gdzie można liczyć na współpracę, pokazuje, że jest nad czym pracować. I widać pierwsze efekty, jak choćby pomysł na pomnik polskich ofiar II wojny światowej w Berlinie. Dyskutowana jest lokalizacja, pytanie o jego ostateczny kształt, ale coraz wyraźniejsza jest świadomość, że potrzeba prawdy między naszymi narodami. Pracuje w Niemczech Instytut Pileckiego, jest duża pomoc ze strony ambasady RP w Berlinie, ale i samych powstańców.

Zainteresowanie niemieckich elit jest więc realne, ale pamiętać trzeba, że mamy tutaj wielkie straty czasowe. Mamy prawo i obowiązek mówić o tym, co nas spotkało w trakcie II wojny światowej. Tym bardziej że ta prawda w czasach PRL była umniejszana, jeśli w ogóle obecna. Mamy straty czasowe. Niekiedy mamy sytuację, w której Niemcy dopiero pierwszy raz słyszą, że w Polsce było powstanie, że kilkaset kilometrów od Niemiec istniała stolica dużego państwa, którą oni całkowicie zniszczyli, wysadzili.

Naprawdę nic nie wiedzą?

To często po prostu rzeczywistość. Andreas Nachama, szef muzeum Topografii Terroru w Berlinie, z którym współpracujemy, opowiadał, że jako nastolatek spotkał ludzi, którzy wysadzali w Niemczech kamienice pod nowe osiedle. Stosowali przy tym małe ładunki. Zapytał więc ich, gdzie się tego nauczyli, a w odpowiedzi usłyszał, że w Warszawie – po powstaniu właśnie. Nachama wrócił do domu i jako nastolatek pytał rodziców, o co chodzi, jakie powstanie, jaka Warszawa. Dopiero wtedy się o tym dowiedział. Skala ludobójstwa jest niespotykana nawet jak na II wojnę światową. Musimy o tym konsekwentnie opowiadać – zarówno w Warszawie, jak i w innych miastach Polski i w miarę możliwości na całym świecie.

eprasa.pl d736cb0a63



Zamieszczamy wymianę opinii między publicystą tygodnika „Sieci" Michałem Karnowskim a Janem Wróblem („Dziennik Gazeta Prawna", Tok FM), do której doszło na portalu wPolityce.pl i która wzbudziła duże zainteresowanie czytelników

Ciąg dalszy ostrego sporu o TVP

MICHAŁ KARNOWSKI: KILKA SŁÓW O PRAWICOWYCH DZIECIACH III RP

W odpowiedzi na liczne ostatnio ataki na TVP napisałem kilka dni temu na portalu wPolityce.pl spory tekst: „Czy da się obronić przed hordami orków mlaśnięciem? Dlaczego warto wspierać dziennikarzy »Wiadomości« TVP (i innych)". Wyłożyłem tam precyzyjnie swoje racje i zapytałem: „Jak można spokojnie oglądać media powstałe pod flagą WSI, składające się wyłącznie z pełnych nienawiści klipów, i słowa o tym nie napisać w tym samym czasie, gdy siecze się na przykład »Wiadomości« TVP?".

Niestety, być może za mało wyraźnie wyłożyłem argumenty, bo **Jan Wróbel** ocenił w „Dzienniku Gazecie Prawnej", że nie znalazł w moim komentarzu **„ani grama merytorycznej dyskusji czy myśli własnej**, jest tylko jazda na (z zasady niskie) intencje autora – zazwyczaj tak działa **pułkownik wojsk Jarosława**".

Zdecydowanie odrzucam zarzut „jazdy na intencje autora". Niczego w moim artykule o żadnym konkretnym autorze nie napisałem, polemizowałem jedynie z pewną postawą. Spróbuję zatem raz jeszcze wyjaśnić, dlaczego „Wiadomości" TVP (i innych mediów niezależnych od III RP) warto bronić.

Fot. Andrzej Wiktor, Justyna Rojek/DDTVN/East News

eprasa.pl d736cb0a63

Po pierwsze dlatego, że od 2015 r. bronią one demokratycznego werdyktu Polaków. Wiem, że to może być przykre przypomnienie, ale jest faktem, że media III RP próbowały (wraz z opozycją) obalić wynik wyborów, próbowały narzucić zamordystyczny system polityczny, w którym Polacy nie mogą wybrać nikogo nieautoryzowanego w Brukseli i Berlinie, na Czerskiej i Wiertniczej. Jeszcze zanim nowy prezydent i nowy rząd choćby kiwnęli palcem, już formował się tzw. KOD i ruszała nagonka. Potem był też pucz grudniowy, próba siłowego przejęcia parlamentu, chamskie ataki fizyczne na posłanki i posłów PiS, na dziennikarzy TVP.

Po drugie, nie jest prawdą, o czym przekonuje Wróbel, że prawica (i sam Kaczyński) „traktuje jazgot telewizji publicznej jako sprawiedliwą zemstę na inteligencji, która w latach 90. potraktowała braci Kaczyńskich jak męty, a w latach 2005–2007 jak faszystów".

Nie może to być prawdą, bo teza, iż inteligencja jest tam, a nie ma jej tutaj, jest nieprawdziwa. Różnie się to rozkłada, choć jak się spojrzy na jakość debaty o sprawach państwowych, to właśnie po stronie opozycji trudno cokolwiek poza powielaniem propagandowych stereotypów dostrzec, a na prawicy dorobek jest imponujący. Czyli jest inteligentem z werdyktu salonu pokrzykujący pan Mieszkowski, są aktorzy z wulgarnej „Klątwy", a nie jest nim np. wicepremier prof. Piotr Gliński, którego dorobek w kulturze (setki wspaniałych muzeów i inicjatyw) warto ciągle przypominać?

Po trzecie, o czym już pisałem, ale powtórzę, nie o żadną zemstę chodzi, ale wyciągnięcie wniosków z poprzednich przypadków zdobycia przez prawicę mandatu demokratycznego do rządzenia krajem. W roku 1992, w latach 1997–2001, od 2005 do 2007 r. i wreszcie w smutnym 2010 r. hordy orków medialnych zawsze wywracały demokratyczny wybór i zawsze część prawicy namawiała do zaakceptowania tego stanu rzeczy. Także teraz zachęcają do kapitulacji medialnej, bo do tego w istocie sprowadza się narzekanie na obecną TVP. Znowu opór ma się ograniczyć do mlaskania z niesmakiem i pisania felietonów – dopóki pan Hajdarowicz czy inny oligarcha medialny pozwoli. Realne efekty rozmontowania obecnej TVP sprowadzają się przecież nie do wyzerowania sporu, nie do poprawy jakości debaty publicznej, ale oddania władzy nad komunikacją TVN, „Wyborczej" i niemieckim koncernom. Jak można w ogóle poważnie składać takie propozycje, zwłaszcza po tym, gdy każde wydanie tzw. faktów jest jednym wielkim wściekłym wyciem? Nie oglądacie? To nie przeszkadza?



Fot. Gałązka/AKPA

Po czwarte, to, że TVP jest nadawcą publicznym, ma trochę do rzeczy, ale nie za wiele. Bo nie jest tak, że wielkie stacje komercyjne to wyłącznie sprawa właściciela. Dysponują koncesjami – dobrem wspólnym, korzystają z monopoli reklamowych, mają zapisane w warunkach koncesyjnych obowiązki rzetelności i pluralizmu. Jak z tym jest, wiemy. TVP w obecnym kształcie odgrywa więc rolę elementu, który co nieco wyrównuje warunki gry. Z punktu widzenia odbiorcy to najważniejsze – ma on dzisiaj pełną paletę poglądów i różne zestawy informacji w zasięgu pilota. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego tak wielu ludzi prawicy chcącej uchodzić za „umiarkowaną", czyli de facto akceptowaną przez III RP, to właśnie razi, tu widzą główny problem rzeczywistości. Woleli monopol Michnika?

Po piąte, myślę, że w tle jest jakaś niezdolność części komentatorów „umiarkowanie prawicowych" do zaakceptowania świata, który jest tak diametralnie różny od tego, czym była III RP. Po latach doświadczeń część prawicy stała się także dziećmi systemu stworzonego po 1989 r. Tak bardzo przyzwyczaiła się do roli wyłącznie zniesmaczonych działaniami wielkich mediów mlaskaczy, do nomadycznego przenoszenia się z jednej chwilowej oazy do drugiej, że nie potrafi się pogodzić z sytuacją, w której dziś także prawica dysponuje realną medialną siłą, pozwalającą skutecznie bić się o wyznawane wartości, konieczne zmiany w państwie. Jest w tym też trochę żalu, że pozycja przytulanego w III RP tu i tam komentatora straciła radykalnie na znaczeniu.

Czy zawsze mi się TVP podoba? Nie. Czy nie popełnia błędów? Popełnia. Nie idzie czasami za bardzo na skróty? Owszem. Jeśli chcecie, możemy o polskim rynku mediów i polskim dziennikarstwie poważnie porozmawiać. Ale warunku, że rozmawiamy wyłącznie o TVP, a reszta niech sobie pałkami okłada kogo i jak chce, przyjąć nie mogę. Byłoby to skrajnie nieuczciwe wobec odbiorców, którzy dzisiaj może nie mają wzorcowo obiektywnych poszczególnych telewizji, ale cały rynek mają w miarę pluralistyczny i wolny.

Każdego demokratę powinno to cieszyć.

eprasa.pl d736cb0a63

JAN WRÓBEL:
TO NIE MAZUREK I INNI STANOWIĄ PROBLEM, LECZ ZBUDOWANY WOKÓŁ TVP MUR

Michał Karnowski zachęcił w tekście adresowanym (także) do mnie do merytorycznej dyskusji na temat mediów.

Korzystam z zaproszenia.

Pierwszy argument pana Michała (przy okazji – „pułkownik" jest Sienkiewiczowski i nie miał być obraźliwy, uwagi o „braku własnej myśli" itd. odnosiły się do wypowiedzi red. Holeckiej) dotyczy niedostrzegania przez prawicowców atakujących TVP tzw. kontekstu. W świecie mediów dominują te, które bronią układu PO-wskiego. Zatem to telewizja publiczna, walcząc z PO i wspierającymi je mediami, niejako wyrównuje szanse stron. Jest, owszem, stronnicza, ale na takiej zasadzie, na której wahadło prawe równoważy wahadło lewe.

Mogę kupić ten argument. Tyle że nie tłumaczy on nasycenia przekazu TVP takim stopniem deprecjonowania partii i środowisk opozycyjnych, z jakim mamy do czynienia. To karmienie niskich instynktów, a przechylać wahadło można na różne sposoby, a nie tylko jeden. Można być stronniczym, a można być stronniczym i obrzydzać widzom rezydentów, nauczycieli, polityków, urzędników, sędziów tak, jakby byli oni najemnikami Mordoru. Można nawet uderzać Adama Bodnara poprzez atak na jego syna. To był czyn niemoralny. Michał Karnowski, podobnie jak red. Holecka czy szlachetny (bez ironii) katolik Robert Tekieli nie znaleźli miejsca w artykułach na sprawę syna Bodnara, chociaż na podważanie intencji Roberta Mazurka jakoś znaleźli.

Drugi argument: krytyka mediów publicznych to atak na media niezależne od „salonu", zatem wypowiadanie się przeciwko nim to stawanie po stronie wroga, a przeciw prawdzie. Ten pogląd jest nie do obrony. Zakłada on bowiem aksjomat prawdy mediów walczących z „salonem". Otóż, nawet gdyby było tak, że „salon" kłamie zawsze, to walczyć z jego kłamstwami może także inny kłamca albo manipulant (to przypadek „Wiadomości" i Info), albo muł szczerze przekonany, że ziemia jest płaska. Popieranie Jarosława Kaczyńskiego nie daje człowiekowi kodu do drzwi prawdy. Podobnie jest jasne, że dowolny krytyk PiS może po prostu mieć rację w jakiejś sprawie.

Wielu bojowników „dobrej zmiany" odrzuca przy tym najoczywistszy pod słońcem fakt, że można wyznawać wartości narodowe, chrześcijańskie, konserwatywne, nawet endeckie i właśnie z powodu wyznawania tych wartości odrzucać narrację TVP. Diabeł wchodzi bowiem w ludzkie umysły i serca, nie przejmując się legitymacją partyjną ani światopoglądem.

Pisze też Michał Karnowski, że „każde wydanie tzw. faktów [czyli „Faktów" TVN] jest jednym wielkim wściekłym wyciem?".

To **argument trzeci:** inni nie są lepsi.

To trudny grunt dla polemisty, bo obiektywnie ocenić, kto jest największym draniem w mieście, mogłaby tylko obiektywna instytucja, a tych nie mamy. Narracja wiecznej wojny, jakże wygodna, unieważnia istnienie czegokolwiek „obiektywnego". W takiej sytuacji... niech każdy dokona oceny „swoich". Odpowiedzią na krytykę swoich nie może być zatem riposta: SKORO KRYTYKUJE JAK CI Z SALONU, to jest z salonu.

Istnieje problem agresji i zajadłości telewizji publicznej. Zacznijmy go rozwiązywać, to nie Mazurek ani inni stanowią problem, lecz zbudowany wokół TVP mur uniemożliwiający moralną i etyczną autorefleksję. Michale, piszesz: „Czy zawsze mi się TVP podoba? Nie. Czy nie popełnia błędów? Popełnia. Nie idzie czasami za bardzo na skróty? Owszem".

Co proponujesz, aby przestała iść „na skróty", depcząc, nie raz i nie dwa, fundamentalne zasady dziennikarstwa?

Rozszerzona wersja wypowiedzi ukazała się na łamach „Dziennika Gazety Prawnej".

MICHAŁ KARNOWSKI:
TAK, TVP WYRÓWNUJE SZANSE STRON I TO JEST KLUCZOWY ARGUMENT

Jak widać, warto rozmawiać. Niezmiernie cieszy przyznanie przez Jana Wróbla, że „telewizja publiczna, walcząc z PO i wspierającymi je mediami, niejako wyrównuje szanse stron". W mojej ocenie to argument najważniejszy, dowodzący, iż dobrze służy polskiej wolności i demokracji. Stawiane przez Jana Wróbla zarzuty wynikają z subiektywnego poczucia, że równowaga ta jest osiągana niewłaściwym językiem, złymi metodami. Podkreśla to zresztą, pytając, co zamierzam zrobić, „aby TVP przestała iść »na skróty«", depcząc, nie raz i nie dwa, fundamentalne zasady dziennikarstwa?". Odpowiadam: to pytanie to tak naprawdę propozycja, byśmy przyjęli debatę na warunkach, które same z siebie są kapitulacją. Albowiem teza wyjściowa, że w TVP mamy do czynienia z przekraczaniem wszelkich granic, że tam jest jakaś szczególna zajadłość, a we wściekle antyrządowych stacjach komercyjnych po prostu uprawniony przechył i umiarkowany język, nie jest prawdziwa. W rzeczywistości po obu stronach mamy do czynienia z budowaniem przekazu przez własny dobór tematów, z postawą pewnej waleczności w obronie tego, co dla danej redakcji jest ważne. Jest oceną subiektywną i w sumie wtórną, gdzie jest tego więcej, kogo bardziej to boli. Bo to właśnie ta różnica pomiędzy stacjami daje to minimalne zrównoważenie rynku, co jest istotną wartością demokratyczną. To dzięki temu widz ma w zasięgu pilota naprawdę różne punkty widzenia. I każdy każdemu patrzy na ręce.

Czy da się o tym poważnie porozmawiać, szukając sposobu na złagodzenie temperatury sporu? Tak, ale wtedy, gdy uznamy prawo wszystkich stron życia publicznego do mówienia za pośrednictwem mediów masowych, mówienia nie tylko na warunkach przedstawionych przez TVN, nie tylko w jego agendzie. Warunkiem przyjęcia zaproszenia do takiej rozmowy jest też prawo do jednoczesnej oceny wszystkich stacji telewizyjnych, a nie wyłącznie obecnej TVP. W każdym innym wypadku powstanie silne wrażenie, że celem kolejnych ataków na telewizyjne medium publiczne nie jest jego poprawa, ale wymuszenie na środowiskach konserwatywnych medialnej kapitulacji, a następnie, w sposób oczywisty, doprowadzenie do przełomu politycznego.

eprasa.pl d736cb0a63



Wojny hybrydowe XXI w.



GRZEGORZ GÓRNY

Niestety, większość komentatorów politycznych w naszym kraju żyje XIX-wiecznymi wyobrażeniami wojen, które sprowadzają się jedynie do konfliktów zbrojnych. Między kampaniami militarnymi, gdy nie słychać szczęku oręża (jak mówiono dawniej) lub świstu kul (jak mówi się dziś), panuje pokój. Ostatnie wydarzenia na świecie mącą jednak nieco ten uporządkowany i statyczny obraz.

Oto największa potęga świata, czyli Stany Zjednoczone, ogłasza, że została zaatakowana, i to w najczulszym miejscu, choć de facto żadnej akcji wojskowej przeciw niej nie podjęto. Okazuje się jednak, że w 2016 r. za sprawą mediów społecznościowych siły zewnętrzne próbowały wpłynąć na „najświętszy akt demokracji" w USA, czyli przebieg tamtejszych wyborów prezydenckich.

„DOKTRYNA GIERASIMOWA"

Nie dziwi to tych, którzy znają ogłoszoną w 2013 r. doktrynę szefa Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej gen. Walerija Gierasimowa. W opublikowanym wówczas tekście pisał on: „Reguły wojny uległy zmianie. Wzrosła rola niewojskowych sposobów osiągania celów politycznych i strategicznych, które w wielu przypadkach okazują się bardziej efektywne niż potęga militarna". I dodawał: „Takie działania uzupełniane są przez środki wojskowe o charakterze ukrytym".

„Doktryna Gierasimowa" polega nie na otwartych działaniach zbrojnych, lecz na zakulisowym wpływaniu na społeczeństwo przeciwnika, by je osłabić, wprowadzając w stan permanentnego niepokoju, destabilizacji i chaosu poprzez ciągłe podsycanie napięć i konfliktów wewnętrznych. W dłuższej perspektywie chodzi o zmianę polityki wrogiego państwa za pomocą informacji lub dezinformacji, manipulacji i prowokacji.

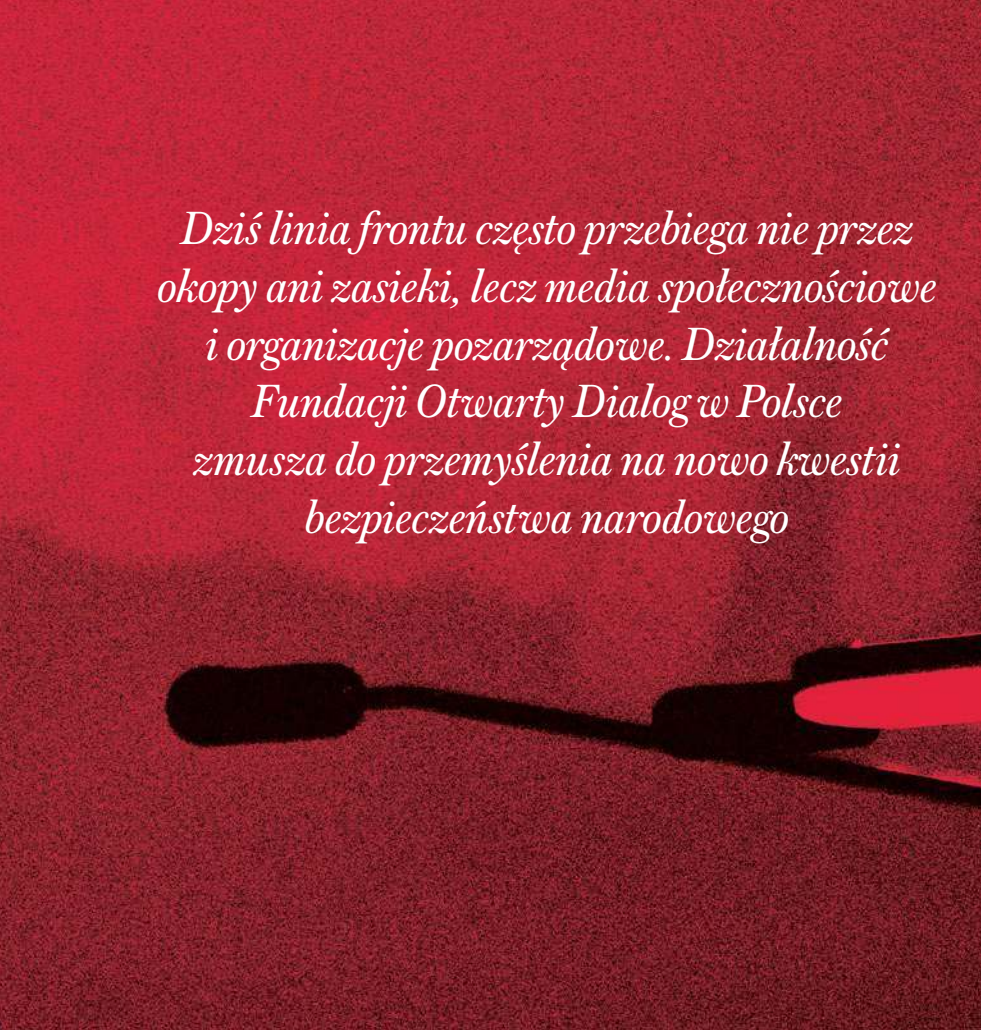
Ten sposób działania opiera się oczywiście na metodach opracowanych przez chińskiego stratega wojskowego Sun Zi i wyłożonych w jego „Sztuce wojennej", jednak z wykorzystaniem najnowszych zdobyczy technologii oraz psychomanipulacji społecznej. W tym celu wykorzystywane są najróżniejsze narzędzia, osoby i instytucje: internet, media, zwłaszcza społecznościowe, organizacje pozarządowe, agenci wpływu, hakerzy, trolle itd.

Ponieważ Rosja nie może konkurować z Zachodem militarnie ani ekonomicznie, tworzy nowe pola walki, by niepostrzeżenie osłabić przeciwnika. Ideałem jest wygrywanie potyczek w sytuacji, gdy wróg nie zdaje sobie nawet sprawy, że w ogóle została wydana mu bitwa. Nieocenioną rolę odgrywa w tym internet. Jak pisze Gierasimow: „Przestrzeń informacyjna otwiera szerokie, asymetryczne możliwości redukowania siły przeciwnika".

Nie mniej ważne jest – jego zdaniem – wykorzystywanie „wewnętrznej opozycji do tworzenia nieustannie działającego frontu na całym terytorium

eprasa.pl d736cb0a63

Dziś linia frontu często przebiega nie przez okopy ani zasieki, lecz media społecznościowe i organizacje pozarządowe. Działalność Fundacji Otwarty Dialog w Polsce zmusza do przemyślenia na nowo kwestii bezpieczeństwa narodowego



Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com

przeciwnika". Na tym oparta jest np. metoda astroturfingu, czyli pozorowania spontanicznych działań obywatelskich, a w rzeczywistości realizowania zadań inicjowanych i finansowanych przez ukrytych zleceniodawców.

Jak działa to w praktyce, ujawnił w 2017 r. szef Komisji Specjalnej Senatu USA ds. Wywiadu Richard Burr. Podał on przykład wydarzeń, do których doszło 21 maja 2016 r. w Houston. Tego dnia przed Islamskim Centrum Da'wah odbyły się równocześnie dwa wiece: antyimigrancka manifestacja pod sztandarami „Stop Islamization of Texas" oraz muzułmańska kontrmanifestacja pod hasłem „Save Islamic Knowledge". Tylko obecność policji zapobiegła użyciu przemocy. Senator Burr przedstawił dowody, że obie akcje zostały zainicjowane, sfinansowane i zorganizowane przez Rosjan. Według obliczeń CIA całe przedsięwzięcie kosztowało Moskwę zaledwie 200 dol.

Molly K. McKew, amerykańska ekspert ds. wojny informacyjnej, która doradzała m.in. rządom Gruzji i Mołdawii, pisze: „Ten sposób działania stanowi poważne wyzwanie, bo nie zawsze rozumiemy, jak to działa w praktyce: jak każda idea wojny partyzanckiej, także doktryna Gierasimowa, obliczona jest na oszczędzanie własnych zasobów i decentralizację – co sprawia, że trudniej ją wykryć i śledzić. Co więcej, na poziomie strategicznym jej cele nie pokrywają się z tymi, które znamy i o których dotąd dyskutowaliśmy. Kremlowi nie chodzi o wskazanie zwycięzcy, lecz o osłabienie wroga i tworzenie środowiska, w którym każdy poza Kremlem przegrywa. W tym właśnie leży siła gierasimowowskiej »wojny z cieniami«: trudno organizować opór przeciw wrogowi, którego nie widać – i co do którego nie mamy pewności, że w ogóle istnieje".

Nic dziwnego, że problematyka wojen hybrydowych, psychologicznych czy informacyjnych staje się dziś przedmiotem studiów w akademiach sztuki wojennej na całym świecie. Wymaga ona zdefiniowania na nowo kwestii bezpieczeństwa narodowego. Politycy myślący w kategoriach strategicznych zdają sobie sprawę, że dzisiejsze konfrontacje między państwami rzadko odbywają się na frontach, starcia militarne zaś są ostatecznością. Stawką walki jest jednak zawsze to samo: zdobycie kontroli, przewagi, wpływu, władzy. Po co przelewać krew, jeśli można podporządkować sobie kogoś innymi, bardziej subtelnymi metodami, np. kształtując jego poglądy i postawy zgodnie z naszymi interesami.

„DOKTRYNA SOROSA"

Strategia Sun Zi 2.0 może być stosowana nie tylko przez państwa takie jak Rosja czy Chiny, lecz także przez inne podmioty międzynarodowe, które dysponują odpowiednimi ku temu środkami oraz programem. Przykładem może być działalność znanego miliardera i spekulanta finansowego George'a Sorosa. Nie ukrywa on, że jego marzeniem jest wizja stworzenia „nowego wspaniałego świata" – społeczeństwa przyszłości bez barier religijnych i narodowych. W tym celu wspiera na całym globie sieć organizacji pozarządowych, które w ponad stu krajach wywierają wpływ na tamtejszą kulturę, edukację, prawo, a w konsekwencji na świadomość obywateli. Na pierwszy rzut oka nie są to instytucje polityczne, lecz społeczne, obywatelskie czy charytatywne. Mają jednak wpływ opiniotwórczy, zasoby finansowe oraz zdolność mobilizowania zwolenników w kręgach liberalno-lewicowych. W chwilach kryzysów są w stanie kreować wydarzenia polityczne, jak w Kosowie, Albanii czy Macedonii.

Działając w ten sposób, w ciągu ostatnich dwóch dekad George Soros wydał na sieć organizacji związanych z Open Society Foundation kolosalną sumę ok. 14 mld dol. Wiele państw na świecie może jedynie pomarzyć o tak dużym budżecie na soft power. To jednak nie wszystko: w zeszłym roku 87-letni miliarder przelał na konto swych organizacji non profit 18 mld dol. Tym samym zapewnił funkcjonowanie owym instytucjom długie lata po swojej śmierci.

Nie oszukujmy się. George Soros jest nie tylko spekulantem finansowym i filantropem, lecz także politykiem o globalnym zasięgu działania. Od lat wspomaga swymi pieniędzmi kampanie wyborcze demokratów w Stanach Zjednoczonych. Finansuje największą na świecie organizację aborcyjną – Planned Parenthood, będąc jej trzecim najhojniejszym donatorem. Sponsoruje projekt Death in America, mający na celu zmianę

eprasa.pl d736cb0a63

nastawienia społeczeństwa w USA do eutanazji. Na jego pieniądze mogą liczyć podmioty zaangażowane w organizację nielegalnej imigracji z Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu do Europy. Obdarowywane przez niego instytucje propagują multikulturalizm, liberalizm obyczajowy czy ideologię gender.

W niektórych krajach, np. na Węgrzech, organizacje finansowane przez Sorosa wchodzą w otwarty konflikt z władzami. Sam miliarder nie ukrywa zresztą, że jego celem jest obalenie rządu Fideszu. Trzy lata temu János Lázár, szef gabinetu Viktora Orbána, oświadczył, że służby specjalne zebrały dowody, iż węgierska opozycja jest sponsorowana właśnie przez Sorosa. To m.in. on finansował działalność organizacji pozarządowych, które animowały antyrządowe demonstracje uliczne. Ekspert ds. bezpieczeństwa József Horváth zauważył, że kiedyś oddziaływać na sytuację wewnętrzną w innych krajach mogły służby specjalne, a dziś mogą to robić ci, którzy mają duże pieniądze.

Były premier Macedonii Nikoła Gruewski, który w zeszłym roku uzyskał azyl polityczny na Węgrzech, mówił w wywiadzie dla tygodnika „Republika": „Soros przemienił NGO-sy w Macedonii w nowoczesną armię. Dzisiaj bitew nie toczy się za pomocą karabinów i pistoletów, tak jak sto lat temu, ale za pomocą NGO-sów, skorumpowanych mediów i dziennikarzy oraz za pomocą wpływu potężnych zagranicznych mediów oraz potężnych zagranicznych rządów. Taka jest rzeczywistość I tak na nieszczęście działa Soros".

„ŻELAZNA KOPUŁA"

W tej sytuacji wiele państw na nowo definiuje kwestię swojego bezpieczeństwa narodowego, by ustrzec się przed operacjami hybrydowymi zarówno ze strony służb specjalnych innych krajów, jak i podmiotów niepaństwowych. Przedmiotem zainteresowania stają się zwłaszcza cyberprzestrzeń oraz organizacje pozarządowe.

W tym kontekście najczęściej mówi się o rosyjskiej ustawie z 2012 r. Nakłada ona na NGO-sy finansowane z zagranicy i zajmujące się „działalnością polityczną" obowiązek zapisania się w „rejestrze agentów zagranicznych" – przy czym to państwo definiuje, co jest „działalnością polityczną", a może nią być np. wpływanie na świadomość obywateli.

Prawo to jest powszechnie krytykowane na Zachodzie i wskazywane jako przykład ograniczania wolności obywatelskich. Komentatorom umyka zazwyczaj jedno: obecne władze w Moskwie, których elita wywodzi się ze służb specjalnych, mierzą innych swoją miarą.

W niektórych krajach, np. na Węgrzech, organizacje finansowane przez Sorosa wchodzą w otwarty konflikt z władzami. Trzy lata temu János Lázár, szef gabinetu Viktora Orbána, oświadczył, że służby specjalne zebrały dowody, iż węgierska opozycja jest sponsorowana właśnie przez Sorosa

Zabezpieczają się więc przed środkami, które same na dużą skalę stosują wobec innych.

Polityka rosyjska nie jest zresztą najbardziej restrykcyjna wobec organizacji pozarządowych w porównaniu z innymi państwami. Władze w Indiach zakazały w ogóle działalności ok. 4 tys. NGO -sów w tym kraju.

Gwoli sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że pionierem tego typu działań ochronnych są Stany Zjednoczone, gdzie już w 1938 r. uchwalono prawo o „agentach zagranicznych" o nazwie Foreign Agents Registration Act (FARA). Zgodnie z nim agentem zagranicznym jest osoba prawna lub fizyczna, która działa „na polecenie, na prośbę, pod kierownictwem lub pod kontrolą zagranicznego zwierzchnika", zajmując się „działalnością polityczną w interesach zagranicznego zwierzchnika".

Najbardziej znanym tego typu rozwiązaniem jest jednak prawo obowiązujące w Izraelu. Kraj ten posiada najskuteczniejszą tarczę antyrakietową świata zwaną „żelazną kopułą". W 2011 r. Kneset przyjął ustawę o przejrzystości finansowania organizacji pozarządowych, którą część publicystów nazwała swoistą żelazną kopułą, mającą chronić państwo nie tyle przed rakietami wroga, ile przed operacjami hybrydowymi przeciwnika.

Zgodnie z uchwalonym wówczas prawem NGO-sy działające w tym kraju mają obowiązek informowania o wszelkich zagranicznych źródłach swego finansowania. Dane muszą być jawne, umieszczone w publicznym rejestrze i co kwartał aktualizowane. Wszystkie broszury, ulotki, ogłoszenia płatne czy filmy reklamowe muszą być opatrzone informacją, że zostały sfinansowane z zagranicznych środków.

W 2016 r. wspomniana ustawa została jeszcze bardziej zaostrzona. Komentując decyzję Knesetu, premier Beniamin Netanjahu stwierdził, że celem nowego prawa jest „przeciwdziałanie absurdalnej sytuacji, gdy zagraniczne państwa mieszają się w wewnętrzne sprawy Izraela, finansując organizacje pozarządowe, a obywatele Izraela nie mają o tym pojęcia".

Podobny cel przyświecał parlamentarzystom w Budapeszcie, gdy czerwcu 2017 r. uchwalili ustawę, w myśl której organizacje pozarządowe otrzymujące spoza Węgier dotacje powyżej pewnej sumy muszą się zarejestrować jako organizacje finansowane z zagranicy. Nowe prawo spotkało się z dużym poparciem. Zostało bowiem poprzedzone konsultacjami społecznymi, w ramach których do każdego obywatela wysłano pocztą list z zapytaniem w tej sprawie. Aż 99,1 proc. tych, którzy zdecydowali się odpowiedzieć, poparło projekt rządu. Liderzy Fideszu mogli więc ogłosić, że wyrażają jedynie wolę narodu, który pragnie większej transparentności życia publicznego. A cóż jest ważniejszego w demokracji niż jawność i przejrzystość?

eprasa.pl d736cb0a63

SIECI

SUKCESY

XX-lecia międzywojennego

1918–1939



odc. 7

Media i kultura

PARTNER DODATKU
ORLEN

cprasa.pl d736db0a63

II RP – czas kulturalnego fermentu









eprasa.pl d736db0a63

Z prof. Rafałem Habielskim z Biura Badań Historycznych IPN rozmawia Maciej Wolny

Jaka była kondycja polskiego życia kulturalnego przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości?

Rafał Habielski: Państwa zaborcze z powodów, których nie trzeba wyjaśniać, nie były zainteresowane rozwojem polskiej kultury. Funkcjonowała ona za sprawą twórców, recepcji ich dzieł oraz przekonania, że jest ważnym, wedle niektórych najważniejszym, narzędziem walki o zachowanie świadomości narodowej i ocalenie tożsamości, nawet jeśli nie odwołuje się wprost do zagadnień politycznych czy historycznych. Tak swoją rolę pojmowali przedstawiciele wszystkich w zasadzie dziedzin – pisarze, poeci, malarze, rzeźbiarze, kompozytorzy. Mocą zrządzenia losu polska kultura na przestrzeni kilku dziesięcioleci poprzedzających 1918 r. obfitowała w wybitne indywidualności. Przykładów nie brakuje.





Jak wyglądało to w przypadku prasy? Jakim wyzwaniem była prasowa działalność, szczególnie podziemna, w czasie zaborów?

Przed odzyskaniem niepodległości większość tytułów ukazywała się legalnie, poddana ograniczeniom cenzuralnym. Skala wolności, a w zasadzie jej braku, była różna i zależała od miejsca i czasu, np. uległa znacznemu poszerzeniu w Królestwie Polskim po 1905 r. Wydawcą prasy podziemnej była przede wszystkim PPS w zaborze rosyjskim. To wtedy legendarną pozycję zdobył „Robotnik", przez pewien czas redagowany i wydawany przez Józefa Piłsudskiego. W czasie I wojny światowej prasa podlegała zaostrzonej cenzurze prewencyjnej, co wpływało na zakres opisu rzeczywistości i jej interpretacji.

„Halo, halo Polskie Radio Warszawa"

Tymi słowami spikerka Janina Sztompkówna 18 kwietnia 1926 r. o godzinie 17.45 rozpoczęła oficjalną działalność Polskiego Radia, międzywojennego monopolisty na rynku radiowym.



Radiostacja Raszyn w Łazach

Tym samym II RP była 18. państwem w Europie, które wprowadziło na swoim terytorium radiofonię (choć należy pamiętać, że wówczas z terenu Wrocławia od dwóch lat nadawało już radio niemieckie). Pierwszą audycję radiową w Warszawie nadano z kolei 1 lutego 1925 r., a odpowiedzialne było za to Polskie Towarzystwo Radiotechniczne. Do najważniejszych postaci związanych z rozwojem Polskiego Radia należał Zygmunt Chamiec, pełniący przez pierwszą dekadę działalności funkcję dyrektora. W Raszynie wybudowano gigantyczny maszt radiowy pokrywający swoim zasięgiem większość kraju, a przed wybuchem II wojny światowej abonentów Polskiego Radia było już ponad milion. 30 września 1939 r. Niemcy zakazali Polakom korzystania z radioodbiorników, a cała działalność radiowa przeszła do podziemia.

Odzyskanie niepodległości było tchnieniem życia w wiele dziedzin, które pod zaborami praktycznie nie istniały lub których istnienie było zależne od polityki Rosji, Prus i Austrii. Jak rok 1918 podziałał na polską kulturę?

Najistotniejsze było to, że od odzyskania niepodległości polska kultura zaczęła się rozwijać w wolnym, demokratycznym państwie, które w miarę swoich możliwości – pamiętajmy, że zwłaszcza na początku nie były one duże – starało się zapewnić jej opiekę i stworzyć warunki pracy twórcom. Na rzecz uczestnictwa w kulturze działało zwalczanie analfabetyzmu oraz rozwój oświaty na wszystkich szczeblach, czynnikiem ograniczającym była natomiast zła sytuacja gospodarcza, inflacja, niski poziom materialny większości społeczeństwa. Z przeciwnościami tymi usiłował radzić sobie mecenat państwowy, któremu w sukurs przychodziły instytucje prywatne, władze samorządowe i zwykli ludzie.

Jakie były najważniejsze dziedziny, którymi kultura stała w okresie międzywojnia?

Najważniejszą ze sztuk była literatura, w której widziano wyraz tożsamości narodowej, a w pisarzach – twórców obdarzonych szczególnym wpływem. Przekonanie to wywodzono z okresu zaborów. Takie postrzeganie literatury nie zmieniło się do końca dwudziestolecia niepodległości, choć nie żyli już wtedy wielcy pisarze uosabiający to przekonanie – Stefan Żeromski i Władysław Reymont. Nawiasem mówiąc, pogrzeby obu stały się społecznymi manifestacjami uznania dla ich twórczości, dając wyobrażenie o znaczeniu, jakie przywiązywano do literatury. Spadkobierczynią przekonania, że literatura ma dawać świadectwo rzeczywistości, pozostając w kontakcie z przeszłością, była twórczość Marii Dąbrowskiej. Popularnością cieszyła się poezja. W przypadku grupy Skamandra, którą tworzyli Lechoń, Wierzyński, Tuwim, Iwaszkiewicz,

Fot. NAC x5

eprasa.pl/d736db0a63

Czas wielkiej budowy

Odrodzona Polska borykała się z odbudową zniszczonych podczas I wojny światowej budynków, ale żeby się rozwijać, musiała także od podstaw tworzyć całe miasta. Architekci najchętniej sięgali po wzorce sprzed rozbiorów, tworząc liczne

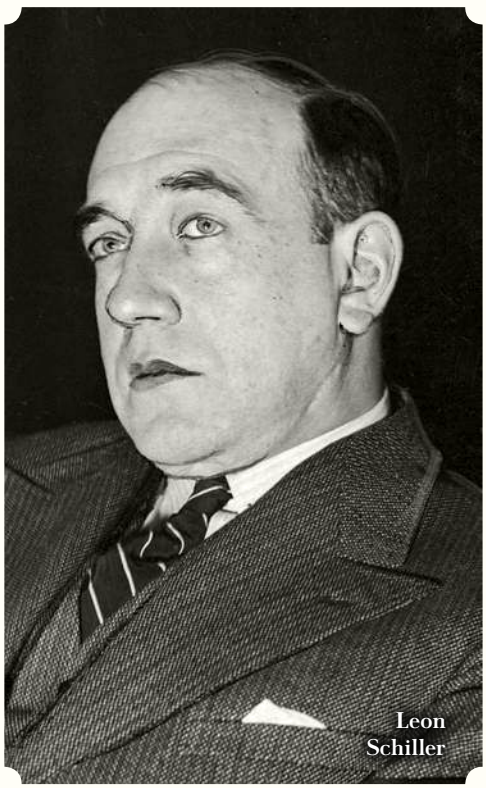


Gmach Pocztowej Kasy Oszczędności w Krakowie

„historyczne" budowle z mocno klasycystycznym sznytem (gmach PKO w Krakowie), ale nie stronili też od rozwiązań modernistycznych (budynek warszawskiej SGH). Ścierały się koncepcje art nouveau, czyli secesji, i art déco, a stworzony w duchu tej ostatniej polski pawilon na słynnej Międzynarodowej Wystawie Sztuki Dekoracyjnej w Paryżu w 1925 r. odniósł wielki sukces. Największymi wyzwaniami dla międzywojennych architektów były z pewnością budowa Gdyni oraz Centralnego Okręgu Przemysłowego, ale przecież powstawały również całe osiedla mieszkaniowe w wielkich miastach (vide warszawski Żoliborz). Nie bez znaczenia dla rodzenia się nowych architektonicznych idei były działania grup artystycznych, z których najsłynniejszymi były Blok i Praesens.

Teatr monumentalny

Koncepcja teatru powszechnego i dostępnego, będącego prawdziwym widowiskiem, wychodzącego naprzeciw widza została wcielona w życie w II RP przez Leona Schillera. Genialny reżyser z Krakowa przez całe życie artystyczne był związany przede wszystkim ze Lwowem, ale działał także w Warszawie czy Łodzi. Wraz z innym wspaniałym artystą teatralnym – Aleksandrem Zelwerowiczem – doprowadził do powstania Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej, który wykształcił rzesze polskich reżyserów i aktorów. Schiller idee teatru monumentalnego, zwanego też ogromnym, urzeczywistniał w interpretacjach dzieł największych romantyków: Mickiewicza, Słowackiego czy Krasińskiego, a jego „Dziady" i „Kordian" przeszły do kanonu polskiego teatru. W II RP wybitnych przedstawicieli sztuki teatralnej było pod dostatkiem, a obok Schillera czy Zelwerowicza do panteonu można z pewnością zaliczyć Juliusza Osterwę, najbardziej znanego ze swojej działalności w eksperymentalnej Reducie, i Stefana Jaracza, założyciela warszawskiego Ateneum i legendarnego aktora.


Leon Schiller

Słonimski, można mówić o sławie, jaką zyskali we wszystkich grupach odbiorców. Inteligencja, zgodnie ze swoimi tradycyjnymi upodobaniami, ceniła teatr, przede wszystkim polską klasykę – Mickiewicza i Słowackiego, których nie zawsze można było wystawiać przed 1918 r.

Kto w takim razie był bożyszczem tłumów, kto porywał społeczeństwo II RP w kinie i w teatrze, kto władał duszami za sprawą muzyki?

Popularność na skalę ogólnospołeczną zdobyło kino i jego bohaterowie. Krytyka narzekała wprawdzie na niski poziom większości produkcji, ale dość powszechnie uważano, że ma ono przede wszystkim bawić, co nie znaczy, że kręcono wyłącznie komedie. Ekranizowano wielką literaturę, odwoływano się do przeszłości, usiłowano poruszać, choć rzadko, zagadnienia społeczne. Bohaterami zbiorowego uwielbienia byli w związku z tym aktorzy filmowi Eugeniusz Bodo, Aleksander Żabczyński, Adolf Dymsza, Kazimierz Junosza-Stępowski. Teatr odwoływał się do innego repertuaru i nieco innej publiczności, był bardziej elitarny. Podobnie było z muzyką. Twórczość Karola Szymanowskiego, znakomitego kompozytora, była znana i ceniona przez odbiorcę ekskluzywnego. Natomiast wykonawcy muzyki lekkiej – zwłaszcza piosenkarki, przykładem Hanka Ordonówna czy Zula Pogorzelska – cieszyli się sławą nieustępującą gwiazdom kina, w którym zresztą od czasu do czasu występowali. Zjawiskiem, które w zasadzie skończyło się wraz z wybuchem wojny, znajdując kontynuację po 1945 r. poza krajem, były kabarety – teksty pisali m.in. Tuwim, Słonimski i Marian Hemar, śpiewały gwiazdy, m.in. Ordonówna.

Trudno pominąć wybitnych przedstawicieli malarstwa, architektury czy rzeźby. Kto stał na czele tych dziedzin sztuki?

We wszystkich tych dziedzinach spotkali się przedstawiciele różnych generacji, szkół i estetyk. Odchodzi-

eprasa.pl/d736db0a63

li twórcy ważni przed 1918 r. i w początkach niepodległości, m.in. Malczewski, Fałat, Axentowicz. Młodzi eksperymentowali z formą, kolorem, ekspresją, wolni od przekonania, że ich obowiązki są porównywalne z obowiązkami tych, którzy nadawali ton malarstwu historycznemu czy batalistycznemu, co nie podważało popularności prac Wojciecha Kossaka. Jego konie i ułani zdobili wnętrza dworów i inteligenckich mieszkań. W rzeźbie doceniano monumentalizm Edwarda Wittiga, którego pomnik Lotnika otwiera dzisiaj perspektywę al. Żwirki i Wigury w Warszawie. Polska niepodległa dała możliwość wypowiedzi architektom, których wyobraźnia definiowała rzeczywistość, była jej znakiem rozpoznawczym, zaświadczała dokonania nowo powstałego państwa i gusta jego obywateli. Wyraz temu dawały gmachy zaprojektowane przez Bohdana Pniewskiego i Zdzisława Mączeńskiego. Budynki zaprojektowane w stylu modernistycznym, m.in. przez Juliusza Żórawskiego, dowodziły odwagi i rozmachu projektantów, niektóre przetrwały wojnę i zwracają uwagę po dziś dzień.

Czy okres dwudziestolecia międzywojennego był dobry dla mediów? Czy okoliczności od 1918 r. do 1939 r. były cały czas tak samo sprzyjające?

Po odzyskaniu niepodległości prasa zyskała wolność w ramach prawa gwarantowaną konstytucyjnie; prasy nie wolno było cenzurować ani koncesjonować. Kłopot stanowiło prawodawstwo karne, różne na terenie byłych zaborów, oraz prawo prasowe, także odziedziczone z pewnymi zmianami po zaborcach, a więc zróżnicowane. Zdarzało się, że treść tego samego artykułu w Warszawie nie budziła zastrzeżeń, a w Poznaniu czy Lwowie już tak – okazywało się, że koliduje ona z obowiązującymi tam przepisami. Od 1926 r. w Polsce zmienia się sytuacja polityczna, co nie pozostaje bez wpływu na wolność wypowiedzi.

Widok z dachu Prudentialu

Wieżowiec, poza tym, że był najwyższym budynkiem w Polsce, zapisał się w historii II RP w jeszcze jeden istotny sposób: na jego szczycie znajdował się od 1936 r. nadajnik, poprzez który swoje eksperymentalne nadawanie rozpoczęła



Gmach Towarzystwa Ubezpieczeń „Prudential”

polska telewizja. 5 października 1938 r. odbyła się próbna transmisja telewizyjna, w której wziął udział jeden z największych artystów estradowych w polskiej historii, Mieczysław Fogg, a zaledwie na tydzień przed wybuchem II wojny światowej doszło do historycznej oficjalnej transmisji telewizyjnej. Kolejną nadano dopiero w 1952 r. W rozważaniach o polskiej telewizji nie można nie wspomnieć o „polskim Edisonie”, czyli Janie Szczepaniku, który jeszcze w XIX w. opatentował telektroskop, który później rozwinął w formie telefotu. To właśnie on i jego urządzenia uznawane są za kamienie milowe w dziedzinie rozwoju światowej telewizji.

Czy możemy mówić o niezależności? Jak wyglądała kwestia cenzury?

O niezależności prasy można mówić w odniesieniu do lat 1918–1926, wtedy rzeczywiście zakres swobody był duży, wedle niektórych nawet zbyt duży, czego dowodem ataki na prezydenta Gabriela Narutowicza, w niektórych wypadkach nawołujące do jego usunięcia z urzędu, a więc w zasadzie bezprawne. Jeśli władze uznawały, że wypowiedzi prasy kolidowały z prawem, karały dziennikarzy bądź zawieszały tytuły, które na ogół wychodziły nadal pod lekko zmienionym tytułem, np. zamiast „Rzeczpospolita” – „Rzecz Wspólna”. Ci, którzy uznawali się za obrażonych w druku, albo kierowali sprawy do sądu, domagając się sankcji wobec autorów, albo, stosunkowo często, decydowali się na rozwiązania honorowe, czyli pojedynki, nawiasem mówiąc zabronione. Po zamachu majowym 1926 r. wzrosła liczba konfiskat, zdarzały się pobicia dziennikarzy tytułów opozycyjnych. Wartością, której broniły władze, odwołując się do różnego rodzaju szykan, było dobro państwa, traktowane jako kategoria najwyższa, umiejscawiana ponad prawami jednostki. Przed wybuchem II wojny światowej, w okresie komplikującej się sytuacji międzynarodowej, na prasę nałożono ograniczenia mające powstrzymywać ją przed nakręcaniem nastrojów antyniemieckich, które mógłby wykorzystywać Hitler do oskarżania Polski o zaostrzanie sytuacji międzynarodowej. Władze starały się także eliminować wypowiedzi uznawane za defetystyczne, zwracające uwagę na niedostateczne przygotowanie Polski do wojny. W marcu 1939 r. w obozie odosobnienia w Berezie Kartuskiej osadzony został na dwa tygodnie Stanisław Mackiewicz, zwolennik koncepcji unikania konfliktu z Niemcami. Przez cały okres dwudziestolecia niepodległości w Polsce nie stosowano cenzury prewencyjnej, pociągano natomiast do odpowiedzialności autorów i ich wypowiedzi, które naruszały prawo

Fot. NAC x3

eprasa.pl/d736db0a63

Człowiek z batutą

Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia to obecnie jeden z największych powodów do narodowej dumy dla każdego polskiego wielbiciela muzyki poważnej. Swoje tradycje wywodzi od orkiestry powstałej w 1934 r. z inicjatywy genialnego dyrygenta i kompozytora Grzegorza Fitelberga, który wielką sławę zdobył jeszcze pod zaborami. Propagował polską muzykę w Rosji, a po odzyskaniu niepodległości stał się człowiekiem instytucją. Jego wielkim przyjacielem był słynny Karol Szymanowski, któremu Fitelberg pomagał przekładać kompozycje na język orkiestrowy. Przez dekadę szefował Filharmonii Warszawskiej i wystawiał wspaniałe opery, a ze swoimi koncertami jeździł po całym świecie. Wojnę spędził na obczyźnie, a po powrocie do kraju nie ustawał w swojej wielkiej misji rozpowszechniania muzyki polskich twórców – obok Szymanowskiego, byli to m.in. Witold Lutosławski i Grażyna Bacewicz.



Wielka Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia pod batutą Grzegorza Fitelberga

– stąd brały się białe plamy konfiskat. Od takich decyzji można się było jednak odwoływać.

Jakie były najważniejsze dzienniki, które ukazywały się w tamtym okresie? Jaka była ich rola?

Po 1918 r. duże znaczenie miały dzienniki partyjne, trudno było sobie wówczas wyobrazić prowadzenie działalności politycznej bez prasy. Dzienniki partyjne miały za zadanie konsolidować sympatyków, tłumaczyć rzeczywistość oraz skłaniać do określonych zachowań, w okresie przedwyborczym były najważniejszymi narzędziami kampanii. Stąd w prasę wyposażone były wszystkie liczące się stronnictwa, najwięcej tytułów mieli narodowi demokraci, ale nie jestem pewien, czy liczba była najważniejsza. Wpływ osiągano przez jakość publicystki, choć nie wszystkie dobre tytuły zdołały się utrzymać na rynku. Dzienniki stojące na wysokim poziomie, ale różniące się w poglądach, mieli konserwatyści – „Czas" i „Słowo". Dobrą gazetą, „Robotnikiem", dysponowali socjaliści. Z biegiem



Wystawa prac rzeźbiarskich Xawerego Dunikowskiego w Pałacu Sztuki w Krakowie

Popołudnie w Królikarni

Właśnie tak powinien spędzić czas każdy, kto chciałby się zapoznać z twórczością polskich rzeźbiarzy, w tym tego najsłynniejszego, którego imię nosi muzeum w mokotowskim pałacu – Xawerego Dunikowskiego. W okresie międzywojennym był prawdziwą międzynarodową gwiazdą, a jego rzeźby ze słynnymi „Głowami wawelskimi" na czele momentalnie wzbudzały zachwyt. Co ciekawe, początki jego kariery były dość burzliwe, o czym świadczy wydarzenie pewnego styczniowego dnia 1905 r. Malarz Wacław Pawliszek wszedł do restauracji, w której Dunikowski jadł obiad, celem wymierzenia rzeźbiarzowi sprawiedliwości z powodu wcześniejszej utarczki, a Dunikowski wyjął rewolwer i śmiertelnie postrzelił agresora w głowę. Rzeźbiarz wyszedł z aresztu za kaucją i na tym krwawa historia się skończyła. Podczas wojny Dunikowski był więziony w Auschwitz, później powrócił do twórczej pracy i przez niemal dwie dekady przekazywał tajniki sztuki rzeźbiarskiej swoim uczniom.

eprasa.pl/d736db0a63

czasu coraz większą rolę zaczęła odgrywać prasa lżejsza, sensacyjna, niepozbawiona funkcji i poglądów politycznych. Zjawisko to pozostawało w związku ze zmianami społecznymi, wykształcaniem się audytorium oczekującego od prasy rozrywki, chcącego raczej oglądać, niż czytać. W początku dwudziestolecia dominował „Ilustrowany Kuryer Codzienny" – pierwszy polski dziennik sensacyjny, później pojawiły się kolejne. Z formuły tej skorzystał także Kościół. Od połowy lat 30. wychodził „Mały Dziennik" odwołujący się do „zdrowej sensacji", przed wojną była to gazeta o największym nakładzie. Po objęciu władzy własny system prasowy zaczął budować obóz sanacyjny, od 1929 r. wychodziła „Gazeta Polska" będąca pierwszym polskim dziennikiem rządowym. Trudną do przecenienia rolę ogrywały tygodniki literackie i polityczne, miejsce dyskusji i sporów. „Wiadomości Literackie" założone przez Mieczysława Grydzewskiego, najpopularniejsze ówcześnie pismo tego rodzaju, zapewniały swoim czytelnikom kontakt ze wszystkimi rodzajami twórczości, choć przede wszystkim z literaturą. „Polityka" Jerzego Giedroycia szukała rozwiązań polskich dylematów geopolitycznych.

Kto miał największy wpływ na kreowanie medialnego przekazu? Jacy byli najwybitniejsi przedstawiciele dziennikarskiego fachu w okresie międzywojnia?

Nie sposób rozstrzygnąć tego jednoznacznie. Powiązanie prasy ze światem polityki powodowało, że audytorium czytelnicze było podzielone. Zjawisko to początkowo nie istniało w przypadku prasy sensacyjnej, czytano ją nie z powodów politycznych, co uległo zmianie w latach 30. Dwudziestolecie niepodległości obfitowało w wielu wybitnych publicystów różnych generacji i zapatrywań, część z nich zasługuje na miano pisarzy politycznych. Do najstarszego pokolenia należeli Władysław Studnicki

Prawdziwa awangarda

W II RP pojawiały się nowoczesne awangardowe prądy z całego świata, a ich polscy przedstawiciele niekiedy przewyższali swoimi dokonaniami pionierów z innych stron globu. Do takiej grupy wpisuje się z pewnością Władysław Strzemiński, malarz konstruktywista i twórca unizmu, czyli swojego indywidualnego podejścia do sztuki. Należał kolejno do najważniejszych polskich zespołów awangardowych: Bloku, Praesens i Awangardy Rzeczywistej. Strzemiński większość życia spędził w Łodzi, gdzie przez lata związany był z awangardową rzeźbiarką Katarzyną Kobro. W tym mieście także umarł w 1952 r., zapomniany i nieuznany przez stalinowskie władze, dla których awangardowe idee w sztuce stanowiły zagrożenie i kontrę względem wszechobecnego socrealizmu. Wcześniej został ciężko naznaczony w trakcie I wojny światowej, gdy jako żołnierz carskiej armii stracił nogę, rękę i wzrok w jednym oku podczas walk na Białorusi.



„Powidok słońca" autorstwa Władysława Strzemińskiego

Polityka na co dzień

Prasa polityczna w II RP stała mocno. Każde szanujące się ugrupowanie miało co najmniej kilka tytułów prasowych, które przekazywały odpowiadający danemu stronnictwu pogląd na rzeczywistość. Ich poziom był różny, ale trzeba przyznać, że wśród międzywojennych felietonistów nie brakowało takich, których artykuły i dzisiaj czytalibyśmy z wypiekami na twarzy. Dobre tytuły miała endecja z „Gazetą Warszawską", „Myślą Narodową" i „Kurierem Poznańskim" na czele. Socjaliści stali „Robotnikiem" i „Naprzód", a od 1935 r. docierali do szerokich mas poprzez „Tydzień Robotnika". Ludowcy mieli pisma odpowiadające tytułami nazwom partii – „Piast" i „Wyzwolenie", a w późniejszym okresie również „Polskę Ludową". Chadecja dysponowała przede wszystkim „Polonią" redagowaną przez Wojciecha Korfantego, a po jego wyjeździe z kraju funkcję chadeckiej tuby przejął „Dziennik Bydgoski". Gazety konserwatywne szczególnie popularne były w Krakowie („Czas") i Wilnie („Słowo"), a światopogląd katolicki propagował kościelny „Mały Dziennik". Po przewrocie majowym dla pism krytycznie oceniających Józefa Piłsudskiego i rządy sanacyjne przyszła ciężka próba, a poglądy Marszałka i jego popleczników najlepiej odzwierciedlały tytuły ze stajni Mariana Dąbrowskiego czy „Gazeta Polska". Wiele polskich tytułów ukazywało się w środowiskach polonijnych – wymieńmy tylko nowojorski „Nowy Świat" czy chicagowską „Zgodę".



Fot. NAC x2, ZOFIA I MAREK BAZAK/EAST NEWS

eprasa.pl/d736db0a63

Magnat z Mielca

Postaci medialnych magnatów, zgrabnie lawirujących w świecie polityki i dzięki dobrym stosunkom z tą czy inną opcją zdobywający wciąż nowe kanały przekazu, nie są w Polsce wymysłem III RP. Już w okresie międzywojennym możemy mówić o człowieku, który przecierał szlaki na tym polu, idąc śladami wielkiego amerykańskiego biznesmena Williama Randolpha Hearsta. Mowa o Marianie Dąbrowskim, który w 1910 r. założył w Krakowie „Ilustrowany Kuryer Codzienny". „IKaC" był pierwszym ogólnopolskim dziennikiem wysokonakładowym, który ukazywał się aż do 1939 r. Od tytułu dziennika Dąbrowski nazwał swój koncern medialny, który w latach 20. i 30. nie miał sobie równych. Wydawcy z pewnością pomagało jego zaangażowanie polityczne, bo przez kilka kadencji był posłem ściśle powiązanym z BBWR i obozem piłsudczykowskim. Niestety, wybuch II wojny światowej doprowadził Dąbrowskiego do ruiny i wyjazdu do Stanów Zjednoczonych, gdzie zmarł, będąc w trudnej sytuacji ekonomicznej w 1958 r.



Marian Dąbrowski, redaktor naczelny Koncernu Ilustrowanego Kuryera Codziennego

Fot. NAC

i Adolf Nowaczyński, do generacji średniej Stanisław Stroński, Stanisław Mackiewicz, Mieczysław Niedziałkowski, a najmłodsi, urodzeni w XX w., to Adolf Maria Bocheński i Ksawery Pruszyński. W latach 30. można mówić o wykształcaniu się gwiazd dziennikarstwa, publicystach drukujących w różnych pismach, freelancerach – taki był z pewnością Pruszyński. Osobną kategorię stanowili popularni felietoniści – Antoni Słonimski oraz Zygmunt Nowakowski. Miarą jakości dziennikarstwa i znaczenia, jakie do niego przykładano, były książki zbierające dorobek drukowany w dziennikach i czasopismach. Praktykę tego rodzaju stosowali felietoniści, ale także publicyści polityczni. Książki złożone z tekstów już opublikowanych nadawały pełniejszego wymiaru poglądom ich autorów, stawały się wydarzeniami – np. „Między Niemcami a Rosją" Adolfa M. Bocheńskiego, nawiasem mówiąc rzecz wznawiana po 1989 r.

Medialne molochy i medialni giganci – czy możemy mówić o takim zjawisku w okresie II RP?

Od lat 20. można zaobserwować proces koncentracji, powstawanie koncernów prasowych, których sukces rynkowy wynikał z popularności dziennika, który obudowywano kolejnymi tytułami. Przykładem służy krakowski „Ilustrowany Kuryer Codzienny", którego założyciel Marian Dąbrowski miał wybitny talent menedżerski. Zbudował koncern oferujący stojącą, w swojej klasie, na dobrym poziomie prasę sensacyjną. Jego największym konkurentem była warszawska tzw. prasa czerwona, które to pojęcie wzięło się nie z barwy politycznej, ale koloru winiet. Oba koncerny dominowały na rynku prasy popularnej, ale czy były gigantami? I tak, i nie. Rządziły rynkiem prasy, a ich gazety formowały świadomość sporej części społeczeństwa, trzeba jednak pamiętać, że nakłady nie były wysokie. Z różnych powodów, ekonomicznych i kulturowych, czytelnictwo prasy nie wyglądało najlepiej, choć jeśli porównać początek i koniec IIRP, można mówić o ogromnej różnicy. Wzrosły nakłady, ukazywało się więcej tytułów, a wydawcy mieli się lepiej pod względem ekonomicznym.

eprasa.pl/d736db0a63



Od jarmarku do sztuki

Polskie kino międzywojenne

Budowa państwa po 123 latach braku Polski na mapie zbiegła się ze światowym rozwojem kinematografii. Chyba nigdy w historii żadna z dziedzin sztuki (choć w swych początkach była to sztuka na poziomie jarmarcznym) nie rozwijała się tak gwałtownie jak X Muza w latach 20. i 30. poprzedniego wieku. Dość powiedzieć, że w Hollywood powstawało w tamtych czasach około 800 filmów rocznie – dziś, choć środki produkcji są znacznie łatwiej dostępne, jest realizowana ledwie połowa tego. W Polsce międzywojennej skala była oczywiście mniejsza, ale fascynacja nowym medium podobna

Gdyby wymienić najważniejsze zjawiska polskiej kinematografii tamtych czasów, to na plan pierwszy wysuwa się potraktowanie filmu jako środka do wzmacniania narodowej tożsamości. Największe produkcje okresu kina niemego (pierwsze polskie filmy dźwiękowe to początek lat 30.) to z założenia narodowe kino „ku pokrzepieniu serc". Pierwszym przebojem był „Cud nad Wisłą" w reżyserii Ryszarda Bolesławskiego zrobiony z niespotykanym jak na swój czas rozmachem i wyprodukowany w tempie niedostępnym dzisiejszym twórcom – film miał swoją premierę w marcu 1921 r., czyli siedem miesięcy po Bitwie Warszawskiej! W produkcję mocno się zaangażowało młode państwo, gdyż w realizacji scen batalistycznych wzięli udział specjalnie do tego oddelegowani żołnierze polskiej armii. Jak kraj długi i szeroki, wszyscy chcieli zobaczyć wielki triumf polskiego oręża nad bolszewikami okraszony dodatkowo ckliwą i bardzo naiwną miłosną historią. Bolesławski pokazał sprawne rzemiosło i pomysł, który sprawdza się w kinie niezmiennie. Sam po kilku latach wyjechał za ocean i stał się uznanym reżyserem w Hollywood.



Kadry z filmu „Cud nad Wisłą"

eprasa.pl/d736db0a63


Eugeniusz Bodo

Tropem umacniania narodowej tożsamości poszli inni, podejmując się bądź ekranizacji najważniejszych dzieł polskiej literatury – tu należy wymienić przede wszystkim „Pana Tadeusza" z 1928 r., czyli film zrealizowany z rozmysłem uczczenia 10 lat odzyskania niepodległości – bądź dzieła z nurtu patriotycznego. Najważniejsze z nich to „Na Sybir" i „Młody las" opowiadające o wydarzeniach z 1905 r., wskazujące głównie nie na robotniczy, lecz antyrosyjski charakter rewolucyjnych wystąpień. Innym wartym zauważenia filmem jest „Pod Twoją obronę", gdzie silny patriotyczny przekaz dodatkowo uzupełniony jest boską interwencją: cudownym ozdrowieniem głównego bohatera, sparaliżowanego pilota, po pielgrzymce na Jasną Górę. Co ciekawe, twórcy wszystkich wymienionych w tym akapicie filmów: Ryszard Ordyński („Pan Tadeusz"), Henryk Szaro („Na Sybir") i Józef Lejtes („Młody las" i „Pod Twoją obronę") byli Polakami pochodzenia żydowskiego. To z jednej strony dowód na ich asymilację, z drugiej – potwierdzenie faktu, że przedwojenna kinematografia polska wykorzystywała talenty wyrastające w różnych kręgach kulturowych. Choć nie dla wszystkich było to akceptowalne – w napisach filmu „Pod Twoją obronę" w funkcji reżyser pojawia się wyłącznie Edward Puchalski. Uznano, że informacja, iż reżyserem obrazu o tak patriotycznym i katolickim przesłaniu jest autor żydowskiego pochodzenia, może wywołać zbyt duże kontrowersje.

Wspomniany Józef Lejtes był w międzywojniu uznawany za zdecydowanie najlepszego polskiego reżysera. Możemy dziś potwierdzić tę tezę, bo sposób snucia filmowej narracji w niczym nie ustępuje czołowym twórcom światowego kina tamtego czasu. Każdy z filmów Lejtesa wyróżniał się na tle innych produkcji, gdzie dominowały banalne melodramaty i wodewilowe komedie, ambitną treścią i znakomitą realizacją. Bez trudu poruszał się między gatunkami filmowymi, tworząc kino historyczne, jak „Młody las" i „Barbarę Radziwiłłównę", oraz współczesne dramaty społeczne: „Granicę" według Zofii Nałkowskiej czy ekranizację powieści Poli Gojawiczyńskiej „Dziewczęta z Nowolipek", uważaną zresztą za najlepszy polski film międzywojenny. Lejtes również zaistniał w Hollywood, gdzie zajął się niezbyt wtedy nobilitującą reżyserią seriali.

Zyskująca ogromną popularność sztuka filmowa krzepła z każdym rokiem podobnie jak polska państwowość. U progu niepodległości sztuką nazywana jeszcze niechętnie i na wyrost, z każdym rokiem nabierała klasy. Na widzów czekały w kinach już nie tylko proste historie miłosne i niezbyt ambitne komedie, lecz także zmuszające

Międzywojenni amanci

Próżno we współczesnym polskim kinie szukać postaci, które tak porywały kobiece serca jak przedwojenni amanci. Do największych należeli z pewnością Aleksander Żabczyński znany z muzycznych komedii („Ada! To nie wypada!", „Zapomniana melodia"), Adolf Dymsza (grał w pierwszym polskim w pełni udźwiękowionym filmie, „Każdemu wolno kochać" z 1931 r.), Eugeniusz Bodo (do historii przeszedł jego wspólny z Dymszą występ w komedii „Paweł i Gaweł") czy Igo Sym, najbardziej znany nie ze swoich filmowych dokonań, ale kolaboracji z Niemcami podczas II wojny światowej, za co został stracony przez polskie podziemie. Kara, ograniczona do więzienia, nie ominęła także obsady filmu „Heimkehr" z 1941 r. Skrajnie propagandowe i antypolskie „dzieło" uzasadniało napaść na Polskę jako reakcję na gnębienie mniejszości niemieckiej przez Polaków i po dziś dzień uznawane jest za jeden z najgorszych filmów w swoim gatunku.


Kadry z filmu „Dybuk"

eprasa.pl/d736db0a63



Jadwiga Smosarska

Damy ekranu

Kanony urody zmieniają się od wieków, ale bez wątpienia dziś możemy z niekłamanym zachwytem obserwować najlepsze aktorki II RP, którym klasy i wdzięku mogłaby pozazdrościć niejedna współczesna celebrytka z wielkiego ekranu. Największą gwiazdą międzywojnia była prawdopodobnie Jadwiga Smosarska, której sławę przyniosła przede wszystkim „Niewolnica miłości" z 1923 r. Popularnością cieszyły się także Helena Grossówna (podczas wojny uczestniczyła w powstaniu warszawskim), Hanka Ordonówna (bardziej znana ze swoich występów na scenie jako tancerka i piosenkarka) czy Tola Mankiewiczówna (w pamięci widzów zapadły głównie jej występy w duecie z Aleksandrem Żabczyńskim). Ciekawym przypadkiem jest kariera Apolonii Chałupiec, która szerzej znana jest jako Pola Negri. W 1917 r. była już rozpoznawalną aktorką i wyjechała do Niemiec, a później do Stanów Zjednoczonych, gdzie zyskała status gwiazdy światowego kina.

do refleksji filmy Lejtesa oraz obrazy zyskującej z każdym rokiem na znaczeniu grupy młodych lewicujących twórców, na czele z Aleksandrem Fordem, Eugeniuszem Cękalskim i Jerzym Zarzyckim, takie jak „Strachy" i „Ludzie Wisły". Tę trójkę autorów warto wspomnieć ze względu na ich późniejsze losy. Ford spędził wojnę w Związku Sowieckim, był twórcą i szefem Wytwórni Filmowej Wojska Polskiego, dokumentując szlak I Dywizji kierowanej przez Berlinga, a od 1945 r. organizował peerelowską kinematografię. Z czasem zaczął komunistyczną władzę kontestować, w historii pozostanie nie tylko jako znakomity reżyser, lecz również ten, który zbudował podwaliny socrealizmu w polskim kinie. Cękalski przeszedł drogę odwrotną. W 1939 r. udało mu się przedostać do Francji i później Wielkiej Brytanii, gdzie przez lata kierował działem filmowym Polskiego Ośrodka Informacyjnego przy Rządzie RP na uchodźstwie. Do Polski wrócił w 1946 r. i zajął się pracą dydaktyczną i teorią kina. W swoim dorobku ma jednak wstydliwy epizod: w 1951 r. wyreżyserował hagiograficzny film dokumentalny o wszystko mówiącym tytule „Feliks Dzierżyński". Z kolei Zarzycki w 1939 r. brał udział w obronie stolicy, w trakcie powstania warszawskiego realizował kroniki powstańcze, a po zakończeniu wojny zachował – jak na panujące wtedy standardy środowiska filmowego – godną postawę i nie pozostawił po sobie równie wstydliwych, co przedwojenni koledzy, socrealistycznych pamiątek.

Wracając do przedwojennego kina, skoro z roku na rok zyskiwało na znaczeniu i popularności, to wzrastała też pozycja tych, których publiczność pokochała za ich kreacje. Aktorzy, na początku XX w. uważani w większości za niezbyt poważnych, a co za tym idzie – niezbyt poważanych komediantów, z czasem zyskali status gwiazd i ulubieńców zarówno ulicy, jak i salonów. Jadwiga Smosarska, Helena Grossówna i Elżbieta Barszczewska stały się obiektami westchnień męskiej części widowni, a Eugeniusz Bodo i Aleksander Żabczyński doprowadzali do spazmów kobiecą publiczność. Szczególną popularnością cieszyli się aktorzy komediowi: Adolf Dymsza, Antoni Ferstner i Mieczysława Ćwiklińska.

Opisując kino międzywojnia, nie sposób nie wspomnieć o zjawisku daleko wykraczającym poza granice Rzeczypospolitej i niemającym swojego odpowiednika nigdzie na świecie. Otóż równolegle do polskiego przemysłu filmowego rozwinęła się produkcja filmów w języku jidysz. Należy pamiętać, że w skali całego kraju Żydzi stanowili niemal 9 proc. ludności państwa, a patrząc na centralną część Polski, liczba ta była jeszcze większa. To przekłada się na imponującą liczbę blisko 3,5 mln obywateli, z których znacząca część nie posługiwała się językiem polskim (według spisu powszechnego z 1931 r. jidysz był językiem ojczystym dla prawie 2,5 mln polskich Żydów). I to właśnie dla nich zaczęto produkować filmy w języku, który rozumieli, i opowiadające o życiu, które znali. Najwybitniejszym z nich był wyreżyserowany przez Michała Waszyńskiego „Dybuk" z 1937 r., który ma swoje miejsce w historii kina nie tylko polskiego, lecz i światowego. Ciekawostką może być to, że „Dybuka", który był ogromnym sukcesem kasowym, wyprodukowała firma Feniks, mająca w swoim dorobku z tego samego roku „Znachora" będącego największym przebojem kasowym polskich kin w całej dekadzie lat 30. Ojcem sukcesów kina w języku jidysz był pochodzący z Łodzi Józef Green (wcześniej Grinberg), który z przeciętnego aktora stał się wybitnym producentem. Po spędzeniu kilku lat w USA wrócił do Polski i doprowadził do tego, że amerykańscy dystrybutorzy kupowali na pniu wszystkie polskie produkcje w języku jidysz, by zarabiać na seansach dla tamtejszej żydowskiej diaspory. Wyprodukowane w Polsce filmy były każdorazowo komercyjnym sukcesem w USA. Dzisiaj to chyba trudne do wyobrażenia.

Michał Muzyczuk

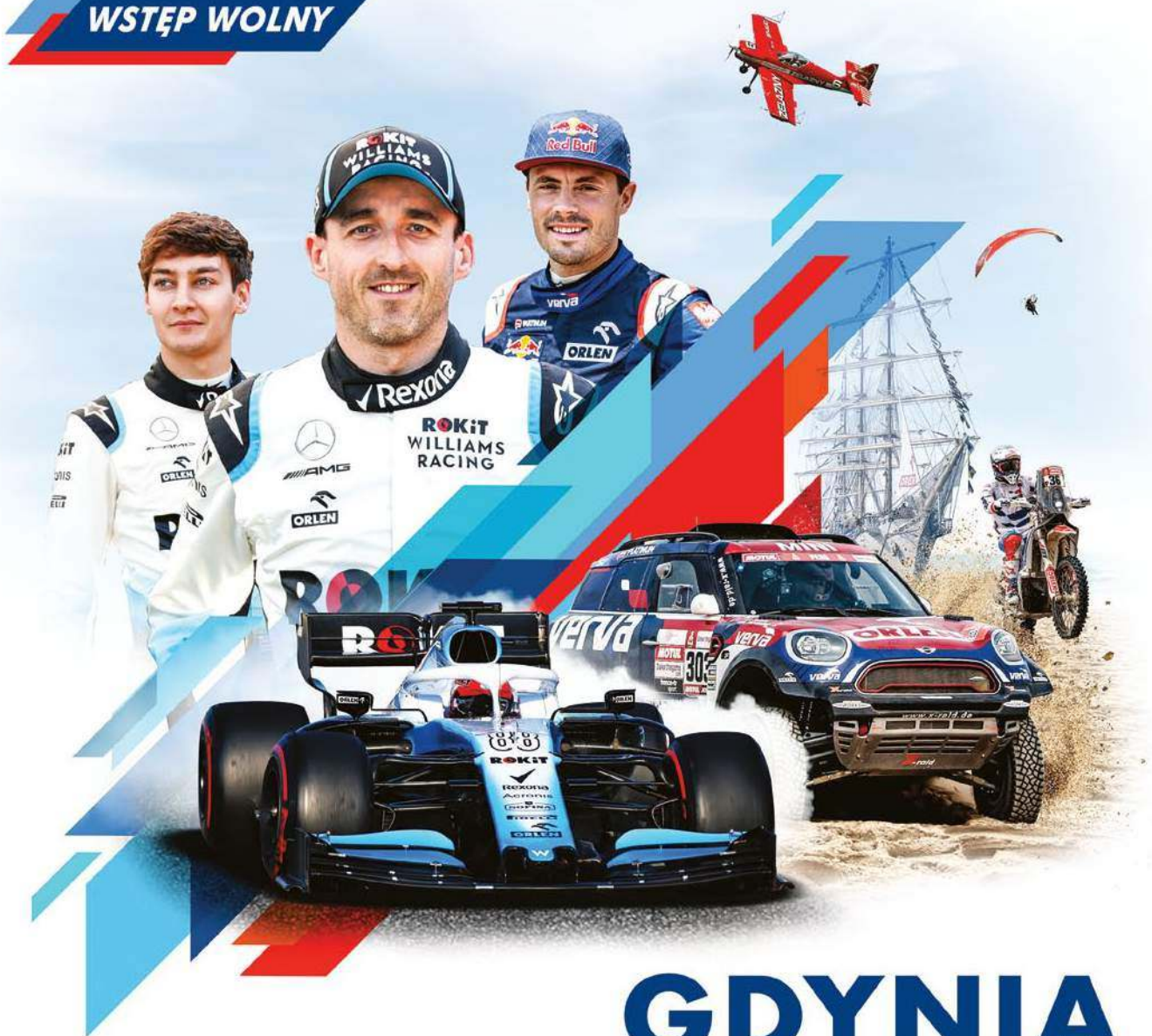
Fot. NAC x2

50/0119/F

eprasa.pl/d736db0a63

verva street racing

WSTĘP WOLNY



GDYNIA

24-25 sierpnia 2019

ORLEN

ROKiT WILLIAMS RACING OFFICIAL PARTNER

Team ORLEN

www.vervastreetracing.pl

eprasa.pl d736cb0a63



Woody Allen musi czuć podwójne rozgoryczenie. „W deszczowy dzień w Nowym Jorku" to jego najlepszy film od kilkunastu lat. Niestety za oceanem prędko się o tym nie dowiedzą. Film został odstawiony bowiem na półkę. Cenzura po amerykańsku działa w rytmie #MeToo. Dlaczego nikt nie potrafi tego zatrzymać?

Wielki powrót Woody'ego Allena „aresztowany"

Fot. Andrea Raffin / Shutterstock

eprasa.pl d736cb0a63



Fot. Amazon studios / Gravier product / EastNews



ŁUKASZ ADAMSKI

Afera #MeToo jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przypomniała aktorom grającym w filmie Allena, że jego przeszłość jest kontrowersyjna, więc część z nich zaczęła się publicznie odcinać od filmu. Przyjmując role, aktorzy nie wiedzieli przecież o głośnej sprawie oskarżeń reżysera o molestowanie, jaka wybuchła w 1992 r. W żadnym razie nie odwrócili się od Allena na fali stadnego oburzenia całego Hollywood, nieprawdaż?

Proszę wybaczyć mój sarkazm, ale oskarżenia córki Mii Farrow o to, że Allen molestował ją, gdy miała siedem lat (latach 90. organa ścigania nie dały im wiary), znało całe Hollywood. Również najwięksi aktorzy radykalnie obniżający swoje gaże, by tylko mieć w CV rolę u Allena.

Ekipa z filmu „W deszczowy dzień w Nowym Jorku" zrobiła z gażą coś innego. Zarobek za film aktorzy przeznaczyli na rzecz organizacji walczącej z molestowaniem seksualnym oraz na wspieranie środowisk LGBT (nie wiem, co mają one wspólnego ze sprawą Allena). Kasę ostentacyjnie oddali: Griffin Newman, Timothée Chalamet, Selena Gomez i Rebecca Hall.

W obronę Allena wziął jedynie Jude Law, który blokadę filmu nazwał „okropnym wstydem". „Marzę, by film zobaczyć. Wielu ludzi włożyło w niego ogromną pracę" – mówił w „New York Timesie".

POLACY OBEJRZĄ, AMERYKANIE NIE

Film ma światową premierę w Europie. Polska jest jednym z pierwszych krajów pokazujących go widzom. To samo robią m.in. Włosi, Francuzi, Niemcy i Hiszpanie. Obraz będzie również prezentowany w Ameryce Południowej i Azji.

Woody Allen pozwał Amazona na kwotę 68 mln dol. i ostatecznie odzyskał prawo do tytułu w maju tego roku. Trudno jednak wierzyć, że znajdzie on dystrybutora w czasie istnienia nowej wersji „czarnej listy Hollywood", na którą trafia każdy filmowiec oskarżony (nieskazany wyrokiem niezawisłego sądu) o molestowanie. Szkoda, bo czterokrotny zdobywca Oscara nakręcił najlepszy film od czasu „Vicky Cristina Barcelona" (2008).

83-letni Allen w wywiadach podkreśla, że musi kręcić co roku jeden film, by nie umrzeć.

Zawsze należałem do miłośników jego twórczości. Ostatnie cztery filmy i miniserial dla Amazona „Crisis in Six Scenes" mocno jednak krytykowałem. Allen popadł w nieznośny, pozbawiony dawnej ironii i błysku, pesymizm. Na dodatek sam siebie cytował, co dla każdego reżysera powinno być dobitnym dowodem na potrzebę zakończenia kariery. Zabawa z przeniesieniem się z ukochanego Manhattanu do Europy również się wypaliła. Poza smakowitym igraniem z „Tramwajem zwanym pożądaniem" Tennessee Williamsa w „Blue Jasmine" (2013) Allen zdawał się coraz mocniej zmęczony i zgorzkniały. Nie udał mu się nawet powrót na nowojorskie Coney Island („Na karuzeli życia" z 2017 r.), gdzie spędzał letnią część roku w dzieciństwie.

Jednak Manhattan dla reżysera takich arcydzieł jak „Annie Hall" (1977) czy nomen omen „Manhattan" (1979) okazał się łaskawy. Pełen uroku „W deszczowy dzień w Nowym Jorku" to powrót do kina Allena z lat 80., gdy powstały tak sentymentalne i pełne

eprasa.pl d736cb0a63

miłości do swojego miasta filmy jak „Danny Rose z Broadwayu" czy „Złote czasy radia".

GDZIE SPEŁNIAJĄ SIĘ MARZENIA

Tym razem allenowskiego neurotyka gra wschodząca gwiazda Timothée Chalamet. Gatsby to studencka wersja postaci, którą Woody Allen grał regularnie do 2006 r. (nie liczę kilku epizodów oraz nieudanej próby powrotu do aktorstwa w katastrofalnym miniserialu dla Amazona). Żydowski intelektualista z Manhattanu z problemami sercowymi, gardzący napuszonymi intelektualistami i uniwersyteckim wykształceniem aspergerowiec oto (Woody) Gatsby. Pochodzi z bogatej nowojorskiej rodziny, ale bunt pcha go na małą uczelnię na północ stanu Nowy Jork. Tam poznaje głupiutką, ale jeszcze bogatszą od jego rodziców, Ashleigh (Elle Fanning) z Arizony.

Para zupełnie niedobranych studentów (nerd-intelektualista zarabiający na pokerze i rozpieszczona miss liceum z ambicjami dziennikarskimi) planuje weekend na Manhattanie. Ona przy okazji zamierza zrobić wywiad ze zblazowanym reżyserem kina artystycznego (świetny i jakże inny niż w „Ray Donovan" Liev Schreiber!), którego za namową Gatsby'ego porównuje do mistrza włoskiego neorealizmu De Sici. Przypada do gustu filmowcowi i w ciągu kilku godzin trafia na filmowe salony Nowego Jorku, gdzie poznaje śmietankę towarzystwa. Tymczasem czekający na ukochaną (?) Gatsby odwiedza stare śmieci i natyka się na siostrę (Selena Gomez) swojej szkolnej miłości. Odrzucony Nowy Jork zaczyna go ponownie przyciągnąć swoim magnetyzmem, podczas gdy Ashleigh poznaje wszystkie pokusy blichtru i sławy.

Nie jest Allen szyderczy wobec Hollywood jak w czasach „Celebrity" . Unika osobistych tonów z „Koniec z Hollywood" (2002), choć zidiociali i żenujący filmowcy grani przez Jude'a Lawa i Diego Lunę mogliby się pojawić w obu filmach. Szpilki w snobizm nowojorskich elit i kilka słodko-gorzkich powiedzonek („Czas leci tanimi liniami lotniczymi") przypominają najlepsze czasy nowojorskiego mizantropa.

Ma w sobie ten film smutną refleksję o zderzeniu realizmu z romantyzmem. Mający nazwisko romantyka z powieści F. Scotta Fitzgeralda, rozkochany w graniu jazzu na pianinach podrzędnych klubów, student staje w końcu przed potrzebą wyboru między stworzoną przez siebie bajką a realizmem apartamentu rodziców z centrum TEGO miasta.

„W deszczowy dzień w Nowym Jorku" jest też kolejną wersją Allenowskiej opowieści o Nowym Jorku. Mieście nieodłącznym od paranoi i fobii. Mieście skąpanym w deszczu, który podkręca romantyzm karocy i łódki w Central Parku. Allen ucieka od nihilizmu i beznadziei bijącej z jego ostatnich produkcji, ale kończy też na tej samej karocy romantyczną sielankę.

Woody Allen zapowiedział, że nigdy nie przestanie kręcić filmów i prawdopodobnie umrze na planie. Cieszę się, że jest w nim jeszcze iskierka melancholii i nadziei. Ciekawe, czy zachowa ją w kolejnej produkcji, którą wraz z europejskimi aktorami (w tym z dwukrotnym zdobywcą Oscara za role w filmach Tarantino Christophem Waltzem) mającymi w głębokim poważaniu histerię związaną z #MeToo kręci właśnie w Hiszpanii. Czy bez Nowego Jorku zachowa zaraźliwy sentymentalizm?

CO PO UNIEWINNIENIU KEVINA SPACEYA?

W kontekście afery #MeToo należy zadać jeszcze inne pytanie. Mimo że prokuratura, długo badając doniesienia córki Mii Farrow tuż po burzliwym rozwodzie słynnej pary filmowej, nie postawiła Allenowi zarzutów, kolejne medialne wynurzenia Dylan w apogeum afery seksualnej w Hollywood podcięły wybitnemu filmowcowi skrzydła. Zablokowanie filmu przez Amazona było bezprecedensową akcją, choć wpisywało się w to, co zrobiono z Kevinem Spaceyem, którego bez żadnego wyroku sądowego wyrzucono z obsady „House of Cards" i wycięto z gotowego filmu „Wszystkie pieniądze świata" na kilka tygodni przed premierą (dokręcono zdjęcia z innym aktorem).

Z amerykańskiej Akademii Filmowej wyrzucono Romana Polańskiego, choć te same środowiska przyznały mu kilkanaście lat wcześniej Oscara, mimo powszechnej wiedzy o trwających ponad 40 lat problemach z prawem polskiego reżysera. Najnowszy film Polańskiego „Oficer i szpieg", podobnie jak nowy film Allena, nie może znaleźć w USA dystrybutora.

Kilka dni temu prokuratura wycofała zarzuty o molestowanie 18-letniego barmana przez Spaceya. Wyrzucony z Hollywood dwukrotny zdobywca Oscara został uniewinniony, bo pokrzywdzony zrezygnował ze składania zeznań. Czy teraz ponownie go wklejają do filmów, z których w stalinowski sposób wymazano go gumką?



Fot. Amazon studios / Gravier product / EastNews

eprasa.pl d736cb0a63



Fot. Ireneusz Sobieszczuk

Sezon nie tylko w koronie

Lato to gorący czas na filmowych planach. Można wyjść w plener. Czasem także wprost do widzów. Tak zrobiła ekipa „Korony królów", której aktorzy, oblegani przez współcześnie odzianą tłuszczę, w monarszym orszaku wjechali do zamku w Malborku

Przy bezchmurnym niebie, w ponad 30-stopniowym upale, pojawili się ubrani, jak przystało na królewski dwór. Okazale, godnie i od stóp do głów. Niekiedy, jak w przypadku serialowego Olgierda, wielkiego księcia litewskiego i ojca Jogaiły, oznaczło to: skórzane buty z wysoką cholewą, grubo tkane spodnie i tunikę, na to płaszcz, narzutka i futro na ramionach. Grający Olgierda Wojciech Żołądkowicz dzielnie znosił reprezentacyjne obowiązki. Cóż, praktyka. W końcu jest związany z „Koroną królów" od pierwszego dnia zdjęciowego. – Nie tak często jak inni koledzy, ale co jakiś czas się pojawiam – komentuje.

W realizowanym właśnie trzecim sezonie jego bohater co prawda przekaże Wielkie Księstwo Litewskie swojemu synowi Jogaile (znanemu później jako Władysław Jagiełło), a poddani pożegnają go we wzruszającej uroczystości pogrzebowej, jednak aktor nie rozstanie się z serialem. Jako prowadzący program „»Korona królów«. Taka historia" będzie się spotykał z widzami co piątek.

NOWE ROZDANIE

Z szacunku do widzów – którzy podczas organizowanej już po raz 20. imprezy „Oblężenie Malborka" (nawiązującej do

eprasa.pl d736cb0a63



Fot. Jolanta Gajda-Zadworna

wydarzeń z 1410 r.) tłoczyli się, by m.in. zdobyć autograf – aktorzy trwali w swoich strojach. Dla większości z nich było to pierwsze spotkanie z fanami serialu.

Z wcześniejszych sezonów – poza odtwórcą Olgierda – pozostali: Jakub Mazurek (Kiejstut, „trudna miłość braterska z Olgierdem", ojciec Witolda i stryj Jagiełły) oraz Kamil Siegmunt jako Ludwik Andegaweński, król Węgier i (przez 12 lat) także król Polski, ojciec Jadwigi. W jego żonę Elżbietę Bośniaczkę, matkę Katarzyny, Marii i Jadwigi, wciela się Małgorzata Buczkowska.

Do poprzednich sezonów nawiązuje Aleksander Kaleta jako Spytek, wnuk Spycimira (którego grał Sławomir Orzechowski) oraz syn Jana z Melsztyna (w tej roli występował Marcin Rogacewicz).

CZAS JOGAIŁY

By zachować różnicę wynikającą z mowy, akcentu, obsadę nowego sezonu zasilili aktorzy pochodzenia ukraińskiego. Najważniejszym z nich jest urodzony we Lwowie Vasyl Vasylyk. Od czerwca (zdjęcia trwają) wciela się w Jogaiłę (który po przyjęciu chrztu zostaje królem Władysławem Jagiełłą), założyciela dynastii Jagiellonów, męża Jadwigi Andegaweńskiej.

– Co najbardziej podoba mi się w tym bohaterze? To, że był człowiekiem, a nie tylko ważnym władcą. Był skromny, miał wątpliwości. Był też mądry i silny. Wiele osiągnął jako król, ale nie był krystaliczny – podkreśla Vasylyk.

Żołądkowicz dodaje: – Wielka charyzma, mądrość i rozwinięty zmysł strategiczny, o czym świadczy już pierwsze spotkanie z wysłannikami polskiego dworu. Nim zasiadł na tronie, jego przeciwnicy mówili: to dziki Litwin, cały owłosiony jak niedźwiedź. Kiedy więc na Litwę przyjechał poseł, Jogaiła przyjął go w... łaźni (ponoć kąpał się co najmniej raz dziennie), zrzucił przed wysłannikiem ubranie, pokazując, że jest normalnym mężczyzną.

– To był mądry facet. Umiał rozegrać nie tylko tę kwestię, mając oczywiście świadomość, jak wielką szansą dla niego jest objęcie tronu Polski – sumuje Żołądkowicz.

POZOSTALI W GRZE

Twardą polityczną grę (żonglując relacjami litewsko-krzyżackimi) prowadził z Jagiełłą jego stryjeczny brat, wielki książę litewski Witold. Gra go urodzony w Kijowie Ihor Aronov. W Wojdyłłę – bojara litewskiego, zaufanego człowieka króla, a później jego szwagra – wciela się Andrey Zhurawski.

W najbliższym otoczeniu władcy są też: wspomniany Spytek (Aleksander Kaleta), wytrawny polityk, w młodym wieku obsadzony na urzędzie wojewody krakowskiego, oraz brat Jogajły Skirgiełło (w tej roli Antoni Sałaj), utracjusz i hulaka, ale też zdolny cyrulik, który – jak pisano – po pijaku bił, na trzeźwo leczył pobitego.

SIŁA JADWIGI

Jednak kluczową rolę w tej części historii odgrywa władca, od którego Jagiełło przejął koronę. To Jadwiga Andegaweńska, wnuczka Elżbiety Łokietkówny, jedyna kobieta, która została królem Polski. Koronowana jako 10-latka. Ślub z Jagiełłą wzięła, mając lat 12 lat.

– W czasach, gdy od białogłowy oczekiwano uległości, była silna i asertywna. Umiała postawić na swoim i nie pozostawała dłużna mężowi w słownych potyczkach – charakteryzuje swoją bohaterkę

eprasa.pl d736cb0a63



Fot. Jolanta Gajda-Zadworna

Dagmara Bryzek, studentka drugiego roku krakowskiej Akademii Teatralnej (ale też tancerka klasy A).

O wyglądzie serialowej Jadwigi mówi: – Mam mniej niż przypisywane jej ok. 180 cm, więc męczę się na obcasach. Poza tym źródła historyczne opisują ją jako blondynkę, jednak to wizja Matejki, który przedstawił ją jako brunetkę, utrwaliła się w świadomości.

Jako czteroletnie dziecko Jadwiga zostaje wysłana do Wiednia, by poznać narzeczonego Wilhelma Habsburga. Zerwane zaręczyny skutkują pomówieniami z jego strony.

– Wielka niespełniona miłość i przerwana gwałtownie przyjaźń, jednak Wilhelm to nie do końca Romeo swojej epoki – komentuje grający Habsburga Kacper Gaduła-Zawratyński. – Kiedy został odrzucony przez polskich panów, zaczął rozsiewać okrutne plotki. O Jadwidze, Jagielle, polskim dworze. Przeciągnął na swoją stronę wiele znaczących w Europie postaci.

NA ZAMEK W ORSZAKU

Wilhelm Habsburg był skonfliktowany z Polakami, ale nie podczas uroczystego przejazdu w Malborku. Tu zasiadł zgodnie, także obok serialowych Litwinów, wśród których pojawiła się Ragana, fikcyjna postać grana przez wokalistkę i aktorkę Natalię Lesz.

Pytani, jak wygląda Malbork z królewskiego powozu, aktorzy zgodnie podkreślali wyjątkową perspektywę.

– Jako dziecko odbierałem ten zamek jako ogromny i przytłaczający. Dziś, wjeżdżając w królewskim orszaku, poczułem się jak jego zdobywca – sumuje wrażenia ekipy serialowy Spytek.

Aktorzy „Korony królów", zapowiadając wrześniową premierę trzeciego sezonu (oczywiście w TVP 1), nie bez powodu zagościli w Malborku. Przewodnicy po twierdzy nierzadko słyszą pytanie, gdzie kręcone były sceny do serialu. I rzeczywiście warownia „grała" w poprzednich sezonach m.in. zamek wyszehradzki podczas dwóch królewskich zjazdów. Jej wnętrza służyły też jako scenografia do wątku krzyżackiego. Obecna ekipa serialowych zdjęć w Malborku jeszcze nie miała, ale i tak pełno tu filmowych śladów.

ŚLADAMI BOHATERÓW

Poszukiwania obiektów z ulubionych produkcji to coraz częstszy sposób na urozmaicenie wakacyjnego czasu. Uważni widzowie są w stanie wytropić ekranowe miejsca. Na przykład z planu „Leśniczówki", gdzie powstają zdjęcia do kolejnego sezonu.

Pojawią się w nim nowe wątki, m.in. z Marcinem Trońskim i Ewą Szykulską, jednak najważniejsze pozostaną perypetie rodziny Majewskich – z Kasią Ruszczyc (Jolanta Fraszyńska) na czele – w kontrze do złych Karczów, którzy ze swojego „zamku" próbują wprowadzać nowy porządek świata do harmonijnego lasu.

Widzowie polubili „Leśniczówkę". Także dlatego, że dzięki niej mają szansę wyjść z miasta. W ciągu tygodnia oglądają las na ekranie, a w weekend mogą sprawdzić, jak taka leśna rzeczywistość wygląda.

W Polsce jest kilka miejscowości o nazwie Leśniczówka, ale dom Antoniego, do którego sprowadziła się Kasia z rodziną, istnieje nieopodal Warszawy, w... Zalesiu Górnym. Z kolei obiekt, który filmowany od frontu gra miejsce pracy leśniczego, a zdjęcia kręcone na jego tyłach pokazują dom lekarek Ździebłowskich, to okolice Magdalenki. Serialową rezydencję Karczów odnaleźć można w Piasecznie. Urząd pocztowy, komenda policji czy firma Piotra powstały na hali, ale jak najbardziej prawdziwy jest las. To Chojnowski Park Narodowy.

NASTĘPNA BLONDYNKA

W pięknych okolicznościach przyrody, z dala od aglomeracji, w niewielkiej społeczności kręci się też akcja ósmego sezonu „Blondynki". W tytułowej roli występuje w nim czwarta (!) już odtwórczyni tytułowej roli. Następczynią Julii Pietruchy, Joanny Moro i Natalii Rybickiej została Marta Żmuda-Trzebiatowska.

Bez zmian w głównej obsadzie powstają za to zdjęcia w najgłośniejszej serialowej produkcji tego lata, czyli „Królu", na podstawie bestsellera Szczepana Twardocha. Reżyseruje Jan P. Matuszyński. Jakuba Szapiro, boksera i członka gangu, gra Michał Żurawski, obok m.in.: Arkadiusza Jakubika, Borysa Szyca i Magdaleny Boczarskiej.

Dla stacji Canal+ powstaje również serialowa wersja współczesnej książki Wojciecha Chmielarza „Żmijowisko". Tu reżyserem jest Łukasz Palkowski; autorem zdjęć – Michał Sobociński, a w obsadzie m.in.: Paweł Domagała, Agnieszka Żulewska, Cezary Pazura, Piotr Stramowski i Wojciech Zieliński.

Spore oczekiwania budzą też zdjęcia do wojennennego serialu TVP „Ludzie i bogowie", historii oddziału likwidacyjnego kontrwywiadu AK w reż. Bodo Koxa, ze zdjęciami Arkadiusza Tomiaka. Poza Marianną Zydek, Anną Karczmarczyk i Tomaszem Schuchardtem na ekranie pojawią się nieopatrzone twarze. Mają szansę zaistnieć w 2020 r., ma kiedy zapowiadana jest premiera.

Jolanta Gajda-Zadworna

eprasa.pl d736cb0a63

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

„Utoya” – niewykorzystana szansa

Byłem ciekaw filmu „Utoya, 22 lipca” Erika Poppe, sprzed roku. Zaczął go właśnie pokazywać Canal+. To jedna z bardziej sugestywnych tragedii, jakie przytrafiły się Europie w ostatnich latach. Aż się prosi o próbę oddania jej natury przez kino. I warto popróbować kina pięciomilionowej, chłodnej Norwegii.

Kojarzyłem jego najnowsze wcielenie przede wszystkim z serialem „Okupowani” (koprodukcja ze Szwecją). To adaptacja political fiction znanego norweskiego pisarza Jo Nesbø, może nie porywająca, ale solidna, a niepoprawna, bo bije w Rosję. Ale zerknąłem niedawno na „Quake. Trzęsienie ziemi” Jona Andreasa Andersena, film mający przerazić Norwegów wizją kataklizmu zagrażającego ich krajowi. Niestety – był słabszy od amerykańskich katastroficznych obrazków, gdyż zagrożony świat imituje jedna ulica, bo nie ma więcej środków, a choć nasuwa się pokusa pokazania w takiej sytuacji małej grupki bohaterów w niebezpieczeństwie, nie umie się ich wykreować, za to zanudza się widza pseudonaukowymi wywodami pełnymi wykresów i ekranów. Ja je nazywam produkcyjniakami. Więc Andersen wykreował produkcyjniak idealny – z długą introdukcją dydaktyczną o naukowcu, który przestrzega przed zagrożeniem. Pieniędzy nie było wiele, więc gdy się zatrzęsło, miał wystarczyć jeden walący się stopniowo biurowiec. Nie wystarczył.

Czyżby byli specami od zanudzania? „Utoya” musi być inna, bo na faktach. Zastanawiałem się po filmie, co autorzy chcieli przekazać. Breivik pojawia się raz z daleka. Jedną z możliwych wersji był zbiorowy portret zaatakowanej młodzieży. Jakieś tropy są – na początku filmu. Chłopak mówi, że przyjechał na ten obóz, socjaldemokratycznej młodzieżówki, podrywać dziewczyny. Ofiary nie były więc typowymi aktywistami, na pewno nie wszystkie. Odbywa się też dyskusja polityczna. Główna bohaterka przemawia komunałami (choć może twórcy tak ich nie odbierają). Charakterystyczna jest jej reakcja na wieść o pierwszym zamachu – w Oslo. Dba przede wszystkim o przekonanie arabskiego kolegi, że nikt nie podejrzewa Al-Kaidy. Jest w tym pewnie prawda o realiach.

Ale od chwili, kiedy padają strzały, przestajemy się dowiadywać czegokolwiek. To ma być fabularyzowany dokument, choć z fikcyjnymi bohaterami. Więc żadnego tam biegania z kamerami za tym, co efektowne, filmowe. Żadnych wielu planów, zaskakujących sytuacji. Prawie nieruchomy obraz twarzy tej jednej dziewczyny ma nam przeważnie wystarczyć. Słuchamy, jak wykonuje telefony, jak pociesza umierającą. Nie szydzę z tego, Norwegom musi się ściskać serce i mnie ściska się także. Co nie zmienia tego, że film staje się monotonny, wręcz drażniący. Chcielibyśmy się dowiedzieć, co dzieje się za skałą, kiedy główna postać się ukrywa. Nie.

To celowy zabieg. Ta jedna bohaterka ma być symbolem wszystkich, film – ascetycznym hołdem. Taką masakrę można pokazać całkiem inaczej, wręcz poetycko, co nie oznacza braku empatii dla zabijanych. Przeciwnie. Dowiódł tego Gus Van Sant w genialnym „Słoniu”. Tu żadnej poezji nie ma. Ma być surowa, przekazana nieatrakcyjnie prawda. A ja mam przewrotną myśl, że skoro było 69 ofiar, może tym innym dzieciakom też się należała odrobina uwagi kamery. To raczej odczucie niż precyzyjna myśl. Bo groza takiej okrutnej, pozbawionej sensu śmierci wyziera już z początkowych napisów informujących o tym, co się zdarzyło. Zawsze. Ale po coś dokręca się do nich film.



Piotr Zaremba



Wojciech ***Stanisławski***

Piwem i mieczem

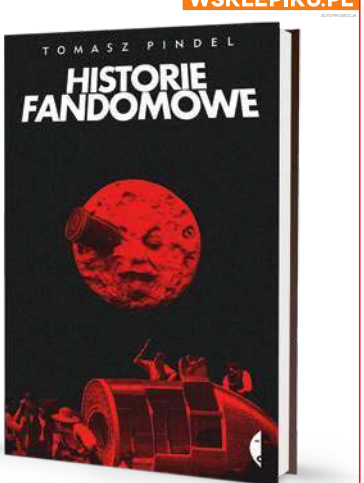
Narodziny współczesnej polskiej fantastyki naukowej, rozumianej jako pasja łącząca pisarzy i czytelników, opisane zostały jako wielka wspólna przygoda

Czasami zdarza się przejedzenie Wielką Historią, syntezami, które niemal nic nie pozostawiają domysłom. Jeśli ktoś doświadczył takiego znużenia, a nadal ciekaw jest biegu dziejów, warto, by sięgnął po pracę opisującą wybrany, możliwie wąski wycinek spraw tego świata. Czasem podobny zapis przybiera postać tak groteskową jak „Tryumfalny pochód pompy ssąco-tłoczącej w instalacjach użytkowych" (tytuł istniejący na szczęście tylko w opowiadaniu Mrożka), czasem tak mrówczą jak dokonania kolejnych pokoleń wychowanków „Annales", którzy przekopią się przez milion źródeł i pracowicie zestawią nam historię łyżki, łzy lub milczenia. Czasem zaś trafi się taka perełka jak „Historie fandomowe" Tomasza Pindela. Na pozór to reportaż historyczny, traktujący o dziejach fandomu, czyli ruchu miłośników fantastyki w Polsce, w rzeczywistości zaś fantastyczny, nomen omen, skrót ostatniego półwiecza. Fantastyczny właśnie przez to, że napisany z perspektywy, w której zwroty akcji wyznaczają nie KOR, stan wojenny, „okrągły stół" czy „lewy czerwcowy", lecz pierwsze polskie wydania Asimova czy Aldissa, wędrówka Wiedźmina do nieśmiertelnej sławy oraz rewie i przemarsze cosplayerów.

Pewnie przesadzam – jednym z uroków „Historii fandomowych" jest to, że ciągnąć do nich może zwierzyna czytelnicza z różnych stron. Nie mniej niż historyk schyłku komunizmu ucieszy się z tej lektury socjolog obserwujący fenomen samoorganizacji w PRL. Badacze literatury i pospolici wielbiciele anegdot skrzętnie gromadzić będą opowieści o tym, kto kim cisnął w krzaki na kolejnym zlocie i jak Lem traktował admiratorów swoich książek. Ludzie w wieku lekkopółśrednim i starszym bezboleśnie przyswoją tuzin nieznanych im dotąd terminów i zachowań. Wszystkich zaś oprószy złoty pył tęsknoty, bo mimo dynamiki ostatniego rozdziału, opisującego, jak jeden fandom rozrósł się w różne fandomy, jest to przede wszystkim opowieść o trzech ostatnich dekadach XX w.

To czas założycielski, czas Drużyny Pierścienia, a takie zawsze wspomina się najmocniej: w opowieści Tomasza Pindela, wielkodusznie wolnej od uszczypliwości, których można by się obawiać w czasach buzujących emocji politycznych, przy jednym (metaforycznym) ogniu grzeją się Andrzej Sapkowski, Rafał Ziemkiewicz i Jacek Dukaj, wszyscy rwący się do polemiki z Maciejem Parowskim, dla którego „Historie fandomowe" stały się epitafium. Pindel przyjął w naturalny sposób perspektywę kronikarza, który nie czuje się wielbicielem fantastyki jako takiej ani węższego kręgu wtajemniczonych twórców fandomu, ale opisuje tę formację, dając jej kredyt zaufania i życzliwości. Nieczęsto zdarza się czytać tak nieuprzedzoną relację.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL



Tomasz Pindel, „Historie fandomowe", Wydawnictwo Czarne, 2019

Nie znaczy to, że mniej dociekliwą. Na kartkach „Historii fandomowych" znalazły się narodziny pierwszych klubów wielbicieli fantastyki, działających w latach 70. trochę na wariackich papierach, trochę pod papierowym patronatem ZSMP... Relacji między fantastyką a polityką jest zresztą opisanych znacznie więcej, począwszy od roli, jaką odegrała szkoła Janusza Zajdla, uprawiająca „przemytnictwo ideologiczne", ezopowym językiem opisująca dystopie totalizmu, aż po typową dla PRL grę o obsadzenie właściwymi ludźmi redakcji „Fantastyki" w pierwszych miesiącach stanu wojennego i odwieczne pytanie o to, czy jakiś ruch społeczny odgrywa rolę wentylu, czy służy mobilizacji społecznej. Podobne pytania co Pindel zadają sobie przecież od lat historycy muzyki rockowej w PRL, która w latach 80. też

eprasa.pl d736cb0a63

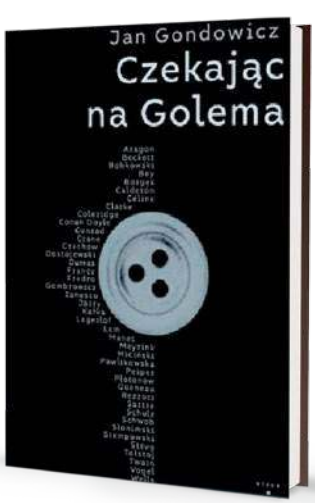
przeżyła swój rozkwit, stworzyła trzeci obieg i mobilizowała nastolatków, a jednocześnie jej gwiazdy – podobnie jak młodzi twórcy fantastyki – angażowały się w działania stricte opozycyjne na zaskakująco małą skalę, nawet jeśli z perspektywy czasu heroizują swoją przeszłość.

Wracam jednak do myśli, że „Historie fandomowe", przy całej swej wielowarstwowości, stanowić będą przede wszystkim kultową pozycję biblioteki nostalgika, kompletowanej w poprzek podziałów politycznych i serii wydawniczych. „Prawda jest taka, że przydarzyła nam się wielka przygoda" – podsumował doświadczenie polskiego fandomu Maciej Parowski w zdaniu, które stanowi motto tej książki, a które brzmi niemal dokładnie jak bardziej znane i ucukrowane „Ale nam się przydarzyło". Tak, to była wielka przygoda, która połączyła wszystkich pamiętających pierwszy numer „Fantastyki" z października 1982: „Na okładce w dumnej pozie stoi kobieta, jakaś wojowniczka, ale najwyraźniej z wyższych sfer. Ma rozwiane blond włosy, na czole wysadzany rubinami diadem, na biodrach pas, nawet dwa, przy jednym wisi miecz. Poza tym ubrana jest nadzwyczaj skąpo: raptem fioletowy płaszcz spięty klamrą". Tak to właśnie było, yesterday, w epoce niemal tak odległej jak „Podróż na Księżyc" Méliès, celnie przywołana na okładce.

Igła, z której została sama ostrość

Kotu wolno patrzeć na Króla, wiadomo – ale co mu z tego przyjdzie, co zdoła usłyszeć prócz szelestu jedwabiów, co zaś zrozumieć? Z władzami poznawczymi innej zwierzyny bywa zresztą nie inaczej. „Gdybym miał przedstawić, czym jest dla mnie świat, / wziąłbym chomika albo jeża, albo kreta, / posadziłbym go na fotelu wieczorem w teatrze / i przytykając ucho do mokrego pyszczka, / słuchałbym, co mówi o świetle reflektorów / o dźwiękach muzyki i ruchach baletu". Świadom tych ograniczeń, nieraz nie piszę ani słowa o książkach napisanych z niewiarygodną wprost wirtuozerią, tym bardziej jeśli traktują o kwestiach nie dla wszystkich jednakowo zajmujących. Bo chociaż sięga się w Polsce po Schulza i Conrada, ciesząc się frazą, idąc w trop za prawdami szlachetnymi i zżółkłymi niczym kościana figurka, to niekoniecznie każdy ciekaw jest filiacji, rodowodów i zapożyczeń, gry toczonej między trzema pokoleniami pisarzy polskiego i europejskiego modernizmu.

Jest jednak ktoś, kto dokonuje w tej dziedzinie rzeczy tak nieprawdopodobnych, że jego dokonania śledzi się z podziwem, nawet jeśli ruchy jego rąk bądź zwroty myśli są zbyt szybkie, by za nimi nadążyć. Ten ktoś, za nic mając aparat „literaturoznawców" (choć posiadłszy całą ich wiedzę), z rzadka jedynie i dla wicu sadząc pojedynczy, pełen dezynwoltury przypis, porusza się w materii nader niepochwytnej, tropiąc nieznane dotąd inspiracje i odbicia, odkrywając, jaka książka dzieciństwa, poemacik lub nowelka zapomnianego dziś pisarza musiała pojawić się w polu widzenia nastoletniego Stasia Witkiewicza lub Stanisława Lema, by odezwać się echem w tytule lub twiście fabuły ćwierć wieku później. Poprawiając niewidoczny monokl, krąży on między antykwarnią, czytelnią British Museum a główną stroną Google'a, to dociekając rzeczy tak niepochwytnych, jak tytuły wchodzące w skład wywiezionego z dworku i marniejącego w warszawskiej kamienicy księgozbioru rodziny Gombrowiczów, to samemu wchodząc od niechcenia w przestrzeń obrazu – ot, „Olimpii" Maneta – by w trzech świetnych akapitach wyjaśnić nam dzieje motywu, posmak skandalu i rzeczywisty, umykający nam dotąd, sens przedstawionej sceny.



Jan Gondowicz, „Czekając na Golema", Wydawnictwo Nisza, 2019

Zacznie zdaniem, które bez ujmy chodzić może za aforyzm („Najsławniejsza opowieść o mobbingu to, rzecz jasna, »Kopciuszek«"), tuzinem podobnych aforyzmów sypnie z gestem tak pańskim, że próżno go szukać u dzisiejszych żałosnych miliarderów, wytnie szczutka redaktorom renomowanej oficyny, którzy przed laty ośmielili się przekręcić w przypisie nazwisko Augusta Wilkońskiego, bez wysiłku, niczym przechodzimur zanurkuje pod powierzchnię tekstu, by znaleźć tam „coś, co daje o sobie znać półsłówkami, przemilczeniami, przesunięciami znaczeń, uskokami sensu" – po czym zakończy puentą morderczą jak kula, a z satysfakcją tak wirtuozerską i chłopacką zarazem, jakby odgryzał nitkę dopiero co przyszytego, wyjątkowo opornego snadź guzika z trzema dziurkami. „Woli raczej, aby myślano, że się pomylił, niż gdyby miał się trudzić nad wykazaniem słuszności swych poglądów" – ta wyszukana przezeń opinia Sherlocka Holmesa o starszym bracie detektywa, Mycrofcie, i jego zdaje się określać.

Tak, oczywiście domyślili się już państwo: to Jan Gondowicz, bez którego polski esej wyglądałby inaczej. Po pięciu latach wreszcie ukazała się jego kolejna książka: nuże do księgarń.

eprasa.pl d736cb0a63

Adamski



Chłopięca radość z kina

„Witajcie w Marwen” został bardzo surowo potraktowany przez krytyków filmowych. W Polsce film masakrowano z siłą piły Letherface’a. Robert Zemeckis, filmowiec, bez którego nie byłoby blockbusterowej rewolucji lat 80., od dłuższego czasu nie może liczyć na przychylność krytyków (wyjątkiem „Lot” z 2012 r.), czego nie do końca rozumiem. Zemeckis jest tym samym Zemeckisem z czasów „Powrotu do przyszłości”, „Kto wrobił królika Rogera” oraz „Miłości i szmaragdu”. To ten sam świetny rzemieślnik snujący może i powierzchowne, ale podnoszące na duchu opowieści.

Najważniejszy obok Spielberga i Lucasa reżyser przygodowego kina „ejtisów” niezmiennie fascynuje się prostymi, ckliwymi i przepełnionymi amerykańskim optymizmem historiami. Kino Zemeckisa to białe płoty, przystrzyżone trawniki i szlachetny bohater trafiający na złych ludzi. I metafory na poziomie „życia jako pudełka czekoladek, w którym nie wiadomo, na co się trafi”. Lubię ten Zemeckisowski anachroniczny optymizm. Zarówno w opowieści o uroczym prostaczku Forreście Gumpie, podróżującymi w czasie nastolatku i szalonym profesorze, jak i w Marku Hogancampie z miasteczka Marwen.

Mark (Steve Carell) jest artystą samotnie zamieszkującym dom w miasteczku na północy stanu Nowy Jork. Zbudował w ogrodzie belgijską mieścinę Marwen, w której toczy się wojna między nazistami a otoczonym pięknymi kobietami kapitanem Hogiem. Mark z pietyzmem stworzył mikrokosmos dla swoich lalkowych bohaterów. Fotografuje ich w kolejnych prowadzonych przez siebie wymyślnych akcjach. Kilka lat wcześniej został brutalnie pobity przez grupę bandziorów. Stracił pamięć i odwagę prowadzenia normalnego życia. Świat kukiełek jest jego schronem, ucieczką i jedyną możliwością przetrwania z dala od zła.



VOD/DVD

Zemeckis uwielbia nowatorskie efekty specjalne wyznaczające trendy w kinie. Tutaj łączy film aktorski z kapitalną animacją, ożywiając „żołnierzyki” (jak zwykliśmy z kumplami mówić w dzieciństwie) o twarzy nie tylko Marka, lecz również kobiet pojawiających się w życiu walczącego z traumą i depresją mężczyzny. Wizualnie „Witajcie w Marwen” jest zjawiskowe. Szczególnie dla każdego faceta bawiącego się w dzieciństwie figurkami G.I. Joe. CGI i motion capture są tutaj doprowadzone do perfekcji i dowodzą, że dziś w kinie można absolutnie wszystko.

Były już filmy o uciekaniu przed traumą w świat fantazji. Film Zemeckisa nie jest tak przenikliwy i poruszający jak choćby bardzo podobne w wymowie „Siedem minut po północy”. Ta opowieść oparta na faktach i kolejna poruszająca emocjonalnie rola Steve’a Carella, a także wyraźna chłopięca frajda Zemeckisa z kręcenia filmów (urocze autocytaty z „Powrotu do przyszłości”) pozwalają zignorować gniewne głosy krytyków. Można dać się porwać tej baśniowej opowieści o walce z własnymi demonami.

„WITAJCIE W MARWEN”, REŻ. ROBERT ZEMECKIS, DYSTR. FILMOSTRADA

Spowiedź Clinta

Pisałem już o ostatnim filmie 88-letniego maestro Clinta Eastwooda na tych łamach i odsyłam do długiej recenzji na wPolityce.pl. Przypominam tylko, że oparta na faktach opowieść o 90-letnim przemytniku narkotyków dla meksykańskiego kartelu właśnie wchodzi do kina domowego. To obowiązkowa pozycja dla każdego kinomana kochającego niepoprawne politycznie i idące wbrew trendom filmy Eastwooda. Jeżeli film widzieliście, to obejrzyjcie go ponownie pod kątem rozliczenia samego Eastwooda ze swoim życiem rodzinnym. Ten film jest spowiedzią Clinta. Bohater filmu to przegrany życiowo facet, który mimo kieszeni wypchanych pieniędzmi nie mógł kupić sobie czasu. Zaniedbał dobro rodziny, poświęcając ją na ołtarzu z napisem „Praca”. „Przemytnik” przypomina mi zapomnianą perełkę Eastwooda „Honkytonk Man”, w której Clint wcielał się w umierającego na gruźlicę piosenkarza country. Obaj bohaterowie szukają ucieczki przed potępieniem. Znamienne.



Blue-Ray/DVD

„PRZEMYTNIK”, REŻ. CLINT EASTWOOD, DYSTR. GALAPAGOS

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl d736cb0a63

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

50 lat po lądowaniu

Mija 50 lat od lądowania człowieka na Księżycu. To idealna okazja, by przypomnieć sobie ten zdumiewający film. Słowa o „małym kroku człowieka i wielkim kroku ludzkości" znają chyba wszyscy. To jedno z najsłynniejszych zdań XX w. Pełne symboliki i patosu. Wzniosłości i nasycenia amerykańskim heroizmem. Neil Armstrong jest ikoną Stanów Zjednoczonych. Film o kimś takim pół wieku po lądowaniu Amerykanów na Księżycu mógłby zrobić Steven Spielberg. Byłoby to moralistyczne dzieło zakończone mową z powiewającą flagą USA i podniosłą muzyką Johna Williamsa.

Spielberg ograniczył się do bycia producentem wykonawczym „Pierwszego człowieka", oddając lejce młodemu zdobywcy Oscara za reżyserię „La La Landu" Damienowi Chazelle'owi. Ten ugryzł historię Armstronga w zupełnie inny sposób. Spojrzał na wielkie osiągnięcie kosmonauty przez pryzmat jego życia rodzinnego i walki z wewnętrznym bólem. Najpotworniejszym. Najbardziej rozdzierającym.

W pierwszych scenach dowiadujemy się, że ukochana córeczka Armstronga (Ryan Gosling) umiera na raka. On zamyka się w sobie. Chowa się w kokpicie własnego cierpienia. Jest z nim ukochana żona Janet (Claire Foy) i dwóch synów. Jednak nawet oni nie potrafią wyciągnąć go z wewnętrznej golgoty. Może to zrobić tylko spełnienie najbardziej szalonych ambicji. Chazelle znów zrobił film o żądzy sukcesu pokonującej najtrudniejsze przeszkody. Tym razem jest to kosmos i ograniczenia naukowe. Armstrong ma



jednak taki sam cel jak bohater filmów „Whiplash" czy „La La Land" – ma dosięgnąć gwiazd. Dosłownie.

Chazelle nie idzie drogą Howarda z „Apollo 13" czy Cuaróna z „Grawitacji". Nie interesują go ujęcia w kosmosie, które ogranicza do eksploatowania klaustrofobii w kokpicie statku. Skupia się na przeżyciach Armstronga naznaczonych bólem po stracie dziecka i kolejnymi zgonami kolegów kosmonautów. Janet z bólem i strachem przed niebezpieczną misją Neila radzi sobie sama. Oboje szukają się przez cały film. Śmierć dziecka wytworzyła między nimi niewidzialną ścianę, którą rozbić może dopiero zimny Księżyc. Jest to więc film o samotności. Jak każdy film Chazelle'a.

Scena pierwszego zetknięcia się kosmonautów z nieznanym satelitą ma w sobie niemal kubrickowską poetykę. Symfonią Chazelle'a jest nie klasyczna muzyka jak w „Odysei kosmicznej", ale cisza. Rozdzierająca i przejmująca cisza. Tylko ona może pomóc Armstrongowi przejść wewnętrzne katharsis.

Gdy kapsuła z Apollo 11 zbliża się do zimnego Księżyca, wiemy, że Armstrong walczy z czarną dziurą w swoim sercu. Żałoba pojawiła się też na statku kosmicznym w „Grawitacji". Była tłem do spektakularnego kina akcji. Tutaj jest ona obecna przy bohaterach od pierwszej do ostatniej sekundy. To ona nadaje realny wymiar wiktorii Armstronga. To ona powoduje, że odczuwamy jego zwycięstwo tak osobiście. Ryan Gosling jest znakomity nie tyle w roli Armstronga, ile w roli ojca opłakującego śmierć dziecka. A że robi to na Księżycu? Zdumiewająca przewrotność.

„PIERWSZY CZŁOWIEK", REŻ. DAMIAN CHAZELLE, DYSTR. FILMOSTRADA

Zatruta familia

Słabo u nas dyskutowana „Sukcesja" to jeden z moich ulubionych seriali HBO ostatnich lat. Opowieść o nowojorskiej rodzinie Royów kontrolującej jeden z największych medialnych koncernów świata ma w sobie wszystko, co najlepsze w amerykańskich opowieściach o rekinach z Wall Street. Szekspirowskie intrygi mieszają się z przyziemnymi małostkami. Prawdziwe wydarzenia „z wielkiego świata" mają odbicie w fikcyjnej opowieści o pazerności przekładanej ponad rodzinne więzy. Korporacyjne gierki, rodzinne intrygi i mechanizmy rządzące



współczesnymi mediami – wszystko tutaj ciekawie wybrzmiewa. Scenarzyści powoli wciągają nas w imperium Royów. Skrupulatnie odsłaniają przed nami kolejne ciemne karty podziwianej przez milionów Amerykanów familii. To odpychający i paskudni ludzie. Pokazani bez przerysowania. Tacy jak oni kreują dziś masową wyobraźnię. Ukazujący się właśnie drugi sezon ma siłę „jedynki". Znów dzięki charyzmatycznemu i jednocześnie odpychającemu Brianowi Coxowi.

„SUKCESJA. SEZON 2" DOSTĘPNY NA HBO GO

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl d736cb0a63

Czas chaosu i wyciszenia

Żyjemy byle jak! Zamiast żyć pełnią życia. Zachłannie, ale szlachetnie. Kochamy też byle jak! Zamiast kochać naprawdę, ofiarując siebie, nie licząc na wzajemność

Gdy obserwuję współczesny świat, zastanawiam się często, dlaczego żyjemy w straszliwym chaosie? Co go sprawia? Dlaczego ludzkość doświadcza od wieków tylu wojen? Ile wokół nas tkwi fałszu, zacietrzewienia, bezradności, agresji, obojętności, nienawiści – zjawisk, które doprowadzają człowieka do frustracji. Jak wielu z nas wpada w depresję? W choroby psychiczne. Jak nie potrafimy poradzić sobie z własnym cierpieniem, a także z bólem najbliższych. A przede wszystkim z wszechogarniającą samotnością.

Żyjemy byle jak! Zamiast żyć pełnią życia. Zachłannie, ale szlachetnie. Z krztyną serdeczności dla innych. Zamiast cieszyć się każdą chwilą. Dziękować w każdy kolejny poranek, że znów się obudziliśmy, że mamy dach nad głową, a na stole – choćby talerz zupy i kawałek chleba. A jednak... Jednak się skarżymy. Narzekamy. Biadolimy. Stale jesteśmy niezadowoleni. Nawet to amerykańskie „keep smiling" to tylko poza. Choć w kontrze do prozy życia jest dla mnie czymś pozytywnie pięknym.

Uczucia. One są drogocenne, gdyż pozwalają zrozumieć, że każdy człowiek wspina się pod górę, a w swej wspinaczce jedno jest wspólne – dążenie do szczęścia. Być szczęśliwym, mieć dobre życie – oto wyzwanie dla wielu z nas. Dlatego lubię jakże prawdziwie brzmiącą balladę w interpretacji Tony'ego Benetta „The good life", której słowa idą tak:

Och, dobre życie, pełne zabawy
Wydaje się ideałem
Dobre życie pozwala ci ukryć
Cały smutek, który czujesz.

Kochamy też byle jak! Zamiast kochać naprawdę, ofiarując siebie, nie licząc na wzajemność. W myśl zapominanej, niemodnej zasady, że dawanie sprawia ogromną frajdę i dziecinną radość.



KRZYSZTOF LOGAN TOMASZEWSKI

eprasa.pl d736cb0a63

Jemy byle co! Zamiast hamburgerów i kebabów oraz chemicznych napojów z puszek – polecam proste domowe menu, takie jakie w czasach naszego dzieciństwa przyrządzała matka.

Komunikujemy się, naciskając guziki. Zamiast rozmawiać, wymieniać poglądy, dogadywać się. Patrząc na siebie, stojąc twarzą w twarz. Bo w myśl „Desideraty": „Prawdę swą warto głosić spokojnie i jasno, słuchając też tego, co mówią inni. Nawet głupcy i ignoranci. Oni też mają swą opowieść. Jeśli porównujesz się z innymi, możesz stać się próżny lub zgorzkniały, albowiem zawsze będą lepsi i gorsi od ciebie..."

Żyjemy w szaleńczym pędzie! Zewsząd dobiega opętańcze: „Nie mam czasu!". Na co zawsze posiadamy doskonałe alibi. Ono nas rozgrzesza. Zagłusza w nas człowieczeństwo i przestrzeganie moralności. Nie chcemy i nie lubimy zasad. Nie mamy zamiaru ani w nie wierzyć, ani tym bardziej ich przestrzegać. Zwalamy winę na „dziwny świat", który według nas jest wszystkiemu winny. Oskarżamy niesprawiedliwy los. Wierzymy, że wszystko, co w naszym istnieniu nieudane, złe, dzieje się przez przypadek. Usprawiedliwiamy największe przekleństwa człowieka – swoje uzależnienia. Od hazardu, alkoholu, po narkotyki. Już całkiem zapomnieliśmy o tym, co wpajali nam matka, ojciec, ksiądz.

Tylko czasem napotkany na moście nieznajomy człowiek, widząc, że chcemy sobie zrobić krzywdę, odzywa się, tłumacząc nam cierpliwie, że życie to wielki dar, że warto się cofnąć. Zawsze myślę: jaka szkoda, że amerykański reżyser Tony Scott, który skoczył z mostu, jednak się nie zawahał.

Nudzę? Mądrzę się? Filozofuję? Bynajmniej. Oto przed chwilą minął mnie z komórką przy uchu kierowca czarnego porsche. Pokazałem mu ręką, aby zwolnił. Spokojnie, wolniej! Dokąd gnasz, człowieku?! Zarejestrowałem jego zdziwione spojrzenie. Czego chcesz?! O co chodzi?! Nie twój interes! Zniknął za najbliższym zakrętem.

Ostatnimi laty żaliłem się w tym miejscu na pseudonowoczesność świata, dążenie do przewagi i zwycięstwo technologii nad duchowością. Wspominałem, że mamy coraz więcej samochodów, a ludzie pędzą ulicami swoich miast – tej przerażającej betonowej pustyni – donikąd, jakby nie zdając sobie sprawy, że prowadzi to do ich zagłady. Każdego dnia obserwuję gromady nastolatków, młodziutkie, niewinne dziewczęta, które spieszą chodnikami z wyciągniętą ręką, naciskając guziki w swych aparatach. Tak dzieje się w Tokio, Piotrkowie Trybunalskim, Moskwie, Kaliszu, Hongkongu, Warszawie. Cały świat to ziemia ubezwłasnowolnionych ludzi, uzależnionych od cyfrowej technologii, chorych na brak życzliwości, pełna martwych serc i zranionych dusz.

Oto fragment listu przyjaciela z Holandii, Janusza, który pisze tak: „Jeszcze 30 lat temu ten naród krzyczał: »Niech żyje Papież!«. Teraz wybrali zboczeńca, a na księży mówią: »Pedofile«. Czy to jest naród, ogłupiony rapem, Owsiakiem, disco polo, horrorami, bijatykami, filmikami z internetu?! To raczej dzicz, na którą trzeba uważać, bo jest tylko pazerna na kasę i zrobi wszystko, żeby ją zdobyć! Polska tonie! Boże! Abyśmy jej znów nie utracili przez to głupie, infantylne, niedouczone pokolenie, bo znów trzeba będzie 120 lat pokutować i cierpieć. Bo będą nas wycinać plemiona ze Wschodu i z Zachodu...". To mocne słowa płynące z serca, z głębokiej troski o stan ducha narodu, jego moralności i zanikających potrzeb intelektualnych. „Dziękuję Bogu – kontynuuje Janusz – że zwiedziłem Polskę wówczas, kiedy była naturalna, szczera, spokojna, a ludzie grzeczni i życzliwi. Boję się powracać do mojego kraju. Jak niska jest zbieranina ludzi sterowana przez TVN i Onet. Gdzie szukać przestrzeni? Pojadę do Grecji. Zobaczę, jak tam jest".

Gdy zastanawiam się nad słowami kolegi emigranta, przypominam sobie wypowiedź prof. Zdzisława Krasnodębskiego z 17 sierpnia 2008 r. zamieszczoną w „Tygodniku Powszechnym": „Polska jest ciągle krajem zacofanym, przeżartym korupcją i cwaniactwem, przeżywającym kryzys tożsamości, krajem nieszanowanym przez samych Polaków i przez zagranicę". Dziesięć lat później się okazało, że mój kraj się zmienia. Polska przeżywa rozkwit gospodarczy. Bylejakość powolutku znika i choć – jak pisał prof. Krasnodębski – „Jest to kraj, w którym nie da się nic uzyskać bez znajomości, w którym dzieci adwokatów zostają adwokatami, dzieci aktorów – aktorami, a dzieci socjologów – socjologami. Kraj, w którym żadna z afer nie została wyjaśniona. Do dziś nie wiemy, kim był Olin, kto zabił generała Papałę, kto przyczynił się do śmierci Ireneusza Sekuły. Jest to kraj, w którym zbrodnie komunistyczne ciągle czekają na osąd. Jest to kraj, w którym przeważające media kontrolowane są przez inwestorów z kraju sąsiedniego, dążącego do uzyskania w Polsce silnych wpływów politycznych" – trzeba być ślepym, by nie docenić nowych rządów PiS. Prof. Krasnodębski 10 lat temu puentował: „Jestem przekonany, że Polacy zasługują na więcej i na więcej ich stać".

„Czas chaosu i wyciszenia". Ten mój może nazbyt literacki tytuł chodził za mną od kilku miesięcy. Niechaj uzupełnieniem tych refleksji będzie historia bohatera ze znakomitego filmu „Drugie życie króla" (2012) w reżyserii Dantego Arioli, z fantastycznymi rolami Emily Blunt i Colina Firtha. Oto znudzony życiem gość pozoruje swoją śmierć, a następnie wyrusza pod nowym nazwiskiem wraz z nowo poznaną, tajemniczą kobietą w podróż. Między wyalienowaną parą pojawia się niespotykana chemia. Już dawno nie oglądałem w kinie takich scen miłosnych. „Cały ten dom, cały wszechświat, będą cię wychwalać, jak gwiazdy księżyc" – mówi bohater. „Powinnaś pojechać do swojej chorej siostry i zapytać, czy może nie potrzebuje pomocy? Rodzina jest jak zadra w sercu".

Bohaterowie tej ballady opowiadają sobie najintymniejsze sekrety. Ona: „Jak mam się z tobą związać? Jestem bombą genetyczną. Moja matka zmarła na schizofrenię. Czekam, gdy kaczki zaczną wysyłać do mnie wiadomości...". „A ja – wyznaje bohater – włamywałem się ludziom do domów, wyjadałem ich jedzenie, chodziłem w ich ciuchach, ale nie wymazywałem im życiorysów..."

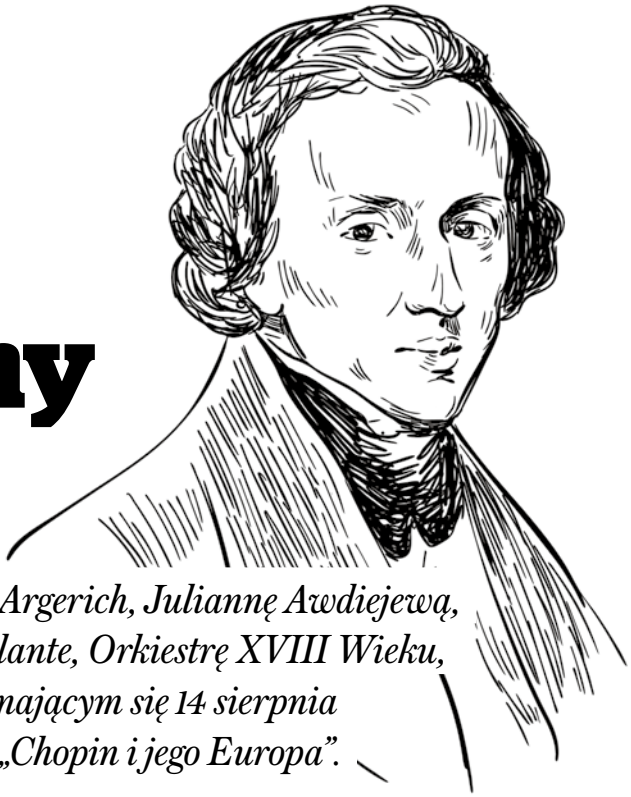
Niechaj codą mego kolejnego eseju będzie zakończenie ballady „The good life":

To dobre życie
Być wolnym i odkrywać nieznane
Jak cierpienia
Kiedy się uczysz, musisz się mierzyć z nimi sam.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl d736cb0a63

Chopin – niezawodny magnes



Gwiazdy światowej klasyki, m.in. Marthę Argerich, Juliannę Awdiejewą, Tomasza Koniecznego, zespół Europa Galante, Orkiestrę XVIII Wieku, usłyszymy w Warszawie na zaczynającym się 14 sierpnia XV Międzynarodowym Festiwalu „Chopin i jego Europa”.



ADAM CIESIELSKI

Od 1895 r. muzyczną wizytówką Londynu jest odbywający się od lipca do września BBC Proms – jeden z najstarszych i największych festiwali muzyki klasycznej na świecie. Nasza stolica, mimo tradycji recitali fortepianowych przy pomniku Chopina w Łazienkach, długo nie miała letniej imprezy międzynarodowej z prawdziwego zdarzenia. W 2001 r. zaistniały koncertowo-filmowe Ogrody Muzyczne, powtarzane do dziś co roku w lipcu na dziedzińcu Zamku Królewskiego.

Jeszcze większy rozmach ma organizowany od 2005 r. sierpniowy festiwal „Chopin i jego Europa”. Ministerialne wsparcie finansowe pozwala Narodowemu Instytutowi Fryderyka Chopina realizować kolejne pomysły w ramach tego projektu, angażując do nich solistów i zespoły z najwyższej półki. Nic dziwnego, że publiczność – mimo wakacyjnej pory – szczelnie wypełnia sale koncertowe.

Możemy być pewni wielu porywających interpretacji utworów Chopina. Wszakże zgodnie z intencją pomysłodawcy i dyrektora festiwalu – Stanisława Leszczyńskiego – repertuar obejmuje także muzykę, która inspirowała wielkiego romantyka, dorobek kompozytorów młodszych od niego oraz wpływ dzieła chopinowskiego na muzykę nam współczesną.

Jako jedno z wydarzeń jawi się wieczór Beethovenowski 17 sierpnia. Jego solistką będzie Martha Argerich, jedna z najwybitniejszych pianistek, która od Warszawy (wygrała VII Międzynarodowy Konkurs Chopinowski w 1965 r.) zaczęła światową karierę i chętnie do nas wraca. Genialna i spontaniczna, ale też zmienna w decyzjach – potrafi nagle odwoływać koncerty. Oby nie tym razem! Przyjeżdża wprost z londyńskich The Proms i z festiwalu w Salzburgu. Wykona I Koncert fortepianowy Ludwiga van Beethovena, ten sam, który tak zjawiskowo zagrała już na stołecznym festiwalu w 2012 r. z akompaniamentem Orkiestry XVIII Wieku pod dyrekcją nieodżałowanego Fransa Brüggena. Obecnie będą jej towarzyszyć połączone siły Sinfonii Varsovii i Hiroshima Symphony Orchestra pod batutą Kazuyoshi Akiyamy. Ci instrumentaliści, już z solistami i chórem Opery i Filharmonii Podlaskiej, zaprezentują ponadto kolejne dzieło Beethovena: IX Symfonię.

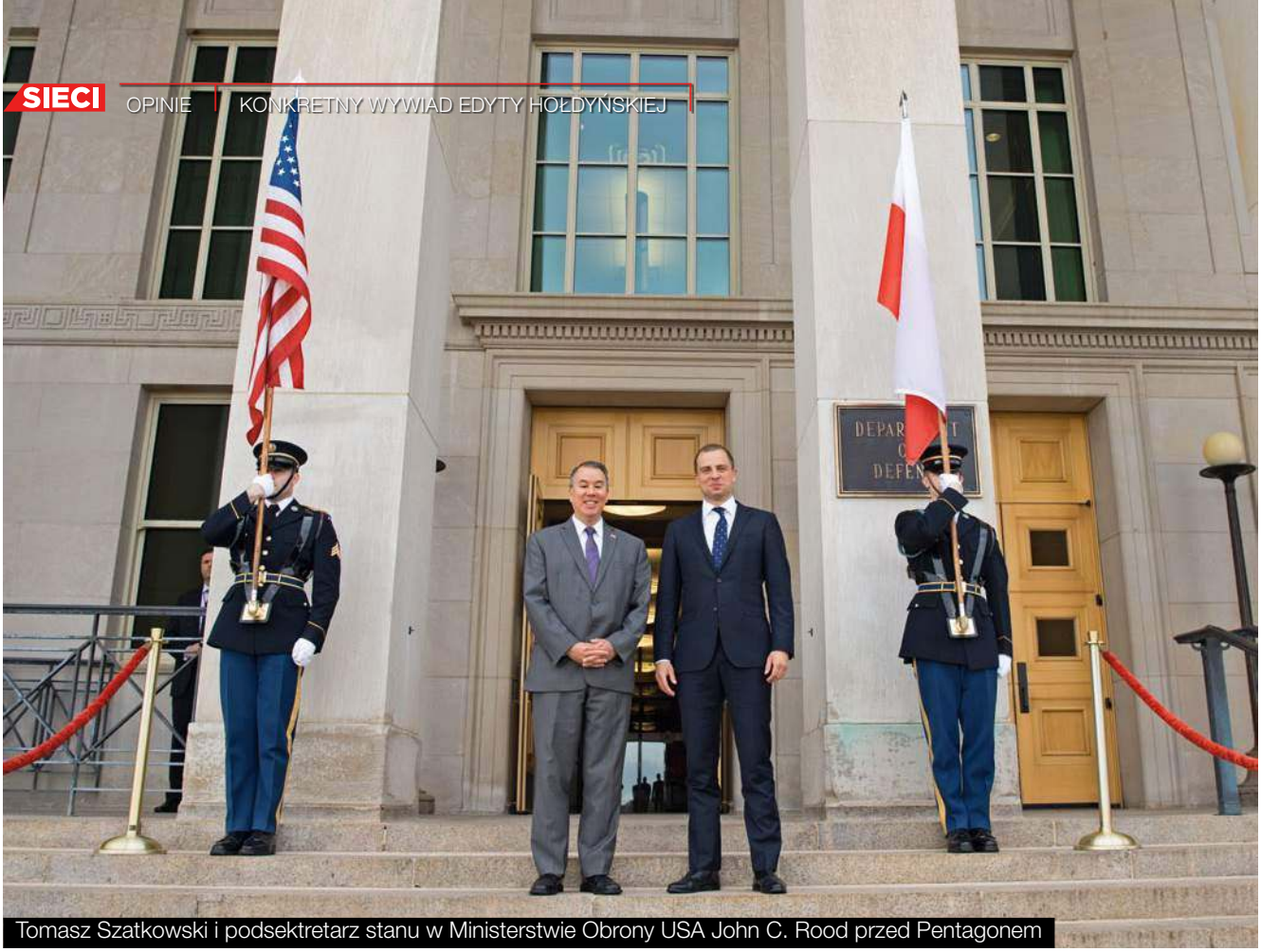
Festiwal konsekwentnie promuje wątki polskie. Tegoroczna edycja ma hasło: „Od Chopina do Moniuszki”. 16 sierpnia zabrzmi koncertowa wersja opery „Flis” Stanisława Moniuszki w wykonaniu międzynarodowej stawki wokalistów i zespołu Europa Galante pod dyr. Fabia Biondiego. 25 sierpnia Orkiestra XVIII Wieku pod batutą Grzegorza Nowaka z chórem Filharmonii Podlaskiej przedstawią estradowe ujęcie „Strasznego dworu”. W obsadzie m.in. znani ze światowych scen śpiewacy: Małgorzata Walewska, Mariusz Godlewski, Rafał Siwek, Karol Kozłowski, Marcin Bronikowski i Tomasz Konieczny. Ten ostatni, opromieniony świeżymi sukcesami w Nowym Jorku i Bayreuth, da ponadto w Warszawie 30 sierpnia recital pieśni Franza Schuberta z cyklu „Podróż zimowa” do słów Wilhelma Müllera.

Atrakcją specjalną będzie „Cud mniemany, czyli Krakowiacy i Górale”. Śpiewogrę, tak znaczącą w historii polskiej opery, stworzyli i wystawili w 1794 r. Jan Stefani – rozkochany w naszej muzyce spolonizowany Czech, oraz Wojciech Bogusławski – ojciec teatru narodowego. Dzieło nagrały niedawno w Pradze tamtejsze, cenione w świecie wykonawstwa historycznego zespoły Collegium 1704 i Collegium Vocale 1704 pod dyr. Václava Luksa. Płytę promować będą teraz w Warszawie dwie prezentacje koncertowe.

15. Międzynarodowy Festiwal Muzyczny „Chopin i jego Europa”
Warszawa, 14.08–1.09.2019
Szczegółowy program i bilety na www.chopin.nifc.pl

Fot. Natata / Shutterstock

eprasa.pl d736cb0a63



Tomasz Szatkowski i podsekretarz stanu w Ministerstwie Obrony USA John C. Rood przed Pentagonem

Fot. Secretary of Defense US

Działaliśmy skuteczniej

Polska jest już hubem obecności amerykańskiej we wschodniej flance NATO



Z Tomaszem Szatkowskim, ambasadorem RP przy NATO w Brukseli, byłym wiceministrem obrony narodowej, rozmawia Edyta Hołdyńska

Obejmuje pan stanowisko ambasadora RP przy NATO w Brukseli. O co chce pan tam zawalczyć?

Tomasz Szatkowski: Najważniejszymi rzeczami wynikającymi z polskich interesów będą: dokończenie adaptacji NATO do wymaganej sytuacji bezpieczeństwa, utrzymanie dobrych relacji transatlantyckich, właściwe relacje z Rosją, wsparcie dla procesu rozszerzenia czy rozwój partnerstw Sojuszu. Będzie to dla mnie przede wszystkim szansa dalszego służenia Polsce w obszarze, w którym jestem aktywny już kilkanaście lat. Ostatni okres służby, bo nie chcę tego nazwać zwykłą pracą, na stanowisku wiceministra obrony narodowej jest – jak sądzę – dobrą bazą do pełnienia funkcji stałego przedstawiciela Polski przy NATO, w której w codziennej działalności potrzebna jest dobra współpraca zarówno z MON, jak i MSZ.

Zostawia pan MON zadowolony z efektów swojej pracy i swoich przełożonych?

Nie jest zadaniem wiceministra ocenianie pracy przełożonych. Myślę jednak, że w obszarach, za które byłem odpowiedzialny, pod kierownictwem obu ministrów, osiągnęliśmy dla Polski bardzo dużo. Pierwsza sprawa – obecność wojskowa jako gwarancja sojusznicza. Gdy przychodziliśmy do resortu, w Polsce w zasadzie nie było zorganizowanej obecności wojsk sojuszniczych. Trwały oczywiście przygotowania do rozpoczęcia budowy bazy antyrakietowej w Redzikowie. Po kryzysie ukraińskim, jeszcze w latach 2014–2015, została także zainicjowana rotacja niewielkich pododdziałów amerykańskich czy kanadyjskich, których symboliczna obecność miała pełnić funkcję odstraszającą. Łącznie z 10-osobowym zapleczem okresowych pobytów elementów Sił Powietrznych USA (w ramach Aviation Detachment) było to w sumie kilkaset osób, bez

eprasa.pl d736cb0a63

odpowiedniego zaplecza w postaci wyposażenia, logistyki, niezintegrowanych z planami i strukturą dowodzenia. W momencie gdy odchodzę, mamy kilkutysięczną obecność wojsk sojuszniczych, która ma charakter bojowy i odstraszający. Mamy dwustronny polsko-amerykański proces zwiększania tej obecności, który wypracowujemy razem ze Stanami Zjednoczonymi. Już w tej chwili mówimy de facto o kluczowych elementach formacji dywizyjnej US Army.

To już ten obiecywany Fort Trump, czyli stała obecność wojsk NATO w kraju, o którą chodziło rządowi?

Są to: brygada pancerna, silna grupa bojowa z drugiej brygady i sprzęt trzeciej, umożliwiający jej błyskawiczną integrację na teatrze działań. To wszystko będzie wreszcie spinane przez jedyne w Europie dowództwo dywizyjne US Army wraz z elementami wsparcia i migrującą stopniowo brygadą lotnictwa wojsk lądowych. Do tego dochodzą elementy innych rodzajów Sił Zbrojnych USA, jak samodzielna eskadra bezpilotowców wielozadaniowych klasy MALE wraz z zapleczem, zwiększona obecność wojsk specjalnych czy lotnicza baza transportowa ułatwiająca przybycie dalszych sił wzmocnienia.

Można było zrobić to wcześniej? To był błąd MON za rządów PO?

Nie wiem, czy można to nazwać błędem, bo ten problem był nawet wyartykułowany przez ówczesnego ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego. Swego czasu mówił on, że cieszyłby się, gdyby w Polsce były dwie ciężkie brygady amerykańskie. Powinien być więc usatysfakcjonowany, gdyż de facto przekroczyliśmy poziom jego ambicji. Myślę, że po prostu udało nam się działać skuteczniej. Jak mówił mi jeden z byłych ambasadorów USA w Polsce – daleki od sympatii do obecnego rządu – nigdy nikt nie stawiał tego postulatu z taką determinacją i zaangażowaniem. Z taką samą troską podchodziliśmy wcześniej do kluczowych wyników szczytu warszawskiego NATO, które miałem zaszczyt przygotowywać jeszcze z upoważnienia ministra Macierewicza. Wymagały one wyprzedzających prac koncepcyjnych i zabiegów dyplomatycznych na wszystkich szczeblach. Podobnie jak działanie w zakresie utrwalenia i zwiększenia obecności amerykańskiej. Najbardziej intensywny okres tych starań rozpoczął się zaraz po wejściu do resortu ministra Błaszczaka. Już w pierwszych dniach swojego urzędowania spotkał się z amerykańskim i natowskim dowódcą strategicznym gen. Curtisem Scaparrottim i ówczesnym doradcą prezydenta Trumpa ds. bezpieczeństwa narodowego gen. H.R. McMasterem. W związku z tym priorytetem minister Błaszczak poprosił mnie o pozostanie w resorcie i upełnomocnił do prowadzenia dwustronnych negocjacji, z jego mandatu i mandatu sekretarza obrony USA. Wspólnie z zespołem składającym się zarówno z ludzi z mojego pionu w MON, jak i spoza niego włożyliśmy masę pracy w przygotowanie i przeprowadzenie negocjacji.

A jak wyglądało wsparcie ze strony Biura Bezpieczeństwa Narodowego? To wszystko skutkowało porozumieniem prezydentów Andrzeja Dudy i Donalda Trumpa.

Sukces nie byłby możliwy bez świetnych relacji łączących Andrzeja Dudę z Donaldem Trumpem, bez ważnego impulsu, którym była deklaracja prezydencka z września 2018 r. BBN, podobnie jak MSZ, było obecne na spotkaniach Executive Steering Group, którym współprzewodniczyłem z podsekretarzem ds. polityki Johnem Roodem w Pentagonie. Bez wspólnoty celu i koordynacji ostateczne powodzenie nie byłoby możliwe.

Czy elementem porozumienia z USA był zakup F-35?

Elementem porozumienia nie jest zakup F-35. Można dyskutować nad niuansami, ale to skądinąd potrzebna decyzja. Tę możliwość uwzględniliśmy już w Strategicznym Przeglądzie Obronnym, którym kierowałem w latach 2016–2017. Decyzję w tej sprawie podjął i nadał jej priorytet obecny szef MON Mariusz Błaszczak w obliczu pogarszającego się stanu posowieckiej części floty naszych samolotów. Zakup F-35wynika z potrzeb naszych sił zbrojnych. Fort Trump z kolei to hasło, które chyba bardzo dobrze oddaje cel tego porozumienia i honor administracji, która decyduje się na takie historyczne rozszerzenie i utrwalenie obecności amerykańskich sił w Polsce.

Wynegocjowaliśmy wszystko to, co chcieliśmy?

Wynik jest bardzo bliski realnego optimum, o które nam chodziło w momencie rozpoczęcia negocjacji. Zawsze można chcieć więcej, ale trzeba przypomnieć, że Polska jest obecnie jedynym krajem, w którym liczba żołnierzy amerykańskich się istotnie zwiększa, nie zaś zmniejsza. Musimy patrzeć na całość tego porozumienia. Najważniejsza nie jest konkretna liczba. Najważniejsze jest utrwalenie obecności amerykańskiej w Polsce. Zwiększała się ona znacznie co prawda już od trzech lat, ale w zdecydowanej większości przypadków była to obecność w formie tymczasowej. Z roku na rok Pentagon musiał podejmować decyzję, czy będzie następna rotacja i czy występować z wnioskiem do Kongresu, by ją zatwierdzać. Teraz istnieją ramy polityczne do tego, by te jednostki zostały w Polsce na długo, na mocy dwustronnego porozumienia, a później umów.

Tysiąc żołnierzy to wystarczająca liczba?

Tak naprawdę powinniśmy mówić nie o tysiącu, ale w sumie o liczbie bliższej 6 tys. stale przebywających w Polsce amerykańskich żołnierzy, dodatkowo z rozwiązaniami logistycznymi, które umożliwią bardzo szybkie zwiększenie tej liczby. To zresztą tylko początek ustalonego przez nas oficjalnie procesu, co jest kolejną istotną zmianą zasad naszych relacji. Mówiłem już o szczególnej kompozycji tych oddziałów. Nawiązując jednak do dowództwa dywizyjnego – był punkt, na którym nam szczególnie zależało. Dzięki niemu zwielokrotniamy efekt obecności wojsk amerykańskich, umożliwiamy integrację szkoleniową, planistyczną i operacyjną z Wojskiem

eprasa.pl d736cb0a63

Polskim. Tworzymy też podstawę do rozwijania obecności o dalsze elementy. Od deklarowanej liczby żołnierzy ważniejsze są więc zwielokrotnione zdolności, jakie stąd wynikają. Na koniec – praktyka ostatnich lat pokazała, że po przekroczeniu pewnego politycznego i psychologicznego progu czyny Amerykanów szybko idą dalej niż składane z wielką ostrożnością deklaracje. Podsumowując – Polska jest już hubem obecności amerykańskiej we wschodniej flance NATO.

Ale za całą infrastrukturę potrzebną do obecności w Polsce sił zbrojnych NATO, co podkreślił Donald Trump, zapłacimy my.

Po pierwsze, ta infrastruktura będzie służyła wojskom amerykańskim oraz polskim i pozostanie własnością Polski. Oceniając, czy zawarliśmy z Amerykanami dobre porozumienia, warto zwrócić uwagę zwłaszcza na to, że koszt tej infrastruktury będzie dziesięciokrotnie mniejszy od kosztu samego sprzętu i środków bojowych, które Amerykanie rozmieszczą w Polsce w ramach stacjonujących tu oddziałów czy w magazynach w Powidzu i innych lokalizacjach. Podnoszona gdzieniegdzie krytyka kosztów tego porozumienia jest więc nietrafiona i zbieżna z przekazem podjętym przez rosyjską propagandę, np. w portalu Sputnik.

Sputnik donosił, że amerykańskie myśliwce są gorsze od rosyjskich. Czy kupiliśmy dobry sprzęt?

Nie mam w tej sprawie wątpliwości. Ciekawym punktem odniesienia jest niezależna analiza Fundacji Heritage, która opiera ją na ankiecie z pilotami, którzy przesiedli się na F-35 z różnych innych amerykańskich statków powietrznych. Ne ma wątpliwości, że ten sprzęt to przełom technologiczny i doktrynalny. Analiza mówi zwłaszcza o rewolucji w zakresie świadomości sytuacyjnej. Obok klasycznych zadań bojowych jest to więc rewolucyjna platforma do zbierania różnego typu danych. Dodatkowo jest to samolot, który może operować w sposób niewykrywalny dla radarów i przekazywać zebrane przez siebie dane do innych systemów zbrojenia. Te samoloty zwiększą więc także możliwości naszych F-16. Będą współdziałały także z takimi systemami jak Himars. To będzie więc multiplikator zdolności. Oczywiście, aby taką rewolucyjną technikę wprowadzić na wyposażenie, potrzebne są przygotowania infrastrukturalne i organizacyjne.

> Tak naprawdę powinniśmy mówić nie o tysiącu, ale w sumie o liczbie bliższej sześciu tysiącom stale przebywających w Polsce amerykańskich żołnierzy

W jakim stopniu realny jest dziś atak Rosji na Polskę, na Europę?

Rosjanie to mimo wszystko racjonalny naród. Dlatego realność agresji zmniejsza się wraz ze skuteczniejszym odstraszaniem Sojuszu. Dlatego nasze porozumienie z Amerykanami ma charakter stabilizujący. Same intencje Rosji trudno zbadać. Wieloletnie inwestycje w zdolności i gotowość wojskową to jednak sygnał, którego lekceważyć nie można, zwłaszcza że towarzyszą mu niejasne perspektywy społeczno-gospodarcze Rosji w następnych latach.

Wojsko polskie jest dziś w stanie obronić nas przed taką ewentualnością? Przygotował pan przegląd przed kilkoma laty. W jakim stanie wojsko jest dzisiaj?

Strategiczny Przegląd Obronny był rzeczywiście bardzo ciekawym intelektualnie okresem mojej pracy w MON. Wnioski są takie, że Polska jest w stanie stworzyć taką strategię obrony i taki potencjał, które zniechęcą przeciwnika do podjęcia ataku. Przegląd przyniósł wiele istotnych wniosków. Część z nich już przyniosła owoce, takie choćby jak idea czwartej dywizji. Mam nadzieję, że wypracowane w nim koncepcje, takie jak budowa polskiego systemu antydostępowego, zainspirują nowy, 15-letni plan rozwoju sił zbrojnych i wynikający z niego plan modernizacji technicznej. Ten dokument powstawał jednak prawie trzy lata temu, a sytuacja jest dynamiczna. Nie mieliśmy np. wówczas porozumienia z USA, więc musieliśmy zakładać większą samodzielność naszych wojsk. Dziś, mając większą przewidywalność obecności wojsk amerykańskich, możemy dokonywać korekt w tym planie, np. nieco innaczej rozłożyć równowagę pomiędzy liczbą a jakością czy mobilnością wojsk.

A kadry? Reforma na wysokich stanowiskach przyniosła efekty?

Mamy coraz lepszych młodych oficerów czy podoficerów. Liczymy też na dopływ kadr w ramach Wojsk Obrony Terytorialnej. I to ma znaczenie niebagatelne.

Jak sprawdzają się terytorialsi? Na „wojska Macierewicza" spadła fala krytyki.

Jest coraz mniej sceptyków. Krytyka zawsze powstaje przy okazji budowy nowej formacji czy instytucji. Kieruje nią zwykle „stary" establishment. Tak samo było z wojskami specjalnymi. Dlatego musiano je powołać w formule nowego rodzaju sił zbrojnych, by uodpornić nowy twór na przeciwdziałanie zachowawczych jednostek. Tak samo jest z WOT. Opór wojskowych można jednak pokonać, udowadniając skuteczność nowej formacji. To się zresztą obecnie dzieje w Wojsku Polskim. Nieco gorzej jest z głosami polityków czy publicystów, którzy są zainteresowani tym, by krytykować wszystko, co powstawało za czasów władzy, której – mówiąc delikatnie – nie kochają. Wydaje mi się, że i oni w coraz większym stopniu będą jednak musieli zmodyfikować swój sposób myślenia. Już obecnie widzę znacznie mniejszą krytykę WOT niż np. dwa lata temu.

eprasa.pl d736cb0a63



N jak Nagroda Mediów Publicznych

Dr Hanna Karp, medioznawca

Na początku lipca portale obwieściły: po 11 latach wraca Nagroda Mediów Publicznych. Wiadomość o tyle ciekawa, że oznacza próbę wejścia do tej samej rzeki. A jako że panta rhei – wszystko płynie – może być to przedsięwzięcie niełatwe, w myśl porzekadła medycznego: jest dobrze, aczkolwiek nie beznadziejnie. Jednak – jak większość opinii publicznej – wiadomość o reaktywacji nagrody przyjęłam z nadzieją i radością.

HISTORIA NAGRODY

Historia nagrody jest krótka. Zainicjował ją w 2008 r. ówczesny prezes Polskiego Radia Krzysztof Czabański. Miała dwie kategorie: literatury pięknej – Cogito – i muzyki poważnej – Opus, i jedną edycję. Jej pierwszych i jednocześnie... ostatnich laureatów poznaliśmy w 2008 r. Opus otrzymał kompozytor Piotr Mykietyn za utwór „II Symfonia". W kategorii Cogito nagrodzono reportażystkę Małgorzatę Szejnert za książkę wydaną przez Znak „Czarny ogród". Uhonorowano tym samym panoramiczny reportaż literacki historii spółki Giesche, w kontekście historii Niemiec, Śląska i Polski w 200-letnim okresie. Nagrody główne w obu kategoriach łączyły się także z gratyfikacją w wysokości 200 tys. zł.

Jednak już po roku, po słynnym apelu premiera Donalda Tuska, by nie płacić „haraczu" na media, z uwagi na dramatyczną sytuację finansową mediów publicznych jury Opus i Cogito podjęły decyzję o nierozstrzygnięciu obu konkursów. A że z nominacją nie wiązały się koszty, doprowadzono do etapu wyłonienia siódemki dzieł przedstawionych do nagrody głównej. Wśród nominowanych w kategorii Cogito znaleźli się wówczas: Andrzej Bart za książkę „Fabryka muchołapek" (wyd. W.A.B., Warszawa), Krzysztof Czyżewski za „Linię powrotu. Zapiski z pogranicza" (wyd. Pogranicze, Sejny), Andrzej Dobosz za „Ogrody i śmietniki" (Biblioteka „Więzi", Warszawa), Inga Iwasiów za „Bambino" (Świat Książki, Warszawa), Bożena Keff za „Utwór o matce i ojczyźnie" (Korporacja Ha!art, Kraków), Jacek Milewski za „Dym się rozwiewa" (wyd. Zysk i S-ka, Poznań) oraz Jarosław Marek Rymkiewicz za „Kinderszenen" (wyd. Sic!, Warszawa). Nominowane książki wybrało jury w składzie: Julia Hartwig (przewodnicząca), Jerzy Jarzębski, Adam Pomorski, Iwona Smolka i Piotr Wojciechowski. Zarządy Telewizji Polskiej i Polskiego Radia na osłodę zainteresowanym potwierdziły w oficjalnym oświadczeniu zobowiązanie do szerokiej promocji na antenach Telewizji Polskiej i Polskiego Radia dzieł nominowanych. I choć decyzja o zawieszeniu miała być jednorazowa, to tymczasowość, czyli prowizorka, okazała się trwała.

PATRONI I KAPITUŁY

Inicjatywa podjęta przed 11 laty przez ówczesnego prezesa Polskiego Radia Krzysztofa Czabańskiego obecnie także objęta jest patronatem Rady Mediów Narodowych, których jest on przewodniczącym, i patronatem mediów publicznych – Telewizji Polskiej, Polskiego Radia i Polskiej Agencji Prasowej. Obecna wersja ma nie dwie, ale trzy kategorie: obraz, muzykę, słowo. TVP patronować będzie kategorii obraz, Polskie Radio – kategorii muzyka, zaś kategorii słowo – Polska Agencja Prasowa. Każdą tworzyć będzie oddzielna kapituła ekspertów i znawców tematu, to ona będzie przyjmować poszczególne nominacje i wyłaniać zwycięzców w swojej kategorii.

eprasa.pl d736cb0a63

Przytoczmy choćby skład tej ostatniej – kapituły słowa. To znakomici pisarze, dramaturdzy, dziennikarze, reportażyści i krytycy literaccy: Joanna Siedlecka – reporterka i pisarka; Krzysztof Masłoń – dziennikarz, publicysta, krytyk literacki; Maciej Pawlicki – producent telewizyjny i filmowy, reżyser, scenarzysta, publicysta; Wojciech Tomczyk – dramatopisarz, scenarzysta, producent i krytyk filmowy, a także Piotr Zaremba – dziennikarz, publicysta, krytyk filmowy. Powyższy skład ma pewną wadę, tworzą go aktywni i praktykujący twórcy, daje to gwarancję rzetelnych nominacji, ale z drugiej strony oznacza, że oni sami są wykluczeni z szans na nominację. A może nie? Ciekawe, co w tej materii mówi szczegółowy regulamin nagrody.

Rozstrzygnięcie pierwszego etapu w każdej z kategorii – chodzi o nominacje pięciu kandydatów – nastąpi już w drugiej połowie sierpnia. Nazwiska laureatów zostaną zaś ogłoszone podczas gali 16 września w Teatrze Polskim w Warszawie. Zwycięzcy poszczególnych kategorii, oprócz statuetki, otrzymają nagrodę pieniężną w wysokości 100 tys. zł. Jest to kwota o połowę niższa od tej w wersji sprzed 11 lat.

PROPOZYCJE DLA KAPITUŁY SŁOWA

Będąc podpytywana w różnych miejscach o moje typy, uznając także, że zostało niewiele czasu, przedstawiam szanownej kapitule słowa swoje propozycje do nagrody w tej kategorii. Jako numer jeden w tej edycji proponuję wyjątkowo przełamać nieco konwencję regulaminu i przyznać nagrodę trójce autorów, którzy dotąd nie doczekali się publicznego uznania, a bardzo na nie zasługują. Chodzi o Dorotę Kanię, Macieja Marosza i Jerzego Targalskiego za ich trylogię wydawnictwa Frondy: „Resortowe dzieci. Media" (2013), „Resortowe dzieci. Politycy" (2016), „Resortowe dzieci. Biznes" (2019). Ta nominacja, moim zdaniem, jest oczywista i nie potrzebuje szczególnego uzasadnienia, a dowodem tego jest także rezonans czytelniczy książek. Efekt benedyktyńskiej pracy autorów i ich odwagi to cykl pierwszych publikacji na polskim rynku, odsłaniających wielką białą plamę procesów polskiej transformacji rozgrywających się na styku mediów, biznesu i polityki. Dzięki autorom przepastne akta IPN mogły głośno przemówić i w kolejnych tomach rozjaśnić tajemnice tworzonego systemu i jego skutków, z którymi do dziś przychodzi nam się zmagać.

Ponadto proponuję w pierwszej edycji po raz wtóry rozszerzyć regulamin konkursu i przyznać nagrodę specjalną. A byłaby dla Joanny Siedleckiej, także za trzy tytuły tworzące swoistą trylogię i ze wszech miar godną nagrodzenia. Mam na myśli takie książki jak: „Obława. Losy polskich represjonowanych pisarzy", wyd. Prószyński i S-ka 2005; „Kryptonim »Liryka«. Bezpieka wobec literatów", wyd. Prószyński i S-ka 2008; „Biografie odtajnione. Z archiwów literackich bezpieki", wyd. Zysk i S-ka 2015 oraz anglojęzyczne wydanie „Czarnego Ptasiora", odkrywające prawdę o okupacyjnych losach Jerzego Kosińskiego, ocalonego przez polskich chłopów, które w kraju doczekało się już kilku wydań. Nominacja publikacji Joanny Siedleckiej to nagroda za unikatowe prace powstałe bez wielkich grantów, tylko dzięki pasji i pracowitości autorki. Wypełniają one bolesną lukę informacyjną o czasach państwowej przemocy wobec środowisk polskich pisarzy i literatów. Bezkompromisowość i upór pozwoliły także napisać Joannie Siedleckiej książkę o Jerzym Kosińskim. Narażając się na wykluczenie z literackich salonów, wybrała prawdę. Przyznanie nagrody specjalnej tej pisarce byłoby znakomitym podziękowaniem za jej dotychczasowy dorobek i tematy prac, których nikt nie śmiał dotąd podjąć.

> Obecna wersja Nagrody Mediów Publicznych ma nie dwie, ale trzy kategorie: obraz, muzykę, słowo. TVP patronować będzie kategorii obraz, Polskie Radio kategorii – muzyka, zaś kategorii słowo – Polska Agencja Prasowa

NIEPOKOJĄCE PYTANIA

Zanim jednak poznamy laureatów, dziś dosyć natrętnie powraca pytanie, czy reaktywacja nagrody będzie trwała i czy przyniesie oczekiwane owoce? Jej pomysłodawca Krzysztof Czabański liczy, że będzie pożytkiem dla dobra kultury narodowej. Jest pomyślana bowiem w celu upowszechnienia twórczości opartej na wartościach patriotycznych, budujących trwałe więzi społeczne. Prezes TVP Jacek Kurski podczas lipcowej konferencji ogłaszającej powrót nagrody zapewniał, że chodzi przede wszystkim o umacnianie wspólnoty narodowej, promowanie polskiej kultury i podziękowanie tym twórcom i artystom, którzy tworzą ważne dzieła.

Jest jeszcze inne pytanie, którego przy tej okazji także trudno nie zadać: ile sezonów nagroda przetrwa? Ta wątpliwość ma podstawy, jeśli uwzględni się różnego rodzaju plany opozycji, w tym ten związany z zamachem na media publiczne i ich praktyczną likwidację. Choć są to, powiedzmy sobie, zamiary dziś niepoważne i jak na razie nierealne, bo wymagające zmiany konstytucji, to z pewnego punktu widzenia są one bardzo niebezpieczne. Wprowadzają idee oswajania opinii publicznej z groźną koncepcją na rynku mediów. Niosą przyzwolenie i zgodę na oddanie pola medialnym duopolom i kartelom, które otrzymując na polskim podwórku medialnym władzę absolutną, dopiero poczują, że hulaj, dusza, piekła nie ma. Zgarną one bowiem wtedy nie tylko cały reklamowy tort, lecz w epoce, gdy wojny konwencjonalne zastąpiły wojny informacyjne, zdobędą w sposób niekwestionowany monopol informacyjny. A już dziś odczuwamy, i to nierzadko, jak niebezpieczne jest poruszanie się drogą, na której bezpieczeństwo informacyjne jest nieuświadomioną fikcją.

eprasa.pl d736cb0a63



Jak na razie Boris Johnson nie zdecydował się pójść na całość. Od chwili, gdy 24 lipca ów faktyczny lider kampanii na rzecz brexitu objął urząd brytyjskiego premiera, uderzająca stała się jego powściągliwość i ostrożność, tak sprzeczna przecież z ugruntowanym wizerunkiem jastrzębia

Hazard Johnsona



JAN ROKITA

Ze strony Johnsona nie padł dotąd nawet cień sugestii, że w konflikcie z kontynentalną Unią Londyn mógłby się odwołać do dwóch silnych instrumentów nacisku, jakie są w jego dyspozycji.

Po pierwsze, ultimatum, że nie zapłaci ani centa ze swoistej kontrybucji, na którą w grudniu 2017 r. przystała Theresa May, będąc pod presją, iż tylko pod tym warunkiem Bruksela w ogóle przystąpi do merytorycznych negocjacji o brexicie. A chodzi o kwoty astronomiczne, mające sięgać między 39 a 44 mld euro, w zależności od tego, jak po brexicie wyglądałby nowy kontynentalno-brytyjski

eprasa.pl/4736cb0a63

układ handlowy. I po drugie, groźby, że na nowo zbada przydatność dla Wielkiej Brytanii rzeszy pracowników będących obywatelami krajów Unii, szacowanej w ubiegłym roku przez rządowy Office for National Statistics na 2,37 mln. W tej drugiej kwestii nowy brytyjski gabinet postąpił nawet tak łagodnie, że zapowiedział kontynuację gwarancji dla unijnych pracowników, jakie wcześniej otrzymali oni od rządu Theresy May.

MAY POD ŚCIANĄ

W przeciwieństwie do swojej pozbawionej politycznego talentu poprzedniczki Johnson doskonale wie, że tylko pewną dozą nieobliczalności może zmusić przywódców Unii do ustępstw. To zresztą jest stara jak świat reguła realnej polityki: wygram tylko wtedy, jeśli przeciwnik uwierzy, iż naprawdę jestem brawurowym hazardzistą, zdolnym do posunięć najwyższego ryzyka. Zupełnie nie rozumiała tego May, której wydawało się, że im większą wykazuje „otwartość negocjacyjną" i gotowość do ustępstw, tym na końcu dostanie lepsze warunki umowy brexitowej. Tymczasem na skutek jej polityki stało się dokładnie odwrotnie.

W finale negocjacji May została przymuszona do zgody na rzecz, która z perspektywy przytomnego Anglika musi wyglądać na jakieś horrendum. Do umowy wpisano sławny backstop, czyli regułę, wedle której Wielka Brytania na wieki wieków ma stać przed taką oto alternatywą: albo trwać w unii celnej i podporządkować się tym samym prawom i sądom unijnym bez wpływu na nie (ale po co wychodzić wtedy z Unii???), albo też zgodzić się na faktyczny podział terytorium państwa przez ustanowienie granicy i kontroli celnych na Morzu Irlandzkim, czyli pomiędzy dwiema częściami Korony – Brytanią i Ulsterem. Na zasadzie pełnej political fiction można sobie wyobrazić sytuację, w której Polska opuszcza Unię, ale polski rząd godzi się na to, aby granicę celną ustanowić gdzieś koło Tczewa, gdyż przekonano go, iż Gdańsk winien nadal mieć przywilej korzystania z dobrodziejstw wolnego handlu z Niemcami i resztą Europy.

OSTRA JAZDA

Johnson zawsze odmawiał swej zgody na backstop i odmawia go nadal jako brytyjski premier. Gdyby nie nieszczęsna umowa podpisana przez poprzedniczkę, jego sytuacja negocjacyjna byłaby oczywiście dużo lepsza. W dzisiejszych warunkach Johnson staje bowiem wobec unijnego muru, w którym ustawiła się (przynajmniej na razie) cała kontynentalna Europa. Prym wiedzie tutaj oczywiście Irlandia, która pilnuje tego, aby żadnemu z unijnych partnerów (np. Polsce albo Włochom) nie przyszło do głowy, że dla uniknięcia tzw. twardego brexitu warto by było poczynić wobec Londynu jakieś ustępstwa. W Dublinie zapewne dobrze pamiętają, iż raptem rok temu, jeszcze podczas trwających negocjacji z May, minister Konrad Szymański postawił podczas zebrania Rady ds. Ogólnych UE pytanie: „Czy naprawdę dla Irlandii zniszczymy porozumienie z Wielką Brytanią?". Teraz Szymański tłumaczy, że z całą życzliwością dla Londynu „musimy jednak trzymać się ram UE".

> Johnson doskonale wie, że tylko pewną dozą nieobliczalności może zmusić przywódców Unii do ustępstw. To zresztą jest stara jak świat reguła realnej polityki: wygram tylko wtedy, jeśli przeciwnik uwierzy, iż naprawdę jestem zdolny do posunięć najwyższego ryzyka

Irlandia zaś – co zrozumiałe – chce zachowania jak najściślejszych więzi politycznych i gospodarczych z Ulsterem, nie tylko obawiając się kryzysu gospodarczego i powrotu wojny irlandzkiej (co jest oficjalną argumentacją), lecz także licząc po cichu na to, iż będzie tylko kwestią czasu, kiedy na skutek procesu zapaści demograficznej wśród probrytyjskich protestantów w Ulsterze możliwe okaże się historyczne zjednoczenie wyspy pod władzą Dublina.

Jednak proirlandzki mur, w jaki uszykowała się dziś wroga wobec Johnsona kontynentalna Unia, już niedługo może się okazać politycznie paradoksalny. Jedna z najciekawszych uwag, jakie w ciągu ostatnich dni poczyniono na temat brexitu, pochodzi od irlandzkiego eksperta z dublińskiego think-tanku IIEA, który (cytowany przez „Rzeczpospolitą") przytomnie zauważa, iż: „w razie twardego brexitu i odchodzenia przez Brytyjczyków od unijnych regulacji, to Dublin będzie musiał wprowadzić kontrole celne". W tej uwadze streszcza się najistotniejsza kalkulacja polityczna Johnsona. Jak na razie grozi on kontynentalnym partnerom tylko jednym: tym, że bez względu na polityczne okoliczności przed końcem października nie poprosi o kolejną zwłokę brexitu. Wobec czego, jeśli unijny mur nie pęknie, to Brytania odpłynie od Europy na własnych warunkach, bez jakiejkolwiek umowy. A to znaczy, że wkrótce potem przestanie respektować setki rozmaitych norm handlowych, ustanowionych dotąd przez Unię. I kto wtedy zostanie zmuszony do budowania barier, terminali celnych i wprowadzania kontroli pomiędzy Ulsterem a Irlandią?

Oczywiście będzie to musiał zrobić sam Dublin, wobec oczywistego nacisku wszystkich członków Unii. Irlandczykom (a wraz z nimi całej kontynentalnej Unii) grozi zatem, że jeśli twardością wobec Johnsona doprowadzą do gwałtownego zerwania 31 października, wkrótce potem własnymi rękoma będą musieli zrobić to, czego rzekomo (z obawy przed wojną i kryzysem gospodarczym w Irlandii) teraz za wszelką cenę chcą uniknąć. Ta irlandzka kwadratura koła ma być – wedle Johnsona – wystarczającym powodem do tego, aby w owej jeździe „na białko", czyli na czołowe zderzenie, to Bruksela w ostatniej chwili zrobiła nagły zjazd na boczny pas.

Fot. Michael Tubi / Shutterstock

eprasa.pl d736cb0a63



NIERÓWNOWAGA ZAGROŻEŃ

Ale taka kalkulacja może się okazać niewystarczająca. Wraz z determinacją Johnsona do przerwania chocholego tańca, jaki z brexitem przez trzy lata uprawiała May, rośnie także irracjonalna złość i twardość po stronie kontynentalnej. Tak naprawdę zarówno Paryż, jak i Berlin (a ich stanowisko będzie obok Dublina kluczowe) mogą bez poważniejszego ryzyka pozwolić sobie na wywołanie perturbacji albo i nawet kryzysu politycznego w Irlandii, gdyż nie dotknie on przecież ich podstawowych interesów. Eksperci ekonomiczni są w zasadzie zgodni, że na bezumownym wyjściu więcej stracą gospodarczo Brytyjczycy niźli kontynentalna Unia. Nawet gdyby w finale miało się to okazać nie do końca prawdą (np. w wyniku szybkiej i korzystnej dla Anglii umowy o wolnym handlu z USA), to nie ulega wątpliwości, że przekonanie o owej „nierównowadze zagrożeń" towarzyszyć będzie europejskim przywódcom decydującym o taktyce postępowania wobec Johnsona.

DOKUCZYĆ JOHNSONOWI

Co więcej, brytyjski premier jest obiektem szyderstw i pogardy ze strony mediów i opiniotwórczych elit europejskich, gdyż uważa się go (nie bez racji) za ideologicznego wroga Unii, a na domiar złego – przyjaciela albo nawet polityczną kopię Trumpa. Obok Salviniego i Orbána (Kaczyński jest ostatnio traktowany jako „mniejsze zło") Johnson uosabia więc mroczny trend tzw. populizmu, który w dzisiejszym polityczno-medialnym żargonie oznacza tak naprawdę niezgodę na stosunki panujące obecnie w Unii Europejskiej. Na dodatek ze swą drażniącą ironią oraz błyskotliwością Johnson stanowi także charakterologiczne wyzwanie dla europejskich przywódców. Dokuczyć Johnsonowi – to może być poważny motyw ich działania w najbliższym czasie. W polityce w żadnym razie nie należy bagatelizować tego rodzaju przyczyn i motywów.

Stąd właśnie pytanie, czy Johnson jest w istocie takim hazardzistą, jakim malują go europejskie media? Wiele bowiem wskazuje na to, że tylko w takim przypadku może mieć jakieś szanse na wycofanie z umowy rozdziału o backstopie, co otworzyłoby rychło drogę do nowego brexitowego kompromisu i uporządkowanego odpływania Brytanii od Europy. Tymczasem sam nowy premier mocno zaangażował cały swój (spory na Wyspach) autorytet, aby przekonać Brytyjczyków, iż wie, jak wyjść z unii celnej, a jednocześnie uniknąć hańbiącego dla kraju podziału na dwie strefy celno-handlowe.

„Never mind the backstop, the buck stops here" – tę idiomatyczną grę słów, którą posłużył się Johnson w swym pierwszym wystąpieniu przed drzwiami Downing Street 10, dobrze zapamiętała zapewne większość Anglików. Oznacza ona, że premier bez zastrzeżeń i z pełną świadomością wziął na siebie osobistą odpowiedzialność za uniknięcie backstopu. Na razie jednak nie widać perspektyw, aby używając dotychczasowych narzędzi presji, był w stanie zrobić jakiś wyłom w kontynentalnym murze, zbudowanym przez Europę przeciw Wielkiej Brytanii, niemal jak w czasach napoleońskich. Jeżeli więc Johnson nie decyduje się na użycie środków silniejszych (np. pieniądze i prawo pobytu), to znaczy, że albo nie ma w istocie duszy politycznego hazardzisty i jest już z góry pogodzony z perspektywą kryzysu 31 października. I zaraz potem, po usatysfakcjonowaniu najbardziej antyunijnych zwolenników, siądzie znów do negocjacji z Brukselą, tyle że po, zamiast przed faktem. Albo też musimy założyć, że to, co obserwujemy na razie, to dopiero początek hazardu Johnsona, a do czego zdolny jest prawdziwy polityczny hazardzista, to zobaczymy dopiero za parę tygodni, w miarę zbliżania się historycznej daty 31 października 2019 r.

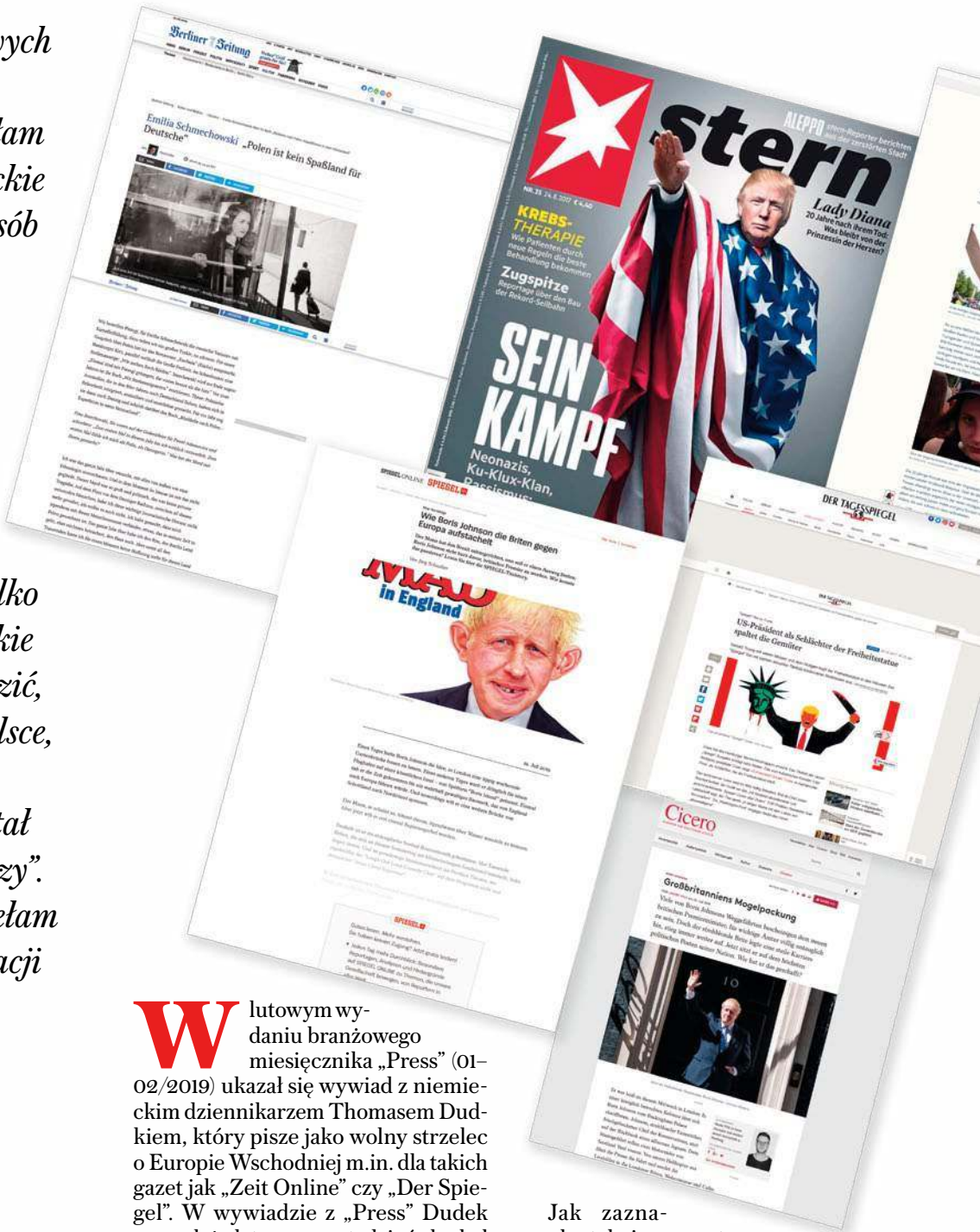


Fot. Hadrian / Shutterstock (2), John Gomez / Shutterstock

eprasa.pl d736cb0a63

Obiektywizm bezobjawowy

Przez kilka lipcowych dni oglądałam, słuchałam i czytałam wyłącznie niemieckie media. W ten sposób powtórzyłam eksperyment niemieckiego dziennikarza Thomasa Dudka, który przez tydzień słuchał i czytał tylko prorządowe polskie media, by sprawdzić, jak informują o Polsce, a jak o świecie. Jak zaznaczył, stał się przez to „głupszy". A jakie ja wyciągnęłam wnioski z obserwacji niemieckiej konkurencji?





ALEKSANDRA RYBIŃSKA

W lutowym wydaniu branżowego miesięcznika „Press" (01–02/2019) ukazał się wywiad z niemieckim dziennikarzem Thomasem Dudkiem, który pisze jako wolny strzelec o Europie Wschodniej m.in. dla takich gazet jak „Zeit Online" czy „Der Spiegel". W wywiadzie z „Press" Dudek wyznał, że latem przez tydzień słuchał i czytał tylko prorządowe (prawicowe) polskie media, by sprawdzić, jak informują o Polsce, a jak o świecie.

Jak zaznaczył, stał się przez to „głupszy", zamiast się dowiedzieć bowiem choćby o romansie prezydenta USA Donalda Trumpa z gwiazdą

eprasa.pl d736cb0a63

porno, był karmiony informacjami o sukcesach rządu, m.in. w walce z suszą, oraz tym, co się pisze za granicą o Polsce. I zabrakło mu obiektywizmu, który – jak przekonuje – jest wszechobecny w niemieckich mediach.

Ponieważ rozpoczął się sezon ogórkowy, a ja (dzięki urlopowi) miałam trochę czasu tego lata, postanowiłam eksperyment powtórzyć. Tyle że oglądałam, słuchałam i czytałam wyłącznie niemieckie media. Nie stałam się może przez to głupsza, ale otrzymałam dowód, że jeśli występuje w nich obiektywizm, to jest on zupełnie bezobjawowy.

NACJONALIŚCI NAD WISŁĄ

Rozpoczęłam eksperyment od niemieckiej telewizji publicznej ZDF, gdzie trafiłam na reportaż o Polsce niejakiej Antje Pieper. Dowiedziałam się z niego, że polską prowincję zamieszkują sympatyczni, ale naiwni wyborcy PiS, którzy chodzą do kościoła, żyją według zasady: Bóg, honor, ojczyzna, cieszą się z 500+ i zupełnie nie rozumieją zagrożenia płynącego z rządów partii Jarosława Kaczyńskiego. Tymczasem PiS formuje oddziały paramilitarne, jak autorka reportażu określa Obronę Terytorialną, które Bóg wie do czego mu w przyszłości posłużą. Ale na szczęście są jeszcze duże miasta, takie jak Gdańsk, które stoją na straży liberalnej demokracji i wolności.

Mimo że pani Pieper pokazała „obie Polski", które jej zdaniem są sobie nad wyraz wrogie, wydźwięk reportażu jest jednoznaczny. Polską rządzą nacjonaliści, którzy uwiedli naiwnych wieśniaków prezentami w formie zasiłków, by móc rządzić i bezkarnie niszczyć demokrację, czyli sądy, opozycję i „Gazetę Wyborczą". Jeszcze nie jest tak źle – jak przekonuje w reportażu Piotr Pacewicz z OKO.press – „represje są bardziej subtelne niż w Turcji". Ale z demokracji pozostały w zasadzie już tylko wybory.

Powiało grozą. Pytanie tylko, czy z powodu stanu demokracji w Polsce, czy postawy niemieckiej telewizji publicznej, która najwyraźniej nie może pozwolić na to, by widz sam uformował sobie opinię na temat sąsiedniego kraju, i na wszelki wypadek mówi mu, co ma myśleć.

> Czy to w „Tagesthemen" w ZDF, czy w reportażu publicznego kanału Arte – wszędzie homoseksualiści są przedstawiani jako ludzie pozbawieni praw, a winę za ich pobicie w Białymstoku ponoszą nie pseudokibice, tylko Kościół katolicki, Jarosław Kaczyński i „Gazeta Polska"

Jeśli chodzi o Polskę, uwagę niemieckich mediów przykuł w lipcu także sprzeciw Warszawy wobec wyboru Fransa Timmermansa na szefa Komisji Europejskiej i objęcie tego stanowiska, m.in. dzięki wparciu Grupy Wyszehradzkiej, przez byłą szefową niemieckiego MON Ursulę von der Leyen. Z Deutsche Welle dowiedziałam się, że to „pyrrusowe zwycięstwo Wyszehradu", a „Süddeutsche Zeitung" dodało, że Polska i inne kraje V4 „niebawem odwrócą się od nowej szefowej



KE". Dlaczego? Bo są rządzone przez nacjonalistów, którzy wcześniej czy później „będą chcieli zagrać antyniemiecką kartą". A Timmermans wcale nie prześladował Warszawy ani Budapesztu, tylko bronił wartości UE. Jedynie „Frankfurter Allgemeine Zeitung" zdobyło się na odrobinę bezstronności i zadeklarowało, że wraz ze wzrostem gospodarczym w Europie Środkowej i Wschodniej rośnie także „pewność siebie" w regionie, czego skutkiem było m.in. zablokowanie kandydatury Timmermansa.

Ale była to tylko maleńka kropla w morzu, gdy doszło bowiem do zakłócenia marszu równości w Białymstoku, z niemieckich przekaźników znów płynął jeden przekaz: złe PiS oraz księża prześladują biednych nadwiślańskich homoseksualistów. Czy to w „Tagesthemen" w ZDF, czy w reportażu publicznego kanału Arte – wszędzie homoseksualiści są przedstawiani jako ludzie pozbawieni praw, a winę za ich pobicie w Białymstoku ponoszą nie pseudokibice, tylko Kościół katolicki, Jarosław Kaczyński i „Gazeta Polska".

ŚWIĘTA GRETA, SZALONY JOHNSON

Thomas Dudek się skarżył, że niczego się nie dowiedział z polskich mediów na temat świata, w tym o ważnych wydarzeniach w USA. Ja natomiast otrzymałam z niemieckich mediów bardzo skrzywiony obraz świata. Zafarbowany ideologicznie, w końcu dziennikarze na Zachodzie dawno zamienili się w aktywistów, których zadaniem jest forsowanie lewicowej agendy politycznej. Nic dziwnego, że Trump był przedstawiany w nich jako polityk „nieobliczalny" („Tagesspiegel"), który ma „skłonności autorytarne" („Die Welt"), i choć jest „szalony" („Bild"), „w sposób strategiczny i przemyślany posługuje się bronią rasizmu" (znów „Die Welt"). W skrócie: szalony i okrutny dyktator, który wszystkich nienawidzi.

Niewiele lepiej w oczach niemieckich mediów wypadł nowy brytyjski premier Boris Johnson. „W bogatej historii brytyjskiego parlamentaryzmu niewielu było kandydatów, którzy na pierwszy rzut oka, pod względem fachowym i charakterologicznym, tak bardzo nie nadawali się do tej roli" – ironizowała gazeta „Süddeutsche Zeitung", wystawiając Johnsonowi podobną ocenę, jaką wystawiła niegdyś Trumpowi, gdy ten rozpoczynał swoją kadencję jako prezydent USA. Tak więc Johnson – jak się dowiedziałam – jest szalony, komiczny, żałosny, zuchwały, śmieszny, niepoważny.

Zaczęłam się zastanawiać, jak Johnson w takim razie zrobił polityczną karierę i został nowym lokatorem Downing Street no. 10. I wkrótce wszystko okazało się jasne. Wisienką na torcie była oczywiście okładka niemieckiego tygodnika „Der Spiegel", na której Johnson widnieje jako postać z kultowego amerykańskiego komiksu satyrycznego „Mad" z dopiskiem: „Mad in England" (Szalony w Wielkiej Brytanii) – jak Boris Johnson podjudza swoich rodaków przeciwko UE.

Trump i Johnson to wariaci i śmiecie, za to 16-letnia Szwedka Greta Thunberg, liderka klimatycznych protestów Fridays for Future, jest świętą. Z fascynacją śledziłam medialne doniesienia o przedstawicielce nowej świeckiej ekologicznej religii lewicy. „Greta wpływa na nasze myślenie. Zaczynamy mieć wyrzuty sumienia, gdy w sklepie kupujemy brazylijskie mango" – pisze, z należytą pobożnością, „Die Welt", a „Stern" przekonuje entuzjastycznie, że „rewolucja jest kobietą". Tygodnik „Zeit" natomiast ogłasza nastolatkę z aspergerem „prorokiem klimatu", od której Kościoły „mogą się jeszcze wiele nauczyć". Autor artykułu Erik Flügge uważa, że obraz świętej dobrzej pasuje do Thunberg, a „Focus" zastanawia się, czy młodej Szwedce może się udać „zmiana świata" na lepszy. Współczuję Niemcom, którzy muszą te dyrdymały na co dzień czytać i oglądać.

ZATKAĆ MORDY PODŻEGACZOM

Jedna święta to oczywiście o wiele za mało. Dlatego obok Thunberg pojawiła się szybko druga prorok – Carola Rackete, kapitan statku niemieckiej organizacji Sea Watch, wyławiającej imigrantów z Morza Śródziemnego u wybrzeży Libii. Pani kapitan została zatrzymana przez Włochy i wtrącona do aresztu przez – oczywiście – złego premiera Matteo Salviniego. Została wprawdzie szybko wypuszczona na wolność, ale na beatyfikację starczyło. „Die Welt" porównało Rackete do dziewicy orleańskiej Friedricha Schillera, a „Spiegel" nadał jej tytuł „cichej rebeliantki", która „postawiła się Salviniemu" i dalej będzie przewozić imigrantów na swojej arce Noego. W telewizji ARD dyskutowano nawet o tym, czy należałoby jej przyznać Pokojową Nagrodę Nobla.

Klimatyczna histeria, czyli emocjonalny fundament nowej religii, nie byłaby oczywiście kompletna bez obaw aktywistów Fridays For Future przed klimatycznym zniszczeniem, które mogliśmy w minionym tygodniu znaleźć w „Spieglu". „Jeśli nie dotrzymamy celów klimatycznych, to nie wiem, co dalej" – martwiła się 18-letnia Ragna. Świat może się skończyć.

Na pewno jednak skończyła się logika i przyzwoitość, gdy niemieckie media rzuciły się na polityków Alternatywy dla Niemiec (AfD) po tym, jak imigrant z Erytrei wtrącił ośmioletniego chłopca i jego matkę pod nadjeżdżający pociąg na dworcu we Frankfurcie nad Menem. Chłopiec zginął. Jak się później okazało, Erytrejczyk był poszukiwany przez szwajcarską policję. Pytanie jednego z polityków AfD na Twitterze, ilu jeszcze musi zginąć, by zakończyć politykę otwartych ramion wobec uchodźców, rozpętało burzę w mediach. Zamiast skupić się na problemie (to nie pierwszy taki incydent, mnożą się też ataki nożowników), zwrócono się przeciw AfD, zarzucając partii, że wykorzystuje śmierć chłopca do gry politycznej i jest „obrzydliwa". Z „Tagesspiegel" dowiedziałam się więc, że „AfD demonizuje ludzi z powodu ich wyglądu", a „Frankfurter Rundschau" pisało bez ogródek: „Zamknijcie mordy, podżegacze!", by zdusić niewygodną dyskusję. „Przemoc istnieje, bo istnieją sk...syny, a nie, bo istnieją cudzoziemcy" – czytamy na łamach gazety.

Czego się więc dowiedziałam, śledząc niemieckie media przez te letnie dni? Że łatwiej jest się samemu okłamywać, niż spojrzeć prawdzie w oczy. W każdym razie za Odrą.

eprasa.pl d736cb0a63

Cicha rewolucja na Ukrainie

Jeśli nie zaczniemy bić dziś na alarm i natychmiast realizować przemyślanej wieloletniej strategii, to już wkrótce mogą nastąpić zmiany, które negatywnie odbiją się na życiu wielu tysięcy polskich rodzin. A dorobek ostatnich kilkunastu lat zostanie wystawiony na wielkie ryzyko. O co chodzi? O rolnictwo i przetwórstwo żywności



MAREK BUDZISZ

Na początek kilka, zdawałoby się, niepowiązanych z sobą informacji.

Pod koniec lipca rząd Ukrainy poinformował o zawarciu dwóch umów kredytowych o łącznej wartości 250 mln euro z firmą Cargill Financial Services (CFS). W transakcji tej nie byłoby niczego intrygującego, gdyby nie informacja, że dwie transze kredytu, pierwsza 100 mln i druga 150 mln euro, będą oprocentowane odpowiednio w wysokości 5,15 i 6,25 proc. w skali rocznej, podczas gdy na międzynarodowych rynkach finansowych rządowe obligacje Ukrainy plasowane są na poziomie przekraczającym 8 proc. Z jakiego powodu prywatna instytucja finansowa zdecydowała się na zawarcie umowy tego rodzaju?

Nieco światła na ewentualne motywy tego kroku może rzucać to, że firma CFS jest finansowym ramieniem koncernu o tej samej nazwie, będącego światowym potentatem w produkcji pasz dla rolnictwa i handlu zbożem. Obecna jest dziś w ponad 120 krajach, gdzie zatrudnia ponad 150 tys. pracowników. Na polskim rynku jest jednym z największych wytwórców pasz, w tym przede wszystkim dla drobiu, którego Polska jest największym w Unii Europejskiej producentem. Cargill w 2018 r. przejął też nowosądecki Konspol, założony przez zmarłego niedawno Kazimierza Pazgana, będący jednym z największych polskich przetwórców mięsa drobiowego. Jeśli zatem amerykański prywatny koncern zawiera z władzami w Kijowie porozumienie kredytowe na takich warunkach, musi to oznaczać, że chce być mocno obecny na tamtejszym rynku.

Amerykanie nie są jedynymi graczami, którzy uważnie przyglądają się ukraińskiemu rynkowi rolnemu. Właśnie poinformowano, że ukraiński holding działający w rolnictwie – średniej

eprasa.pl d736cb0a63

wielkości Svarog West Group, mający w swoim banku 80 tys. ha ziemi – sprzedaje firmy z grupy, które dzierżawią 20 tys. ha. Transakcja jest wyceniana przez ekspertów na 22–24 mln dol. Z pieniędzmi raczej nie będzie problemu, bo bardzo prawdopodobnym nabywcą jest SALIC, specjalny fundusz powołany przez Arabię Saudyjską właśnie po to, aby inwestując w firmy rolnicze na całym świecie, dbać o żywnościowe bezpieczeństwo państwa. W ub.r. Saudyjczycy kupili inną ukraińską firmę z branży rolniczej – koncern Mria, który gospodarował na 195 tys. ha ukraińskich czarnoziemów i jest w pierwszej dziesiątce największych firm rolnych naszego sąsiada.

WIELKI POTENCJAŁ POTRZEBUJE WIELKICH INWESTYCJI

Powodem obu transakcji jest nie tylko znaczący wzrost cen, za jakie sprzedaje się na Ukrainie umowy dzierżawy tamtejszej ziemi, choć i tego motywu nie można lekceważyć. Zwłaszcza że powiązane najczęściej z lokalnymi oligarchami koncerny przejmowały upadające kołchozy, płacąc symboliczne kwoty, a obecnie zawierane umowy na ich sprzedaż opiewają na miliony euro.

Inną przyczyną jest też ciężar długów, z jakimi muszą się zmagać ukraińskie koncerny rolnicze i trudności z pozyskaniem kapitałów. Jak wynika z ostatniego raportu opublikowanego przez Ukraiński Klub Agrobiznesu, spośród 12 dużych holdingów rolniczych notowanych na światowych giełdach tylko czterem udało się poprawić w ub.r. swoją zdolność obsługi zaciągniętych kredytów, ale gdyby porównywać obecną sytuację z rokiem 2014, to kondycja niemal wszystkich uległa regresowi. O pogorszeniu się rentowności sektora raportuje też ukraiński odpowiednik NBP, sygnalizując, że taka sytuacja zmniejszy możliwość zaciągania nowych kredytów.

Są one niezbędne, bo dziś w ukraińskim rolnictwie używa się średnio czterokrotnie mniej nawozów niż w Unii Europejskiej, a tamtejsi farmerzy i wielkie holdingi rolne mają znacznie mniej nowoczesnego sprzętu niż państwa europejskie, Polski nie wyłączając. Potrzebne są też inwestycje w przetwórstwo oraz infrastrukturę magazynową i transport.

O możliwym, a na razie niewykorzystanym potencjale ukraińskich czarnoziemów świadczy dziś to, że nawet mimo tego względnego zapóźnienia inwestycyjnego średnie plony są tam na poziomie Unii Europejskiej. Zdaniem specjalistów z Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju mogą one w najbliższych latach, pod warunkiem że nastąpią niezbędne inwestycje, się podwoić.

Zresztą po Rewolucji Godności inwestycje zagraniczne w ukraińskim sektorze rolnym zaczęły rosnąć, ale o przełomie nie można na razie mówić, bo rządy oligarchów, korupcja i „sądy na telefon" skutecznie zniechęciły wielu potencjalnych zainteresowanych. Ale nawet mimo to udało się sporo zrobić. W ostatnim 10-leciu ukraiński sektor rolny stał się trzecią pod względem wielkości gałęzią tamtejszej gospodarki. W ostatnich trzech latach jego udział w ukraińskim PKB kształtuje się na poziomie 10–12 proc. W 2017 r. nominalny udział sektora rolnego w ukraińskiej gospodarce wyniósł 11,5 mld dol., co w porównaniu z rokiem 2016 stanowiło wzrost o 6 proc. Waga tego sektora jest jeszcze większa dla ukraińskiego eksportu. W latach 2010–2017 jego udział w całości eksportu z Ukrainy wzrósł z 21 do 44 proc. i jest przeszło dwa razy większy niż eksport drugiej pod względem wielkości gałęzi ukraińskiej gospodarki (żelazo i metale nieżelazne).

> O możliwym, a na razie niewykorzystanym potencjale ukraińskich czarnoziemów świadczy dziś to, że nawet mimo zapóźnienia inwestycyjnego średnie plony są tam na poziomie Unii Europejskiej

Według raportu kijowskiego oddziału KPMG w 2018 r. na ukraiński sektor rolny przypadało ponad 70 proc. wszystkich inwestycji zagranicznych, jakie przyciągnął kraj. Podmioty zagraniczne zainwestowały w ukraińskie rolnictwo i sektor przetwórstwa żywności 367 mln dol., co stanowi dwukrotny wzrost w porównaniu z rokiem poprzednim. O ile za czasów Poroszenki napływ zagranicznych funduszy do ukraińskiego sektora rolnego można byłoby porównać do leniwie płynącego strumienia, o tyle zapowiedzi reform, walki z korupcją i nieprawidłowościami w sądownictwie, co zapowiadał w trakcie swej kampanii Wołodymir Zełenski, mogą doprowadzić do tego, że ów strumyczek przemieni się w rwącą rzekę.

Na razie miejscowi inwestorzy i międzynarodowe holdingi, takie jak Cargill, postawiły na rozbudowę infrastruktury umożliwiającej eksport ukraińskiego zboża. Jak oceniają specjaliści z branżowego portalu Porty Ukrainy, w ciągu ostatnich pięciu lat prywatne inwestycje w rozbudowę infrastruktury przeładunkowej i magazynowej osiągnęły poziom 1 mld dol. W ciągu ostatnich trzech lat zrealizowano 15 dużych projektów, które o 17 mln ton podniosły możliwość ukraińskiego eksportu. W ub.r. nasz wschodni sąsiad załadował w swych portach 42 mln ton zbóż, mając możliwość napełnienia ładowni statków 68 mln ton.

Dlatego zainteresowanie ukraiński rynkiem rolnym nie słabnie. Obecnie na różnych etapach realizacji znajduje się kolejnych 20 inwestycji o łącznej wartości 1,2 mld dol. Ich zakończenie pozwoli zwiększyć możliwości eksportu ukraińskiej produkcji rolnej o kolejne 6 mln ton i dodatkowo zmniejszyć średni koszt frachtu o połowę. Ten boom w ukraińskich portach trzeba traktować jako przygotowywanie się światowych graczy do tego, co może nastąpić w przyszłości, kiedy do Europy, krajów arabskich i Afryki zacznie płynąć fala ukraińskiego zboża i innych produktów rolnych.

Pewien przedsmak tego, co może się stać, widzimy już teraz. W ostatnich dniach lipca poinformowano, że przyznane Ukrainie przez Unię Europejską kontyngenty eksportowe w większości zostały już wykorzystanie, a przecież żniwa dopiero się zaczynają. Od początku roku do końca maja Ukraina sprzedała na europejskich rynkach żywność wartości

Fot. Shutterstock

eprasa.pl d736cb0a63

3,1 mld euro, co w porównaniu z tymi samymi miesiącami poprzedniego roku stanowi wzrost o 37 proc. Kontyngenty eksportowe na europejski rynek zostały już wykorzystane w przypadku produktów, takich jak cukier, miód, kasze i mąka, mąka ziemniaczana, pszenica, kukurydza, olej słonecznikowy, sok jabłkowy. Byłoby naiwnością sądzić, że kontyngenty na import z Ukrainy nie będą rosnąć. Tym bardziej jeśli ruszy fala europejskich inwestycji w tamtejsze rolnictwo, to lobby inwestorów wielokrotnie wzmocni naciski w Brukseli na ich powiększenie.

CZAS NA PRYWATYZACJĘ CZARNOZIEMÓW

Jednym z katalizatorów może się stać odkładana przez wiele poprzednich rządów w Kijowie decyzja o dopuszczeniu prywatyzacji ukraińskich czarnoziemów. Jej rozpoczęcie jest jednym z warunków zawarcia kolejnej umowy z Międzynarodowym Funduszem Walutowym. Jest ona Ukrainie niezbędna, bo – jak podsumowali ostatnio analitycy Raiffeisen Banku – tylko w tym roku Kijów potrzebuje 6–8 mld dol., a w latach następnych jeszcze więcej – spłaty w 2020 r. to 16,8 mld, w 2021 r. – 18,5 mld. Zresztą w zwycięskim obozie Zełenskiego właściwie nie ma wątpliwości, że trzeba rozpocząć prywatyzację ziemi. Mówi o tym wprost w jednym z przedwyborczych wywiadów Ajwaras Abromovičius, były minister gospodarki, obecnie doradca Zełenskiego, typowany jako jeden z możliwych kandydatów na nowego premiera Ukrainy. Jak dodaje, być może zostaną wprowadzone ograniczenia na bezpośrednią sprzedaż ziemi cudzoziemcom, trochę zapewne na podobieństwo moratorium, które funkcjonowało w Polsce po akcesie do Unii, ale z pewnością spółki nie będą dyskryminowane. A to oznacza, że tak jak w Polsce po 2004 r., a na Ukrainie obecnie, zagraniczny kapitał wchodził będzie do ukraińskiego rolnictwa „tylnymi drzwiami", przejmując udziały w spółkach. Tylko że skala tego, co obserwowaliśmy w Polsce, z tym, co może się wydarzyć na Ukrainie, jest nieporównywalna.

70 największych spółek działających na Ukrainie w tej branży kontroluje ponad 6 mln ha, często najlepszej ziemi. Dla porównania cały obszar, na którym pracują polscy rolnicy, to w 2017 r. według GUS było 10,7 mln ha pod zasiewami. Na Ukrainie nie są stosowane europejskie normy w zakresie ochrony środowiska, które zresztą ulegają stale zaostrzeniu, utrudniając życie chcącym inwestować w polskim sektorze rolnym.

Już dziś nad Wisłą uzyskanie zgody na lokalizację nowego kurnika dla drobiu czy dużej obory dla bydła mlecznego zajmuje ponad rok, a w przypadku fermy trzody uzyskanie stosownych zezwoleń to droga przez mękę. Rolnicy w całym kraju alarmują, że mają problemy z przeprowadzeniem żniw, bo pracujące nocą kombajny zdaniem przenoszących się na wieś mieszkańców miast zakłócają ciszę i interweniuje policja. A we współczesnym rolnictwie maszyna, która warta jest kilkaset tysięcy złotych, nie może pracować tylko kilka godzin dziennie, bo nakłady poniesione na jej zakup nigdy się nie zwrócą. Na Ukrainie takich ograniczeń nie ma, a i efektywność pracy jest wielokrotnie większa, bo nie ma tam szachownicy pól, jaką nadal spotkać możemy w wielu częściach Polski.

> Według raportu kijowskiego oddziału KPMG w 2018 r. na ukraiński sektor rolny przypadało ponad 70 proc. wszystkich inwestycji zagranicznych, jakie przyciągnął ten kraj

Rosja po 2014 r. udowodniła, że we współczesnym rolnictwie, zwłaszcza w produkcji zbóż, w ciągu kilku lat można osiągnąć przełom i stać się światowym liderem w eksporcie. Teraz na tę drogę chce wkroczyć Ukraina. Ma najlepsze na świecie ziemie, będzie miała też zachodnią technologię i zagraniczny kapitał, nie będzie zaś miała ani europejskiej biurokracji, ani europejskich ograniczeń.

TRUDNE WYZWANIE DLA POLSKI

Co to w perspektywie 3–5 lat oznacza dla polskiego rolnictwa i polskiego sektora przetwórstwa żywności? Nietrudno odpowiedzieć sobie na tak postawione pytanie. Unia będzie zwiększała bezcłowe kontyngenty dla Ukrainy, bo tak zrobiła w 2017 r. i tak będzie w przyszłości. Tym bardziej że argument na rzecz polityki tego rodzaju jest oczywisty – wsparcie dla realizowanych przez Kijów reform oraz dbałość o to, aby żywność w Unii nie drożała.

Z punktu widzenia Polski boom w ukraińskim rolnictwie może być zarówno zagrożeniem, jak i szansą. Zagrożenia są oczywiste, będziemy musieli konkurować z tamtejszymi producentami. Ryzyka są wielkie, bo warto się zastanowić choćby nad tym, jak polski sektor produkcji cukru sobie poradzi, jeśli np. ukraińskie cukrownie przejmą niemieckie koncerny. Albo jak zareagują nasi sadownicy na narastającą konkurencję ze Wschodu. Narażeni będą też producenci mięsa drobiowego, którego wytwarzamy dziś najwięcej w Europie. Wszędzie będziemy się zmagać z ukraińską konkurencją.

Marże w każdym sektorze polskiego rolnictwa spadną, co z pewnością odczują rolnicy. I to w sytuacji, kiedy w minionych latach wydali sporo na inwestycje, a teraz przyjdzie im je spłacać. Do tego, co się wydarzy, trzeba być przygotowanym, trzeba mieć strategię, instrumenty finansowe, pomysły i zdolne je wdrażać podmioty, zarówno prywatne, jak i instytucje publiczne.

Ukraina, paradoksalnie, oczywiście o ile zapowiadane tam reformy rozpoczną się i powiodą, może się stać dla Polski wielką szansą. Dla polskiego kapitału polem ekspansji, dla polskich przetwórców kolejnym ogniwem w łańcuchu zaopatrzenia. Jednak we współczesnym świecie nie osiągnie się tego bez wsparcia rządu, bez prawnej, politycznej i kapitałowej ochrony państwa polskiego. Bez programu i determinacji w jego wdrażaniu.

Czy mamy taki „wielki plan"? Jeśli nie, to apeluję, aby zacząć się intensywnie przygotowywać do tego, co będzie się dziać na Ukrainie. Jeśli prześpimy ten czas, to możemy być pewni, że przebudzenie nie będzie przyjemne.

eprasa.pl d736cb0a63



Hit tygodnia

BMW Vision M Next Concept – jak się spodoba, to będzie

Tak, podobno BMW stwierdziło, że jeśli koncepcyjny BMW Vision M Next się spodoba, to jest szansa, że trafi do produkcji. Jeśli zapomnimy na moment o dość upiornym malowaniu srebrno-pomarańczowym wpadającym w czerwień (po angielsku brzmi jakby lepiej: Thrilling Orange, czyli powiedzmy, wstrząsający pomarańczowy. Na swój sposób rzeczywiście wstrząsa).

Co znajdziemy pod maską konceptu? Układ hybrydowy, czyli motor elektryczny i czterocylindrowy benzynowy silnik, które razem generują 600 KM. Pojazd do setki potrzebuje 3 s, a prędkość maksymalna to 300 km/h. Podobno może być jeszcze szybciej, gdy się wciśnie funkcję Boost+. Na samym silniku eklektycznym Vision M Next może przejechać do 100 km. Warto dodać, że drzwi otwierają się po rozpoznaniu twarzy kierowcy, a samo wnętrze wygląda jak kokpit statku kosmicznego. W końcu to koncept.

AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

W wielu krajach władze dofinansowują kupno elektrycznego samochodu przez klienta indywidualnego. A w naszym? Według danych ponad 98 proc. pojazdów elektrycznych to firmowa flota. Ale może się to zmienić, gdyż Senat właśnie przyjął odpowiednie zmiany w prawie. Teraz trzeba czekać na podpis prezydenta. Na razie nie wiadomo, jak będą wyglądać owe dopłaty, tj. ile państwo zdecyduje się dołożyć do kupna auta elektrycznego.

Elektryczne riksze? Choć to temat nam raczej odległy, ale na czasie, bo ekologiczny. Podobno w Indiach od 2023 r. wszystkie trójkołowce będą elektryczne. Z kolei do 2025 r. wszystkie jednoślady do 150 cm sześc. również będą elektryczne.

Dokumenty samochodu w telefonie? Jeśli ktoś potrzebuje, może teraz w swoim smartfonie „przechowywać" dowód rejestracyjny i OC pojazdu. Wszystko to za sprawą aplikacji mObywatel, w której pojawiła się nowa opcja: mPojazd. Jakkolwiek patrzeć, XXI w.

Citroën zaprezentował kolejny pojazd koncepcyjny, nazywa się 19_19 Concept. Jest to kolejny samochód studyjny, który celebruje setną rocznicę narodzin marki i jednocześnie wskazuje drogę rozwoju elektromobilności pozamiejskiej. Wygląd 19_19 Concept inspirowany jest lotnictwem. Inteligentne zawieszenie daje poczucie unoszenia się nad drogą. Ten innowacyjny, futurystyczny projekt ma zasięg wynoszący 800 km, wyposażenie umożliwiające autonomiczną jazdę na poziomie 4 oraz osobistego asystenta, który pozostaje w stałej interakcji z pasażerami. W pełni przeszklone nadwozie 19_19 Concept wygląda jak przezroczysta kapsuła. Z dwóch stron kulistego kokpitu umieszczone są elementy w kształcie skrzydeł samolotu, które wzmacniają wrażenie solidności i optycznie poszerzają wnętrze samochodu.



Przygotował
Paweł Gadaczek

eprasa.pl d736cb0a63

O co chodzi NIK?



Najwyższa Izba Kontroli przedstawiła alarmistyczny raport, z którego wynika, że państwo polskie nie poradziło sobie z przejęciem pieczy nad systemem poboru opłat ViaTOLL. Raport stał się pożywką dla mediów nieprzychylnych obecnemu rządowi, które ogłosiły, że mamy do czynienia z porażką i zaniedbaniem administracji. A jaka jest prawda?

Gdy się przyjrzeć, jak działa dziś tzw. ViaTOLL, czyli elektroniczny system poboru opłat za przejazd po drogach ekspresowych, krajowych i autostradach dla ciężarówek, autobusów i aut dostawczych, trudno dostrzec problemy, o których rozpisuje się NIK. System ViaTOLL został stworzony przez konsorcjum firm, na czele którego stała austriacka spółka Kapsch TrafficCom AG. System ten był zarządzany przez Austriaków od momentu jego powstania w lipcu 2011 r. aż do 2 listopada 2018 r., kiedy pieczę nad nim przejął Główny Inspektorat Transportu Drogowego (GITD). Intencją przejęcia strategicznego dla państwa systemu było wyeliminowanie zagranicznego podmiotu zewnętrznego. Zdaniem NIK administracja państwowa przez siedem lat nie przygotowała się należycie do tego zadania. W odpowiedzi na raport NIK swoje dane na temat funkcjonowania Krajowego Systemu Poboru Opłat (KSPO) zaprezentował GITD.

O tym, jak działa dziś ViaTOLL, jak przebiegło jego przejęcie od Kapsch AG i o kontrowersjach związanych z rzekomymi błędami wskazanymi przez NIK rozmawiamy z ***dr. inż. Alvinem Gajadhurem***, głównym inspektorem transportu drogowego.

Minęło dziewięć miesięcy, odkąd kierowany przez pana GITD przejął kontrolę nad KSPO. Jednocześnie w ostatnich dniach do mediów trafiły wyniki kontroli NIK, które rysują bardzo negatywny obraz procesu przejmowania kontroli przez państwo nad austriacką spółką. Czy ma pan poczucie porażki?

Alvin Gajadhur: Przede wszystkim należy podkreślić, że kontrola NIK była prowadzona jeszcze przed przejęciem systemu przez GITD. NIK wyciągnęła zatem wnioski bez pełnej wiedzy dotyczącej zastosowanych procesów i scenariuszy oraz finalnej realizacji zadania. Tymczasem opublikowane wyniki kontroli mogą stwarzać błędne wrażenie, że Izba wykazała nieprawidłowości w działaniach GITD. Ja mogę dziś z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że proces przejęcia systemu został przeprowadzony przez GITD w sposób zorganizowany i profesjonalny. Wszystko przebiegło przy zapewnieniu ciągłości działania systemu, nie odnotowano żadnych utrudnień dla kierowców.

NIK jednak podniosła w swoich wnioskach, że przez siedem lat administracja rządowa nie była w stanie przygotować się do przejęcia kontroli nad systemem i wskazała, że istniało ryzyko jego zawieszenia w czasie procesu przejęcia.

Praktyka pokazała, że obawy NIK się nie sprawdziły, a administracja rządowa bardzo dobrze wywiązała się ze swojego zadania. To trochę absurdalna sytuacja, kiedy odpowiada się na zarzuty

eprasa.pl d736cb0a63

typu, że mogło dojść do awarii, ale nie doszło. Zbudowaliśmy solidne zaplecze organizacyjno-kadrowe, złożone m.in. z ekspertów z obszaru IT, systemów transportowych i drogowych. Przygotowaliśmy się najlepiej, jak było można, do przejęcia zarządzania KSPO, czego efektem było wyeliminowanie zagrożenia, o którym wspomina NIK. Nie wiadomo, z czego mamy się tłumaczyć.

Ale NIK wytyka, że praktycznie do ostatnich tygodni przed przejęciem KSPO państwo polskie nie miało dostępu do wiedzy technicznej, gdyż pełnię tzw. know-how miał Kapsch.

Rzeczywiście proces przejmowania systemu był skomplikowany. Wynikało to jednak z postanowień umowy podpisanej przez skarb państwa w 2010 r. z konsorcjum firm, w którym liderem był Kapsch TrafficCom. Warunki niekorzystnej umowy uniemożliwiły m.in. dokonanie wcześniejszego wglądu do systemu. Możliwość zapoznania się z dokumentacją i środowiskiem teleinformatycznym nastąpiła dopiero miesiąc przed przejęciem systemu przez GITD. Mieliśmy zatem bardzo mało czasu na to, by się dobrze przygotować do przejęcia, a jednak dokonaliśmy tego bez zakłóceń. GITD przejął system w ciągu zaledwie 10 miesięcy od wejścia w życie przepisów umożliwiających instytucji realizację tego zadania. Warto podkreślić, że umowa z poprzednim wykonawcą systemu nie zabezpieczała w pełni interesów państwa. Może szkoda, że NIK nie zainteresowała się tą umową w momencie jej podpisywania w 2010 r. Gdyby tak zrobił, dotarłaby do źródeł wszelkich problemów i zagrożeń w utrzymaniu ciągłości systemu, z którymi jednak – jeszcze raz powtarzam – sobie poradziliśmy. GITD reagował elastycznie, dostosowując działania do pojawiających się trudności, finalnie zapewniając skuteczne, bezpieczne i niezakłócone przejęcie KSPO.

Krytycy zwracają uwagę, że jednak nie udało się w pełni wyeliminować z nadzoru nad systemem poprzedniego zarządcy, co może dowodzić, że państwo nie zdobyło wystarczającej wiedzy do przejęcia pełnej kontroli nad KSPO.

Obecnie zwiększenie realnej kontroli nad zadaniami realizowanymi przez podmioty prywatne zaangażowane w obsługę systemu zapewnił wybór instytucji publicznej realizującej dla GITD zadania z tym związane. Funkcję tę pełni Instytut Łączności – państwowa placówka badawcza, która stanowi część zaplecza naukowego kraju. Zakres zadań realizowanych przez GITD i instytut w związku z funkcjonowaniem elektronicznego systemu ma charakter komplementarny. Instytut Łączności jest odpowiedzialny za zakres techniczny i funkcjonowanie systemu, natomiast po stronie GITD i jego podwykonawców znajduje się zarządzanie oraz realizacja zadań administracyjnych i procesów operacyjnych w obszarach rozliczeń i płatności, czynności kontrolnych, nadzoru nad infrastrukturą przydrożną, manualnego poboru opłat drogowych oraz utrzymania centrów danych. GITD sukcesywnie przejmuje też kolejne obszary obsługi systemu. Wśród podmiotów zaangażowanych w obsługę jest rzeczywiście także firma Kapsch Telematic Services sp. z o.o., ale stanowi ona jedynie wsparcie dla instytutu w obszarze utrzymania systemu centralnego i integracji wybranych podwykonawców.

NIK wskazywała również, że przez siedem lat, dotyczy to więc różnych rządów, nie powstała koncepcja nowoczesnego systemu poboru opłat, skutkiem czego obecny wciąż działa na technologii sprzed dziewięciu lat, co jest niemal epoką w rozwoju techniki.

Rzeczywiście z uwagi na wiek stosowanych rozwiązań obecny system jest obciążony „długiem technologicznym", nie ma jednak mowy o braku koncepcji zastąpienia go nowoczesnymi rozwiązaniami. Równolegle z przejęciem i utrzymaniem dotychczasowego systemu GITD wraz z Ministerstwem Infrastruktury i Ministerstwem Cyfryzacji pracuje nad budową nowoczesnego państwowego Nowego Krajowego Systemu Poboru Opłat (NKSPO). Będzie to jedno z najnowocześniejszych rozwiązań w Europie w zakresie poboru opłat. Wykorzystane zostaną nowoczesne i przyjazne w obsłudze rozwiązania zapewniające komfort użytkownikom. Projektowany system zapewni kompatybilność i współpracę z innymi systemami teleinformatycznymi administracji państwowej, poprawę bezpieczeństwa i efektywności ruchu drogowego oraz bezpieczeństwo danych. Współpracujemy w tym zakresie z Instytutem Łączności, który aktywnie uczestniczy w pracach nad budową nowego rozwiązania. Obecny system będzie utrzymywany wyłącznie do czasu wdrożenia NKSPO.

Kiedy zatem możemy się spodziewać uruchomienia nowego KSPO?

Przewidujemy, że nowy system zostanie wdrożony w 2021 r. Chcę mocno podkreślić, że nie byłoby to możliwe, gdyby system wciąż pozostawał w rękach prywatnego konsorcjum, które – sytuacją wykreowaną umową z 2010 r. – samodzielnie sprawowałoby kontrolę nad jakością realizowanych przez siebie zadań. W NKSPO zostaną zastosowane nowoczesne rozwiązania oparte na dynamicznie rozwijającej się technologii GNSS, które ułatwią korzystanie z systemu jego użytkownikom. Otwarta architektura systemu umożliwić jego rozbudowę o kolejne moduły. Bardzo duże wsparcie przy projektowaniu nowego polskiego systemu GITD otrzymuje od Ministerstwa Infrastruktury kierowanego przez ministra Andrzeja Adamczyka i resortu cyfryzacji kierowanego przez ministra Marka Zagórskiego.

Na zakończenie chcę podkreślić, że mimo iż obecny system KSPO nie będzie już technologicznie rozwijany, to pod nadzorem GITD od listopada 2018 r. do końca czerwca 2019 r. przekazano blisko 1,3 mld zł do Krajowego Funduszu Drogowego (KFD), co daje średnie wpływy na poziomie 5,4 mln zł dziennie. Po przejęciu systemu przez GITD wpływy do KFD były wyższe o blisko 3 mln zł w porównaniu do analogicznego okresu przed przejęciem systemu (listopad 2017 r. – czerwiec 2018 r.). Jednocześnie koszty związane z funkcjonowaniem elektronicznego sytemu poboru opłat wynoszą średnio ok. 23 mln zł miesięcznie i są o kilkaset tysięcy złotych miesięcznie niższe od kosztów generowanych przez poprzedniego nadzorcę.

31/07/19/F

eprasa.pl d736cb0a63

NAJ NIE BIERZE SIĘ ZNIKĄD

NAJ musi być doskonałe z każdej strony. Paliwa LOTOS powstają w najnowocześniejszej rafinerii w Europie. Tworzą je zaangażowani w swoją pracę eksperci oraz ludzie z pasją.

www.naj.lotos.pl



eprasa.pl d736cb0a63

NAJ Z KAŻDEJ STRONY



Droga do NAJ jest długa. Dlatego jako pierwsi połączyliśmy Gdańsk z Warszawą **NIEBIESKIM SZLAKIEM** elektromobilności, tworząc sieć stacji ładowania samochodów elektrycznych.

LOTOS

eprasa.pl d736cb0a63

Przyszły wakacje i każdy myśli o urlopie.
Proponujemy kilka gadżetów, które mogą się okazać całkiem przydatne... w różnorakich sytuacjach!





Apteczka

Gdy ktoś ma samochód, to na pewno ma ją na stanie. Ale czy nie warto się w nią zaopatrzyć, jeśli zdecydujemy się na wakacje bez samochodu albo gdy nie mamy auta? Taki zestaw przydaje się niezależnie od tego, czy urlop będzie stacjonarny, czy będziemy się przemieszczać. Cenowo raczej nie odczujemy zakupu, a może się on okazać niezbędny, czego oczywiście nikomu nie życzymy.

Cena: od kilkudziesięciu do kilkuset złotych

Powerbank

Koniecznie! Nie powinniśmy zapomnieć o tym urządzeniu, które może się okazać bardzo przydatne. Za jego pomocą doładujemy smartfona w miejscach, gdzie nie ma prądu. Wiadomo, im bardziej pojemny powerbank, tym lepiej, choć bez wątpienia przełoży się to na cenę.

Cena: 50–400 zł

Na owady, do opalania i na oparzenia



Nie powinniśmy zapominać o konsekwencjach wakacyjnych w postaci np. oparzeń słonecznych czy pogryzień przez owady. Koniecznie zaopatrzmy się w odpowiedni krem do opalania, środek na oparzenia i coś, co pomoże się uporać z plagą insektów.

Cena: od kilkunastu do kilkudziesięciu złotych



Przenośny grill

Na urlopie nie można zapomnieć o odżywianiu we własnym zakresie, zwłaszcza gdy wybieramy się grupą. Bez wątpienia przenośny grill może się przydać w przygotowaniu posiłku dla kilku osób. Oferta producentów jest bardzo duża, więc nie powinno być problemu w kupnie takiego grilla, jaki nam najbardziej będzie pasował. Dla oszczędnych bądź nieplanujących zbyt częstego grillowania jest grill jednorazowy. Tylko pamiętajmy o posprzątaniu po sobie.

Cena: od kilkudziesięciu do kilkuset złotych

eprasa.pl d736cb0a63

Lodówka przenośna

Był grill, to nie może zabraknąć lodówki turystycznej. Na biwak w gorący dzień jak znalazł. Oferta duża, więc jak w przypadku grilla nie powinno być problemów z dobraniem czegoś do naszych potrzeb.

Cena: od kilkudziesięciu do kilkuset złotych



Aparat natychmiastowy

Jeśli nie chcemy brać dużego aparatu fotograficznego, a zdjęcia komórką nie zawsze nam wystarczają, to może jednorazowy aparat, i to na film? A czemu nie? Wystarczy odpakować aparacik i już gotowy do robienia zdjęć. Można kupić taki z lampą błyskową czy taki do zdjęć pod wodą, z filmem kolorowym albo czarno-białym, jeśli ktoś chce poczuć klimat fotografii sprzed lat. I ważna uwaga, filmu nie wyciągamy z aparatu, tylko idziemy z nim do punktu wywoływania zdjęć – tak są skonstruowane te aparaciki. **Cena: 30-60 zł**



Saszetka podróżna

Mamy plecak, walizkę lub torbę, nie zapomnijmy o saszetce podróżnej, do której będziemy mogli schować np. dokumenty, pieniądze czy inne niewielkie i potrzebne w każdej chwili rzeczy. Spory wybór takich saszetek znajdziemy w sklepach ze sprzętem turystycznym.

Cena: 20-300 zł





Przenośny głośnik

Przenośny głośnik może się przydać, zwłaszcza gdy będziemy chcieli miło spędzić czas, słuchając muzyki. Nie trzeba zabierać całego zestawu do słuchania, wystarczy smartfon i głośnik, który sparujemy z telefonem. I można się zrelaksować przy muzyce.

Cena: od kilkudziesięciu do kilkuset złotych

Dmuchany fotel

Strudzeni wędrówkami albo po prostu mający ochotę usiąść sobie w „okolicznościach przyrody" powinniśmy się postarać o nadmuchiwany fotel, który zapewni o wiele większy komfort niż np. składane krzesełko. Wtedy można odpoczywać!



Cena: od kilkudziesięciu do kilkuset złotych

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

Fot. Shutterstock

eprasa.pl d736cb0a63



Jerzyki, Pekin i komary

Fot. Shutterstock x2



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Spośród wszystkich zwierząt na ziemi jednym z najbardziej niezwykłych jest jerzyk – tak mógłby się zaczynać opis ptaka, którego zwyczaje nadal są dla nas zagadką. Fascynujący, tajemniczy, inspirujący badania naukowców i jak żaden inny skuteczny w rozwiązywaniu naszych problemów – jerzyki są niezrównane w tępieniu komarów

Nie wiemy, dlaczego jerzyki zwyczajne *Apus apus*, gnieżdżące się w ruinach letniego pałacu cesarskiego w Pekinie, należące do tego samego gatunku, co jerzyki z Polski, odlatują na zimowiska do południowej Afryki. Obraz takiej niezwykłej wędrówki dało oznakowanie ultralekkimi lokalizatorami 31 jerzyków z Chin. Każdego roku podążają one nie na znacznie bliższe Malaje czy do Indii, lecz okrążają od północy Himalaje, przelatują nad Półwyspem Arabskim, nad trawiastymi sawannami, piaszczystymi pustyniami i tropikalnymi lasami Afryki, by spędzić krótki okres czasu na samym południu tego kontynentu, podobnie jak jerzyki z Europy. Tam i z powrotem – łącznie 26 tys. km.

Dlaczego? Nie wiemy, podobnie jak wciąż nie potrafimy odpowiedzieć na wiele pytań dotyczących szczegółów biologii jerzyków, które znane są od dawna w przypadku innych gatunków. Wciąż nie wiemy, co robią jerzyki podczas nocy, które spędzają, szybując na wysokości kilku tysięcy metrów z wyłączoną połową mózgu – jak możemy tylko przypuszczać. Zagadką są przemierzane przez nie odległości: na podstawie oznakowania niektórych osobników, które uchyliły rąbka swojej tajemnicy, szacujemy, że podczas długiego, jak na tak drobnego ptaka, życia, jerzyki przebywają kilka milionów kilometrów. Lot wydaje się sprawiać im wielką przyjemność – obserwując stada jerzyków wykonujących powietrzne akrobacje ze świstem skrzydeł, świadczącym o prędkościach dochodzących do 220 km/h, nie ma się co do tego wątpliwości. Po co jednak jerzyki są aż tak aktywne?

20 TYS. OWADÓW DZIENNIE

Wiemy, że jeden jerzyk, polując od świtu do późnych godzin wieczornych, zjada każdego dnia do 20 tys. owadów. Jego pokarmem są owady wchodzące w skład tego, co malowniczo i obrazowo nazywane jest „planktonem powietrznym" – wszystkie te drobiny, które dają się unosić ruchom powietrza.

Oczywiście to nie tylko komary – jerzyki polują na większość drobnych owadów latających. Tak się jednak składa, że przylot jerzyków do Polski i ich pobyt w naszym kraju pokrywa się z okresem aktywności komarów: jerzyki pojawiają się pod koniec kwietnia/na początku maja, a odlatują na początku sierpnia, kiedy chłodne wieczory i ranki odbierają animusz owadom.

To nie przypadek – nasze potrzeby rozwiązania problemu kąsających komarów pokrywają się z wielkimi potrzebami energetycznymi jerzyków. Dlatego przybywają do nas w okresie, kiedy owadów jest najwięcej, a jeżeli któreś spośród owadów stają się szczególnie liczne, np. komary, wówczas

eprasa.pl d736cb0a63

dieta jerzyków opiera się na tym właśnie, najliczniejszym, a dla nas najuciążliwszym, rodzaju owada.

MYŚLIWCE Z NASZEGO NIEBA

Jerzyk jest jak samolot myśliwski – niesamowite osiągi kosztują wiele energii, zaspokajanej każdego dnia masą owadów, z wielką korzyścią dla nas. Do stwierdzenia ich skuteczności nie trzeba badań. Wielokrotnie spotkałem się z prostą zależnością, którą można określić następująco: są jerzyki – nie ma komarów.

Podobieństwo jerzyków do myśliwców przejawia się także w ich zdolnościach szybkiego reagowania. W poszukiwaniu terenów łowieckich, obfitujących akurat w owady, jerzyki potrafią w krótkim czasie przemieścić się nawet o 2 tys. km. Jeżeli konieczność przemieszczenia się dorosłych ptaków w pogoni za owadami przypada na okres wychowu piskląt, młode potrafią sobie poradzić. Co absolutnie rzadkie u ptaków, spowalniają wtedy metabolizm i zapadają w rodzaj hibernacji, przeczekując głód aż do powrotu rodziców.

Trzeba jeszcze zaznaczyć, że niemal cała światowa populacja jerzyków *Apus apus* gnieździ się w miastach. Poza nimi żyją jedynie niewielkie grupy tych ptaków. Widywałem je np. w najwyższych skalistych partiach Babiej Góry – to właśnie skały są ich pierwotnym siedliskiem.

POMYSŁ WAŻNIEJSZY OD PROCHU

Kilka wieków temu, a na pewno już w okresie średniowiecza, jerzyki przeniosły się do miast. Budynki z różnego rodzaju otworami i szczelinami stały się ich nowym siedliskami. Pojawiły się dokładnie tam, gdzie są nam potrzebne, redukując liczebność nie tylko komarów, lecz również innych owadów niszczących żywność, roznoszących choroby itp.

Wracając do Pekinu: Pan Shiyi, założyciel i prezes SOHO China, jednej z największych, chińskich firm deweloperskich, o rocznych przychodach ok. 1 mld dol., wypowiedział pod koniec czerwca tego roku bardzo interesujące



słowa: „Projektujemy i budujemy budynki od ponad 20 lat. Zawsze skupialiśmy się na ludziach i na tym, jak uczynić nasze życie lepszym. W przyszłości musimy się skoncentrować na bioróżnorodności i tworzyć lepsze środowisko życia zarówno dla ludzi, jak i dla dzikich mieszkańców, takich jak pekińskie jerzyki".

ICH LOS ZALEŻY OD NAS

Ochrona i zachowanie tych niezwykłych i użytecznych ptaków są w naszych rękach – obecnie jerzyki są całkowicie zależne od miejsc lęgowych w budynkach. Największym zagrożeniem są ocieplenia i remonty budynków pozbawione przyrodniczego nadzoru, podczas których zamyka się otwory lęgowe i zamurowuje żywe ptaki. Nawet ustawienie rusztowań, jeżeli zrobi się to bez przemyślenia podczas sezonu lęgowego, może uniemożliwić dolot z pokarmem do piskląt. Dlatego wszystkie prace remontowe powinny być wykonywane pod nadzorem przyrodniczym. Zgodnie z prawem przed ich rozpoczęciem powinno się uzyskać decyzję właściwego miejscowo regionalnego dyrektora ochrony środowiska (RDOŚ), zezwalającego na odstępstwa od zakazów obowiązujących w stosunku do chronionych gatunków (takie prace mogą mieć wpływ nie tylko na jerzyki, ale i inne gatunki ptaków oraz nietoperze). Decyzja ustala też właściwą rekompensatę – np. założenie w warstwie ocieplenia budek odpowiednich dla jerzyków. Jeżeli pomyśli się o tym przed rozpoczęciem prac, ochrona jerzyków nie spowoduje żadnych dodatkowych utrudnień. Po prostu jednocześnie z pracami remontowymi, najlepiej na wschodniej lub północnej elewacji, w jej szczytowej, pionowej części, montuje się budki lęgowe. Niewielki koszt o kolosalnym znaczeniu dla przyrody i ptaków.

Wypowiedź chińskiego dewelopera idzie o krok dalej i uwzględnia potrzebę powstawania budynków, które tak jak te dawne będą siedliskami ptaków i nietoperzy. Bez tego ich liczebność, w tym liczebność najsilniej związanych z budynkami jerzyków, spadnie tak bardzo, że przestaną pełnić swoją funkcję w przyrodzie. Nowo wznoszone gmachy nie są bowiem przyjazne ptakom i nietoperzom. Brakuje w nich odpowiednich otworów, strychów i szczelin, w których mogłyby się zagnieździć.

KONIECZNY KROK DALEJ

Zakładanie budek na budynkach remontowanych, żeby zrekompensować jerzykom utracone siedliska, nie jest wystarczające, jest jedynie próbą naprawienia szkód. Próbą, bo przecież często nie wiemy, czy ptaki zaakceptują budki w miejsce zatkanych otworów, w których gnieździły się przez pokolenia. Budki zakładane u nas są z drewna lub trocinobetonu – ich trwałość nie jest długa. Kto będzie pamiętał o monitorowaniu ich stanu i wymianie? Lepsze byłyby budki ceramiczne, na razie nikt chyba jednak takich nie produkuje.

Aby zachować populację jerzyków i innych gatunków gniazdujących na budynkach we właściwym stanie liczebnym, konieczne są nie tylko działania doraźne, podejmowane jednostkowo podczas remontów i ociepleń, lecz także rozwiązania systemowe – dlaczego by nie stworzyć np. gminnych programów ochrony jerzyków? Te ptaki z pewnością na to zasługują, a my zasługujemy na ich sąsiedztwo.

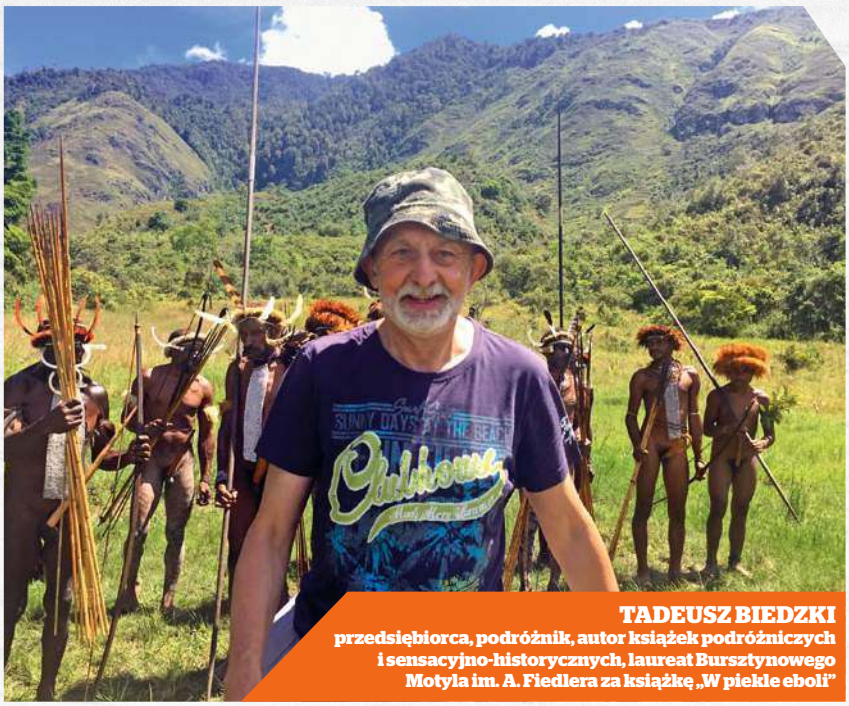
eprasa.pl d736cb0a63

Indonezja pełna tajemnic

Dlaczego swoją najnowszą książkę o Indonezji zatytułowałem „Wyspy niepoliczone”? Bo mimo nowoczesnej techniki satelitarnej nadal nie wiadomo, ile wysp tworzy ten wielki jak Europa archipelag. Stałych jest 13,5 tys., w tym 6 tys. bezludnych, ale kilka tysięcy pojawia się i znika wskutek wybuchów wulkanów, ruchów tektonicznych i zmiany poziomu wód w morzach. Jest pewne, że nikt nie dotarł i nie dotrze do wszystkich, bo jednodniowa wizyta na każdej zajęłaby 50 lat. Czy jednak nie warto próbować? Zwłaszcza że Indonezja to nadal jedno z najmniej poznanych państw świata. Nie odkrywają jej tajemnic setki tysięcy wczasowiczów przybywających co roku na Bali. Kiedy stamtąd wracają, niewiele wiedzą o tym kraju.

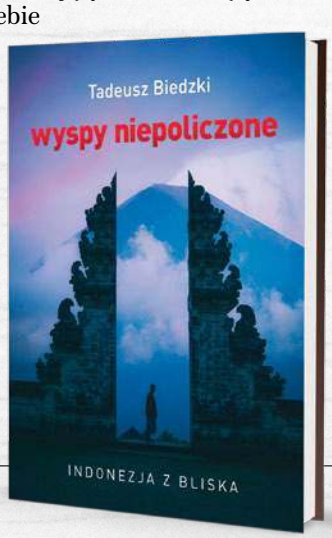
Moje wakacyjne spotkania z Indonezją oraz dwie trudne wyprawy też nie pozwoliły poznać jej w całości. Ale dotarłem do najważniejszych miejsc, które stanowią o jej obliczu. Byłem na Sumatrze, Jawie i Bali, przedzierałem się przez dżungle Borneo i niezwykłą Sulawesi, dotarłem na Flores, Timor, Komodo i na inne wyspy i wysepki, wędrowałem przez dżunglę w interiorze Nowej Gwinei.

Poznałem plemiona żyjące jak przed wiekami, wojowników i kanibali. Spotkałem łowców głów z Borneo, którzy wciąż ścinają wrogom głowy i zjadają ich serca. Uczestniczyłem w szokującym, siedmiodniowym pogrzebie Toradża na Sulawesi, odbywającym się rok po jego śmierci, i słuchałem zapierających dech opowieści o powrocie trupów do świata żywych. Byłem na jedynej w świecie wielkanocnej procesji morskiej i na takimż polowaniu z harpunnikami na wieloryby. Przepłynąłem najważniejsze cieśniny dzielące wyspy i pływałem po otaczających je morzach oraz po wielkich rzekach na łódkach, promach i niewielkich statkach. Widziałem wioski w głębi dżungli i ludzi „bez ziemi” żyjących na morzu. Zobaczyłem przepiękne Komodo, gdzie przeżyłem atak warana, tętniącą życiem jedenastomilionową Dżakartę oraz zalaną alkoholem i narkotykami Kutę na Bali.



TADEUSZ BIEDZKI
przedsiębiorca, podróżnik, autor książek podróżniczych i sensacyjno-historycznych, laureat Bursztynowego Motyla im. A. Fiedlera za książkę „W piekle eboli”

Jadłem najlepiej na świecie przyrządzoną rybę wśród biegających szczurów i łażących wokół talerza karaluchów oraz zupy, których smaku nie zapomina się nigdy. Poznałem szamanów i wodzów plemion, ortodoksyjnych muzułmanów i chrześcijan utopionych w islamskim morzu w największym muzułmańskim państwie na świecie. Spotkałem ludzi wydobywających siarkę z czynnego wulkanu, dotarłem wkrótce po wybuchu na zasypany gorącymi popiołami Krakatau i podziwiałem mieniące się kolorami rafy koralowe.



Na koniec znalazłem się w świecie Papuasów, dzikich mieszkających poza cywilizacją, żyjących tak samo jak ich przodkowie cztery tysiące lat temu. Najpierw jednak przeżyłem napad Papuasów kanibali, ale potem zaprzyjaźniłem się z nimi, poznałem ich świat, w którym funkcję pieniędzy pełnią świnie.

Indonezja to kraj wielkich kontrastów. W Dżakarcie stoją szklane wieżowce, oślepiają neony. Statystycznie co drugi mieszkaniec kraju posiada telefon komórkowy oraz internet (piąte miejsce na świecie). Na Lembacie trwa XVIII w., na Lomboku XIX, a w głębi papuaskiej dżungli żyją najbardziej prymitywne ludy świata i, mimo oficjalnych zaprzeczeń władz, wciąż zjadają ludzi, bo to stanowi sens ich życia.

Indonezja to jedno z nielicznych miejsc świata, gdzie – mając trochę odwagi – każdy wciąż może zostać odkrywcą.

eprasa.pl d736cb0a63

SŁODKO-SŁONY

Odczarujmy pietruszkę



ANNA MONICKA

Gdy ceny pietruszki dobiły do 20 zł za kilogram, warto może to drogocenne warzywo zacząć wykorzystywać inaczej niż tylko jako dodatek do włoszczyzny, odławiany po wygotowaniu z bulionu i wyrzucany. Inny kulinarny pomysł – natka – znienawidzony przez dzieciaki. Oba świadczą o naszej wybitnie małej pomysłowości w kuchni, choć czasu mieliśmy sporo, żeby wymyślić coś ciekawszego. Przecież pietruszkę znamy od kilkuset lat, tymczasem więcej przepisów znajdziemy na niemal zapomniany pasternak (ten od figi z makiem) niż na nią. Może czas to zmienić.

Pierwsza dobra wiadomość – jeśli pietruszkę kupujecie w dobrym miejscu i macie pewność, że nie jest pryskana i nawożona jakimś świństwem, możecie śmiało jeść ją na surowo. Jest pyszna, słodka i bardzo chrupiąca. Ścieramy ją na tarce jarzynowej z marchewką i jabłkiem – jeszcze ciut cytryny, oliwy, odrobina soli i gotowe. Moja ulubiona sałatka? Kroję obierakiem korzenie w szerokie, cienkie wstążki. Z dużej marchwi i dorodnej pietruszki mam całą miskę warzywnych tasiemek. Posypuję je rukolą z własnego ogródka, polewam oliwą z octem balsamicznym. Można dodać pomidorki koktajlowe. Powstaje danie, które jest pięknym i smacznym dodatkiem do obiadu, ale ja po południu jem tylko to. Albo na sałatce układam pomidory w plastrach z mozzarellą, gdy bardzo mi doskwiera głód. Pyszny obiad na upały.

Świetnie smakuje pieczona – układamy ją w naczyniu razem z marchewkami, selerem, brukwią, pociętą w talarki cukrową kukurydzą, strączkami fasolki szparagowej. Korzenie trzeba pokroić na w miarę równe kawałki. Wszystko polewamy oliwą, solimy, pieprzymy i posypujemy odrobiną brązowego cukru. Pieczemy 20 min pod folią i kolejne 10 podpiekamy, żeby cukier się skarmelizował. Podajemy z młodymi ziemniakami.

Moją ulubienicą jest zupa krem z pietruszką w roli głównej. Blanszuję białe warzywa z przewagą pietruszki i zalewam wywarem z pora, selera (całego, z nacią), lubczyku, cebuli, czosnku. Miksuję wszystko razem z ziemniaczanym purée. Podaję z groszkiem ptysiowym lub czosnkowymi grzankami. Pietruszka lubi się z gruszkami, można więc ułożyć na wierzchu plastry soczystych owoców.



WILCZYM OKIEM

Podstawa wyżywienia

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jesteśmy cudożywni. Cały czas musimy zabiegać o coś do jedzenia. Dla człowieka ważne było odkrycie kalorycznego, plennego, łatwego w uprawie i neutralnego w smaku składnika diety, który stałby się podstawą wyżywienia, „wypełniaczem", odpowiadającym nieubłaganej biologii wiecznie głodnego Homo sapiens. W Europie jest to pszenica, a od XVII w. ziemniak. Nauka wyróżnia kilkanaście roślin, które posłużyły człowiekowi jako jedzenie bazowe i wciąż pełnią tę funkcję.

W Ameryce Północnej jest to kukurydza, która wśród wszystkich zbóż zajmuje pierwsze miejsce w wielkości produkcji: w ciągu jednego, 2012 r., na całym ziemskim globie zebrano 873 mln ton kukurydzy, z czego niemal połowę w USA. Drugie miejsce zajmuje ryż, żywiący 1/3 świata.

Kolejne miejsca w wielkości produkcji zajmują pszenica i ziemniaki. Pszenica, na tle omawianych roślin, wyróżnia się niemal największą kalorycznością – 327 kcal/100 g. Bardziej energetyczne jest jedynie sorgo, będące podstawą wyżywienia w wielu rejonach Afryki i Azji, to piąta co do ważności roślina zbożowa na świecie.

W Ameryce Południowej podstawowym pożywieniem są trzy rośliny: maniok jadalny i wilec ziemniaczany, z których spożywa się bulwy (przypadku wilca znane jako bataty) oraz banany, lecz nie deserowe, ale wysoko skrobiowe plantany do gotowania lub smażenia. Plantany to dziesiąte co do ważności jedzenie bazowe na świecie. Spożywa się je także w Afryce, gdzie dla 70 mln ludzi stanowią najważniejsze źródło węglowodanów.

Dość zaskakująca na tej liście jest obecność mało znanego pochrzynu, rośliny mającej bogate w skrobię bulwy. Uprawia się go w Afryce Zachodniej, Oceanii oraz w innych wilgotnych, tropikalnych rejonach. Znany jest także pod nazwą jams (yam). Inne ważne rośliny to m.in. proso, soja, fasola, bulwy taro – podstawowy środek spożywczy w Polinezji – czy bulwy Ullucus tuberocus, żywiące ludność Andów.

Jako główne źródło energii człowiek wybrał nasiona zbóż i przeróżne bulwy dostarczające energii z węglowodanów. Po dodaniu innych roślin zapewniających witaminy, z przetworzonych lub nie wydzielin gruczołów mlecznych zwierząt, czyli nabiału, oraz różnych części ciała zwierząt powstaje kuchnia danego regionu lub kraju.

eprasa.pl d736cb0a63

Malejąca żądza jurgieltu



Wszyscy dążymy do sukcesu. Przepraszam za banał tego stwierdzenia, ale jest tu potrzebne. Bez definiowania, czym jest sukces, chyba się zgodzimy, że chodzi o realizację marzeń i planów. Pytanie brzmi: czy dla realizacji osobistych celów chcemy i potrafimy wspomagać się siłą Polski – jako państwa, kultury, gospodarki, zbiorowości? Czy wręcz przeciwnie – by zrealizować osobiste cele, chcemy, by polskie państwo, gospodarka, kultura i zbiorowość były jak najsłabsze, bo właśnie w tym widzimy swoją szansę?

W pierwszym impulsie tę drugą postawę nazywać można zdradą. Ale może zbyt łatwo dzielimy pejzaż na swoich i wrogów, zapominając, że pośrodku jest – mniejsza lub większa, ale raczej ogromna – grupa Polaków, którzy nie podzielają pełni przekonań żadnej ze stron zmagających się na politycznej arenie. I tak było zawsze.

Egoizmy osłabiające państwo pojawiły się za Piastów, wzrosły za Jagiellonów, w Rzeczypospolitej elekcyjnej zwolenników zyskiwało przekonanie, że wolność wymaga stałego osłabiania państwa. Zygmunt, potężny król największego w Europie państwa, w roku 1514 nie zdołał zebrać podatków, by wysłać wojsko na odsiecz obleganemu Smoleńskowi, miasto zdobyła więc Moskwa, rozpoczynając swój złowrogi marsz na Zachód. Pół wieku później, na sejmie egzekucyjnym, szlachta desperacko zrzekała się królewskich nadań, by tylko zmusić króla do egzekucji prawa wobec potężnych sobiepanków, którzy swój sukces odrywali od sukcesu Rzeczypospolitej.

Egoistom, głupcom i agentom udało się polską wolność oderwać od odpowiedzialności. Coraz powszechniejsze stawało się wśród Polaków przekonanie, że osobisty sukces można, a nawet warto, odnosić nie z Polską, ale wbrew Polsce. Przez cały XVIII w. tysiące Polaków odrywało swe ambicje i plany od powodzenia ich własnego państwa, zachęcanie do tego gorliwie przez agentów moskiewskiego Piotra, pruskiego Fryderyka i prusko-moskiewskiej Katarzyny. Zaraza rozlewała się mimo rozpaczliwych prób wiązania losu Polaków z losem Polski. Rosła rzesza tych, którzy rośli proporcjonalnie do karlenia Polski.

Czas zaborów i komunizmu budowały u milionów (tak, milionów niestety) Polaków przekonanie, że Polska nie jest im potrzebna. Na szczęście było wielu innych – w ich sercach, domach i działaniach kultura i wiara w Polskę się przechowały i pozwoliły na cud jej odzyskania. Ale gangrena epoki saskiej nigdy nie przeminęła, trwa do dziś i zbiera żniwo. Tysiące (miliony?) Polaków widzą swój sukces przeciw Polsce, w osłabianiu Polski, w poniżaniu polskiej kultury, dystansowaniu się od polskiej zbiorowości. Chcą wzrastać i kwitnąć na jej trupie, łasząc się do niemieckich czy innych ośrodków władzy, że dobrze Polskę sponiewierali, więc na nagrody zasługują. Niektórych nazwałbym zdrajcami, ale większości wcale nie. Oto po prostu się przyglądają, jakie istnieją „w tym kraju" skuteczne mechanizmy i drogi do sukcesu i tymi drogami chcą iść. Wyrzucanie im wszystkim zdrady jest przykładaniem kryterium etycznego do decyzji, które są motywowane nie wyborami aksjologicznymi, ale pragmatyką.

Rządy Unii Wolności, KLD, SLD, PSL i PO przez ponad dwie dekady budowały takie właśnie mechanizmy III RP, międzynarodowa „kariera" wykonującego polecenia Berlina Tuska jest zwieńczeniem i symbolem karier Polaków „kapciowych". Zabiegających nie o swoje polskie sukcesy, ale o jurgielt, czyli stałe pensje wypłacane przez zagranicznych ambasadorów. Za chwilę – mam nadzieję – wejdziemy w drugą kadencję mechanizmu dokładnie odwrotnego. Podstawą drugiej, a także trzeciej, czwartej i piątej kadencji powinna być nieustannie rosnąca samosterowność, podmiotowość, wolność połączona z odpowiedzialnością za swój dom. A więc i malejąca żądza jurgieltu.

Zdrajcy wśród Polaków byli, są i będą. Idzie o to, by nie oni wyznaczali Polakom drogę do sukcesu. Najważniejszym zadaniem polskiego państwa jest zbudowanie w Polakach przekonania, że szybszym, skuteczniejszym i trwalszym mechanizmem osobistego sukcesu wcale nie jest orientowanie się na zadowolenie zagranicznych central i oczekiwanie od nich premii, ale branie tych premii samemu z polskiego skarbca. Im więc będzie polski skarbiec zasobniejszy i bezpieczniejszy, tym więcej wypłaci sobie każdy z nas. I tym więcej w Polskę zainwestuje.

Maciej Pawlicki

23/0719/F

eprasa.pl d736cb0a63

niedziela

TYGODNIK KATOLICKI

WIARY GODNA

- Ponad 90 lat tradycji od 1926 r.
- Dociera do 80% parafii w Polsce
- 19 redakcji lokalnych
- niedziela.pl – 1,5 mln odsłon miesięcznie
- „Niedziela Młodych”
- Program TV z omówieniami
- Twoja reklama na łamach i w internecie















niedziela | Fundacja NIEDZIELA. Instytut Mediów | księgarnia niedziela | moje piękne TĘCZA w przyjaźni z Bogiem | niedziela tv | niedziela FM

eprasa.pl d736cb0a63

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Wszyscy do Sejmu?


www.wojciechreszczynski.pl

Nie stworzono żadnego mechanizmu dającego gwarancję obywatelowi ubiegania się o mandat posła niezależnie od woli partii

Konstytucyjne przepisy stanowią, że „władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do Narodu, a Naród sprawuje władzę przez swoich przedstawicieli lub bezpośrednio" (art. 4 Konstytucji RP). Przepis ten zawiera jedną z podstawowych zasad ustrojowych państwa polskiego – zasadę suwerenności, zwierzchnictwa Narodu.

A zatem to Naród, czyli wszyscy polscy obywatele, sprawuje zwierzchnią pierwotną władzę, i tylko Naród (przypomnę – pisany w konstytucji wielką literą), a nie partie polityczne ani jakieś elity, zasłużone grupy społeczne, wpływowi obywatele itd., itp. Ponieważ wszyscy obywatele nie mogą rządzić bezpośrednio i równocześnie, przyjmuje się demokrację pośrednią, zwaną przedstawicielską, jako podstawę ustrojową sprawowania przez Naród władzy. Demokracja bezpośrednia jedynie wspiera tę pierwszą, a występuje, gdy dochodzi do referendów, których mamy w Polsce kilka (lokalne, ogólnokrajowe), i to najważniejsze – referendum konstytucyjne. Próby prezydenta RP Andrzeja Dudy zaszczepienia w społeczeństwie (w Narodzie) idei tego referendum niestety nie spotkały się z większym zrozumieniem, a szkoda.

Ale już wkrótce na biurku prezydenta wyląduje, a może już jest, list tej części obywateli, którzy 26 lipca br. zawiązali w Warszawie coś na wzór konfederacji, domagając się od władz realizacji pełnej zasady suwerenności Narodu.

Czego brakuje naszej demokracji pośredniej, przedstawicielskiej, na której straży stoi konstytucja? Otóż obowiązująca w Polsce ustawa Kodeks wyborczy praktycznie uniemożliwia obywatelowi osobiste, indywidualne zgłoszenie swojej kandydatury w wyborach do Sejmu. Tym samym fikcją staje się bierne prawo wyborcze, które polega na swobodnym prawie kandydowania do organów przedstawicielskich, których mamy w zasadzie tylko dwa – Sejm i Senat. Przy okazji przypomnę, że czynne prawo wyborcze to możliwość wybierania obywateli do organów przedstawicielskich, czyli do Sejmu i Senatu.

Przedstawicielem Narodu, w rozumieniu konstytucji, nie są: członek rządu, radny dowolnych szczebli samorządu, sędziowie, ale także formalnie prezydent RP, choć posiada największy ze wszystkich obywateli wybieranych do władz mandat wyborczy, gdyż jest wybierany w wyborach bezpośrednich przez Naród, nie przez Sejm, Senat, Zgromadzenie Narodowe, jak to bywa w innych systemach demokratycznych.

A zatem tylko posłowie i senatorowie są „klasycznymi" przedstawicielami całego Narodu, nawet ci wybierani dziś z partyjnego klucza i ci, których wybrała ledwie garstka wyborców. Dowodzi tego także treść ślubowania: „Ślubuję uroczyście jako poseł na Sejm RP rzetelnie i sumiennie wykonywać obowiązki wobec Narodu, strzec suwerenności Ojczyzny i dobra obywateli, przestrzegać porządku prawnego RP".

Czy dzisiaj każdy obywatel może kandydować do Sejmu? Teoretycznie tak, ale w praktyce kandydować mogą tylko ci obywatele, którzy są członkami partii politycznych albo są wskazani przez organa tych partii. Jakże często na listach wyborczych do Sejmu, tworzonych przez partie polityczne lub koalicje wyborcze, pojawiają się znane nazwiska różnej maści celebrytów, sportowców, muzyków. To ta część Narodu, której zadaniem jest ocieplić partyjną listę, tym samym zwiększyć szansę na zwycięstwo. A co może zrobić obywatel, który nie ma znanego nazwiska, nie posiada żadnych sukcesów w kulturze ani sporcie, ale jest bardzo „upolityczniony", zainteresowany życiem społecznym, gospodarczym, w pełni predysponowany, dzięki swojej wiedzy i wykształceniu, do sprawowania zaszczytnej funkcji posła? A jeśli jest do tego osobą o nieskazitelnym charakterze, nieposzlakowanej etyce, cieszącą się zaufaniem współobywateli? Co ma zrobić, jeśli nie wyraża szczególnej chęci do występowania w partyjnej drużynie, nie ma aspiracji do odgrywania czołowych ról w partyjnych blokach startowych? Dziś nie ma takich możliwości, gdyż nie stworzono żadnego mechanizmu dającego gwarancję ubiegania się o mandat posła niezależnie od woli partii, bloków politycznych, komitetów politycznych.

Zawiązany „na rzecz przywrócenia praw wyborczych" Komitet Obywatelski prezentuje dużo racji, ale niepotrzebnie wzywa do „bojkotu niekonstytucyjnych wyborów do Sejmu prowadzonych z naruszeniem naszych niezbywalnych praw". A dlaczego nie zainteresował tym wcześniej Trybunału Konstytucyjnego? Na jakiekolwiek zmiany jest już za późno. Główne partie ustaliły już listy wyborcze. Dziś lepiej apelować o głosowanie na dobrą zmianę, bo jak zwycięży opozycja, nie będzie niczego, tym bardziej szans na realizację takich pomysłów, jak ten prezentowany przez wspomniany Komitet Obywatelski.

eprasa.pl d736cb0a63

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Sierpień



Witold Gadowski

Zawsze to samo uczucie, powrót w przeszłość głęboko odciśniętą w narodowych genach.

Na zdjęciach pozostali młodzi, dziecięcy, roześmiani – na kilka chwil przed ciosem szrapnela, przed gwałtem dokonanym łapami brunatnych ludzi w mundurach feldgrau lub przez pozbieraną na Wschodzie ukraińską swołocz. Jeszcze dumni, zawadiaccy, ich kobiety jasne, rozpłomienione... zanim przerwą im kręgosłup marzeń.

Najlepsze pokolenie, najpiękniejsi, niebaczni fantaści. Od lat spoglądam na rzedniejące szeregi białych głów tych, co ocaleli. Oni unieśli ten obraz w wyblakłych źrenicach, rozsypuje ich czas, wracają do ziemi, która skryła ich pokolenie...

Ile trzeba mieć nieuwagi, aby – zimną precyzją bezpiecznego fotela – oceniać sens ich zrywu? Mędrkować nad kadziami pełnymi zastygłej krwi. Daremnie, nienadaremnie przelana. Co zostało? Uderzenia w jądra, świst pejcza w ubeckich katowniach, upodlenie wymuszonych zeznań, czasem smród kolaboracji. Na zbitych wypuszczono sfory kałmuków srających do fortepianów, hordy śmierdzącej szarańczy, która ich wierszami podtarła sobie czerwone zady. Z rodziców bekających kiszką leberą i ciepłym spirytem zrodziło się potomstwo uczone garniturowych manier. Już trzecie pokolenie tej nalazłej tu dziczy stręczy nasze dzieci, dyktuje pozy, poucza i szpanuje.

Chcecie od nich wstydu? Wstyd umarł pod gruzami miasta, które nigdy nie zmartwychwstało. Na jego gruzach ręce tępych genseków wyrysowały nowe – koślawe – ulice, wypróżniły się „Pałacem Kultury" w samym środku tego, co było.

Przyszło nam żyć na wymiocinach Stalina, cywilizować przestrzeń, w którą wsiąkła krew najpiękniejszych dzieci. Stoimy w milczeniu, wyje syrena... i słyszę jej lament nad potrzaskanym światem, który już nigdy nie wstanie z martwych. Zawodzi nad poematami, które uwięzły w uduszonych gardłach, nad symfoniami, których pierwszym akordem był tępy trzask łamanych żeber i kula wyrywająca oddech.

Stoję na ulicy w przycichłym naraz kawiarnianym gwarze. Tamto miasto wraca w głuchym dudnieniu werbli, w opuszczonych oczach przechodniów, w drgającym uśmiechu staruszki wspartej o mur udawanej starówki.

To chwila, gdy czujesz ciepły oddech płynący z kanałów...

Nie ma słów, którymi można odmalować czas, gdy żyli, myśleli, kochali się i nigdy nie spłodzili dzieci. Nie ma słów, aby opowiedzieć im, jak ich zabrakło, jak pustkę po nich wypełnili bezwstydni donosiciele, łgarze, wszy, które wylęgły się we włosach ich martwych głów.

Nasłuchuję ich śmiechów, piosenek, opowieści o marzeniach... to tylko chwila, zanim znów pobiegnę toczyć swą kulę żuka gnojarza, na grobach bohaterów, ku tępej uciesze tych, którzy utuczyli się na ich martwych ciałach i gestach, jak larwy padlinożernej szarańczy.

Zróbcie swój festiwal



Lech Makowiecki

Jerzy Owsiak, pytany o brak przedstawicieli polskiej prawicy podczas organizowanych na Woodstocku spotkań z ciekawymi ludźmi, odpowiedział krótko: „Zróbcie swój festiwal i zapraszajcie, kogo chcecie. My zapraszamy tych, którzy mieszczą się w filozofii naszego spotkania..."

Gdyby ww. guru robił te mitingi za prywatne pieniądze (bądź z dotacji lewackich sponsorów) – sprawa byłaby oczywista. Ale to darmowa, warta majątek całodzienna transmisja Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy w publicznej telewizji (utrzymywanej z abonamentu wszystkich telewidzów) dała jego fundacji megapromocyjnego kopa! Kosztowne wsparcie logistyczne (samorządy, policja, wojsko – także utrzymywane z pieniędzy podatników) oraz zaangażowanie się w licytację serduszek spółek skarbu państwa pozwoliło Owsiakowi bić kolejne rekordy zbiórek pieniężnych; same odsetki od ww. pozwalały już na organizację największego festiwalu w Europie! I tak za pieniądze (zbierane często pod kościołami!) formatuje się dziś mózgi młodzieży na lewacką, antykatolicką, a ostatnio genderową modłę... I przy okazji zarabia krocie na sprzedaży festiwalowych gadżetów!

Pisałem wielokrotnie: największa wojna hybrydowa z tradycyjną Polską i Polakami toczy się na niwie popkultury! Ta batalia jest notorycznie przegrywana przez prawą stronę sceny politycznej. Już na starcie młodzi artyści otrzymują od mainstreamu sygnał, że wchodząc w tematykę patriotyczno-historyczną, narażą się na ostracyzm „Europejczyków". Gdy w świecie ogromne pieniądze zarabia się na opiewaniu własnej ojczyzny (i tradycyjnych wartości) – u nas sukces finansowy gwarantuje opluwanie tejże. Czy ktoś słyszał o tym, że tradycjonalista – amerykański piosenkarz country Garth Brooks – sprzedał w USA więcej płyt niż Elvis Presley?!

Dlatego namawiam rząd do wzięcia sobie do serca rady Jerzego Owsiaka i przygotowania popkulturowej riposty na najwyższym poziomie. Kultura jest najlepszym public relations idei...

eprasa.pl d736cb0a63

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Trzy kłamstwa



Aleksander Nalaskowski

Czułem się, jakby ktoś mi przypominał postacie literackie czy literacko-historyczne. Słuchałem i patrzyłem z niedowierzaniem, jak na moich oczach rodził się tercet egzotyczny, postmodernistyczny, operujący postprawdą i postetyką. Na ekranie telewizora stały trzy dorodne kłamstwa. Każde kłamstwo mówiło swoim językiem i każde było od dawna znane. Do tego stopnia, że wedle mojej logiki nikt nie ma wątpliwości, z czym i z kim ma do czynienia. Trzech politycznych trzecioligowców – Biedroń, Czarzasty, Zandberg. Cokolwiek by mówili, to i tak na czołach mieli wypisane wielkimi kulfonami: „Władzy!". Lewica już dawno nie chce chleba ani pracy. Bo pragmatyczni konserwatyści zapewniają chleba pod dostatkiem, a pracować się lewicy nie chce. Stał przede mną podstarzały cynik partyjny, na którego widok Centrum Bankowo-Finansowe opodal ronda de Gaulle'a znów się zamienia w gmach PZPR, a plastikowa palma więdnie. Wesołek w kolorowych sweterkach, aparatczyk, który wciąż czeka na swoje pięć minut. Odnoszę wrażenie, że ten człowiek to element jakiejś rekonstrukcji historycznej z czasów PRL. Czarzasty to koszmarne wspomnienie, negatywny bohater z kina moralnego niepokoju albo Wajdowego „Człowieka z żelaza". Nie udało się z Rywinem, to może teraz się uda. Chociażby poposłować, powystępować w TV. Czas ucieka, a on nadal nic nie znaczy. Ironicznie nie wypiera się swojego pezetpeerowskiego rodowodu ani dziedzictwa. Udało się Millerowi, Cimoszewiczowi, to dlaczego miałby być gorszy. Czy naprawdę żyje w Polsce ktoś, kto tego nie widzi?

Wszyscy trzej to kiczowate panoptikum, którego obecność na scenie politycznej stanowi niemałą osobliwość

Drugi to Biedroń. Dyszkancik wśród tenorów. Zawdzięczający swoją polityczną wspinaczkę upodobaniom do tej samej płci. Czy nikt nie pamięta, na czym ten facet (?) wypłynął? Jak zaczęła się jego kariera polityczna? Łamiąc prawa natury, nie można szanować tradycji, historii czy zwykłej przyzwoitości wynikającej z chrześcijaństwa. Gdy Kościół pokocha tęczowych, to on pokocha Kościół. To bohater jak z filmów o zepsuciu Francji po wielkiej rewolucji 1789 r. To współczesny markiz Donatien-Alphonse-Françoise de Sade. Jego ideałem był świat bez ograniczeń, sprowadzony do chorych popędów. Instrumentem jego rewolucji było zepsucie. Sade chciał do władzy jak dziś Biedroń. A tutaj to, co przeszkadza ciału (oprócz ubrania), jest wsteczne i kołtuńskie. Widzą to kadry mainstreamu, ale wszystko, co da się wykorzystać do walki z władzą, wykorzystają. Teraz kochają LGBT, chociaż to partia Czarzastego zafundowała homoseksualistom ubecką akcję „Hiacynt". Aby się dowiedzieć, o co Biedroniowi naprawdę chodzi, należałoby zamontować podsłuchy w jego sypialni. Tam się zaczyna i tam zmierza jego polityka. Jak sam kiedyś powiedział: „Gej ma naturę myśliwego" czy jakoś podobnie.

Przyznam, że nie rozumiem poważnego traktowania Zandberga. On chce bowiem nade wszystko władzy, bo w przeciwieństwie do kumpli z tercetu bez władzy nie istnieje. Ten człowiek to jako żywo wcielenie ideowego Paszy Antipowa z „Doktora Żywago", któremu niewiele trzeba było, aby stać się krwawym Strielnikowem. Kto nie zna, niech poczyta. Chcielibyście, aby Zandberg został ministrem spraw wewnętrznych w nowej, komunistycznej Polsce? To nie jest „ktoś", jak twierdzi mój kolega z tych łamów, to jest absolutnie nikt, to bełkotliwa próżnia. Sięgnął po język i narrację, o której młodzi już nie mają pojęcia. Dlatego jest dla nich atrakcyjna. Tak jak atrakcyjni są dla nich bandzior Che Guevara czy Lennon z „Imagine". Czy po doświadczeniach rewolucji bolszewickiej, stalinizmu, PRL i demoludów, Korei Północnej i Kuby ktoś normalny może być komunistą? Czy łagry, ubeckie więzienia, rewolucja węgierska to za mało, aby przestać pleść brednie, że „idea dobra, ale ludzie zawiedli"? Przydawanie medialnego bytu uczyniło z Zandberga widzialną wydmuszkę. Słuchając tego gościa, czuję się jak na offowym spektaklu, którego twórcy odkryli i zachwycili się Grotowskim w przekonaniu, że prezentują absolutną nowość, nie wiedząc przy tym, że starsze pokolenia już go od dawna zna. Chciałoby się więc krzyknąć: „Panie Zandberg, to wszystko już było. I tym się od pana różnimy, że wiemy, jak się skończyło". Młody komunistyczny rewolwerowiec błyska coltami, żongluje nimi, strzela do puszek, a młodsza gawiedź to kupuje i w końcu pójdzie za tym nowym Leninkiem na manowce. Powrót stamtąd jest niezwykle trudny, a bywa też bolesny.

Czarzasty puścił oko do starych kumpli. Do tych, którym obniżono emerytury, którzy nie zdążyli się dorobić na pracy w komitetach PZPR, na redagowaniu partyjnych biuletynów i wmawianiu, że czerwcu 1976 r. doszło w Radomiu do wybryków chuligańskich. Biedroń sięga po elektorat zachwycony filmami Sekielskich i Smarzowskiego, a także po „swoich". Zandberg to iluzjonista. Człowiek formatu Biedronia, którego ideowość to tylko starannie wystudiowana poza. Dla władzy zawrze pakt z diabłem. Wszyscy trzej to kiczowate panoptikum, którego obecność na scenie politycznej stanowi niemałą osobliwość.

eprasa.pl d736cb0a63

PRZEZ ŚWIETLIK

Tomy i tony



Kiedyś jak ludzie chcieli mieć psa – i nie zależało im, żeby miał arystokratyczny rodowód, był czysty rasowo – to jechali do schroniska i stamtąd brali szczeniaczka tudzież jakieś porzucone biedactwo. Właśnie się dowiedziałem, że teraz jest to dużo trudniejsze. Trzeba wypełniać jakieś papiery i się ubiegać, niektórym osobom odmawiają – np. ze względu na wiek, dochód, warunki lokalowe. Może czasem to racja, ale ciekawe jest jednak, że nawet by wziąć psa ze schroniska, trzeba utonąć w jakiejś potwornej papierologii. Papierologii wprost morderczej.

Myślę, że nie zabije nas globalne ocieplenie ani ochłodzenie, ani Putin, ani nawet chińskie telefony z technologią piątej generacji. Nie wykończą nas pestycydy, gluten ani alkohol, choć „Gazeta Wyborcza" już ogłosiła, że my, Polacy, wszyscy jesteśmy Durczokami. Papiery i procedury też nas nie zabiją. Już nas zabiły, zabrały nam życie, a przynajmniej jego dużą część. Zabijają

Papiery i procedury nas nie zabiją. Już nas zabiły, zabrały nam życie, a przynajmniej jego dużą część

kontynent i państwo. Wnioski, PIN-y, kody, tokeny. Do prowadzenia konta małej wspólnoty mieszkaniowej potrzebuję chyba z pięciu kodów, a i tak się system zacina. Prowadzenie jednych zajęć tygodniowo na uczelni wymaga godzin spędzonych nad sylabusami, rozliczeniami punktów.

Kojarzą państwo sędzię Lidię Jedynak? Kiedy piszę te słowa, jest bodajże w trakcie czytania 40. tomu. Od maja codziennie, każdego dnia po kilka godzin, czyta biedna uzasadnienie wyroku w sprawie Amber Gold. Zostało jej jeszcze jakieś 20 tomów. Wtedy ludzie dopiero poznają wyrok. Takie są procedury, że całe uzasadnienie wyroku trzeba przeczytać. Jak coś się zepsuje, nie zostanie dopatrzone, sędzia będzie czytać od nowa. Właściwie można by zacząć czas mierzyć w jedynakach albo tomach – „zdarzyło się podczas czytania 46. tomu", „urodził się w połowie 19. jedynaka". Wszystko byłoby zabawne, tyle że sędzia zamiast sądzić, pół roku spędzi na czytaniu, a ofiary pół roku dłużej będą czekały na wyrok.

Ktoś powie – tak jest wszędzie. To zmieńmy to, by u nas było inaczej. Podobno nigdzie nie ściągano VAT. U nas udało się ściągnąć. Wszyscy mieli przyjmować emigrantów, których każą im przyjąć Niemcy. My nie przyjęliśmy. W ostatnim czasie udało się w ogóle zrobić wiele rzeczy innych niż wszyscy, może pani Rózia z Brukseli płacze, ale reszta raczej na tym dobrze wychodzi. Więc zmieńmy i to. Odzyskajmy życie.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA



RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

40/0719/F

eprasa.pl d736cb0a63



Zapiski nie z tego świata

Nurkowanie do świata pełnego konfliktu, agresji i profanacji jest bolesne. Obejrzałem klip z Biedroniem, Rabiejem i malowaniem figury Matki Bożej i zrobiło mi się smutno

JAN POSPIESZALSKI

Jestem w Polsce od kilku dni i próbuję się oswajać z intensywnością naszej debaty publicznej. Przychodzi mi to z ogromnym trudem. Dozuję informacje, ostrożnie budując obraz rzeczywistości. Zaglądam jak przez uchylone drzwi na witryny internetowe. Nie jest łatwo. Po większej dawce uciekam i próbuję wrócić do stanu ducha, w jakim byłem przez ostatni miesiąc. Pewnie ominęły mnie ważne wydarzenia. Konflikt się nakręca. Mamy czas kampanii wyborczej, gdzie jedną z osi jest spór światopoglądowy. Agresywna operacja homoideologii kontra próby oporu wobec prowokacji i bluźnierstw.

Tymczasem w ostatnich tygodniach miałem szczęście doświadczyć, czym naprawdę jest żywa wspólnota Kościoła. Mocnym początkiem był wielki koncert pod nazwą „Jednego serca, jednego Ducha" w Rzeszowie. Wielogodzinne, radosne, modlitewne, muzyczne uwielbienie przeżywałem wraz rzeszą 50 tys. (!) słuchaczy-uczestników koncertu. Potem, na przełomie czerwca i lipca, wylądowałem na rekolekcjach dla ludzi kultury „Strefa chwały" w Starym Sączu. Inicjatywa skupia przede wszystkim muzyków, ale przyjeżdżają też aktorzy i filmowcy. Dni wypełniają modlitwy, pieśni uwielbienia, konferencje i nauki rekolekcyjne. Centralnym punktem programu jest oczywiście Eucharystia. Duszpasterzem „Strefy chwały" był charyzmatyczny młody kapłan Rafał Jarosiewicz – ten, który od kilku lat organizuje wielkie wydarzenia „Jezus na stadionie". Następnie podczas dwutygodniowych wakacji, wyłączając internet i komórkę, przeczytałem ostatnie książki Augustyna Pelanowskiego OSPPE, zakonnika, który wobec postulatów modernistycznych środowisk w Kościele i coraz śmielszych zakusów liberałów na Magisterium Ecclesiae, jest jakby głosem proroka wzywającego do wierności Bożemu Słowu.

Pelanowski z całą ostrością piętnuje szaleństwa modernistów, odważnie wskazując także te pochodzące z najwyższych gremiów Kościoła. Ostatnie dni lipca pracowałem zaś jako wolontariusz na warsztatach muzycznych na Białorusi. Wraz z 200-osobową grupą mniejszości katolickiej, potomkami obywateli II Rzeczypospolitej, tworzymy ogromny chór, orkiestrę i mniejsze zespoły. Kadrę warsztatów stanowią polscy dyrygenci i instrumentaliści ze środowiska muzyki chrześcijańskiej. Dni wypełnione są próbami i nauką, a wieczorem w kościele śpiewem i muzyką uczestniczymy w świętej liturgii. Po kolacji, do późnych godzin nocnych, trwają muzyczne wieczory uwielbienia. Pasja, radość, wdzięczność młodych uczestników i intensywność programu sprawiają, że nie śledzimy serwisów telewizyjnych, a koszt roamingu zniechęca do korzystania z telefonu. Ten czas, gdy mogłem zostawić zgiełk świata, by poświęcić się modlitwie, muzyce i pracy z młodymi ludźmi, był wyjątkowym doświadczeniem wspólnoty. Pieśni i psalmy we wspaniałych aranżacjach i wykonaniach brzmiały cudownie. Odzwierciedlały stan ducha, bo ożywiały je wiara, radość i przyjaźń. Ogromna w tym rola rekolekcjonistów: najpierw Rafała Jarosiewicza, a teraz ojca Tomasza Szymczaka OFMC, którzy oprócz ogromnej wiedzy i znajomości Pisma Świętego dzielili się świadectwem działania Bożego Słowa w ich życiu.

Nurkowanie do świata pełnego konfliktu, agresji i profanacji jest bolesne. Obejrzałem klip z Robertem Biedroniem, Pawłem Rabiejem i malowaniem figury Matki Bożej i zrobiło mi się smutno. Jest w tym żałosny paradoks. Materiał, który w zamyśle miał być radosną promocją, jest najzwyczajniej nudny, wręcz ponury. Pozbawiony feelingu, maszynowy akompaniament, banalna melodia i parada postaci – tworzą jakieś sztuczny świat. Silące się na wesołość twarze są tak obudowane gadżetami, maskami, okularami, fryzurami, kolczykami, jakby próbowały coś ukryć, schronić się za zasłoną. Dorośli faceci w infantylnych popisach budzą współczucie i żal, a wymuszona wesołość potęguje wrażenie niepewności i pustki. Kontrast z moim doświadczeniem z ostatnich tygodni przywodzi na myśl napięcie, jakie w rozpasanym grecko-rzymskim obyczajowym pejzażu budziły pierwsze wspólnoty chrześcijańskie. Historia pokazała, kto miał rację.

eprasa.pl d736cb0a63

Gwiazdy świecą nad polskim Woodstockiem

Znana pisarka Manuela Gretkowska, wybitny prof. filozofii Jan Hartman, 13-letnia Inga Zasowska walcząca pod Sejmem z ociepleniem klimatycznym, popularny dziennikarz Kamil Durczok (związany najdłużej z TVN, który cztery lata temu brutalnie pozbył się swojej gwiazdy), to tylko kilka wyjątkowo cenionych w polskim życiu publicznym osób spośród szerokiego grona zaproszonych gości na polski Woodstock, który przyjął oficjalną nazwę festiwal Pol'and'Rock.



Jerzy Jachowicz

– Będziemy przekonywali polską młodzież, nad jak niebezpieczną przepaścią stoi nasz kraj doprowadzony na jej skraj przez obecny obóz władzy, kierowany przez niszczyciela Jarosława Kaczyńskiego oraz Kościół katolicki – powiedziała Gretkowska podczas konferencji przed namiotem Akademii Sztuk Przepięknych, gdzie planowane są spotkania z honorowymi gośćmi. Na koniec Gretkowska zachęciła do uczestnictwa w spotkaniu z nią zatytułowanym „Gnoje odbierają nam wolność".

Tegoroczna impreza w Kostrzynie nad Odrą będzie miała wyjątkowo bogaty program pozamuzyczny. Oprócz wymienionych osób zaproszeni zostali m.in. uchodząca za artystkę Dominika Kulczyńska z Wrocławia, która poza zaplanowanym z nią spotkaniem uruchomi stoisko ze sprzedażą swojego produktu. Są nim figurki Matki Boskiej w kształcie waginy, malowanej w tęczowy wzór, nazwanej przez autorkę „Cipkomaryjką". Dochód ze sprzedaży (cena 80 zł) zasilić ma fundusz Kampanii przeciw Homofobii.

Kolejnym gościem honorowym na festiwalu jest poseł PO-KO Piotr Misiło. Krótko przed inauguracją festiwalu wsławił się tym, że symbol Polski Walczącej (kotwicę w kształcie litery P) umieścił na tle flagi LGBT. Czyżby ta wyjątkowa intelektualno-plastyczna wyobraźnia posła Misiły stała się przepustką do wyróżnienia przez zapraszającego gości Jerzego Owsiaka?

Już wiadomo, że na otwarcie festiwalu nie zdąży Inga Zasowska, jadąca autobusami z przesiadkami. Miała dojechać wspólnie z Kamilem Durczokiem jego BMW. Z niewiadomych powodów rodzice dziewczynki w ostatniej chwili zabronili jej wsiąść do auta dziennikarza.

Z CZEGO JESTEM DUMNA

Nowe śpiewanki

W jednym z poprzednich felietonów zamieściłam i promowałam hit sprzed stanu wojennego: „Wejdą, nie wejdą". Teraz proponuję śpiewankę dziecięcą z mojego pokolenia: „Mało nas, mało nas do pieczenia chleba. Tylko nam, tylko nam ciebie tu potrzeba". Tu widzę obrazek – rozpostarte ramiona Grzegorza Schetyny, Barbary Nowackiej i innych ważnych towarzyszy, którzy zapraszają w swoje gościnne progi rozproszonych członków małych partii i ugrupowań. Już się człowiek pogubił co i jak. Mało im będzie tych do koalicji i rządzenia, by zdobyć władzę i zarabiać „piniondze". Co to się w Polsce porobiło?



Katarzyna Łaniewska

Pamiętam, kiedy wojsko nasze było z tzw. poboru. Ci, którzy się mieli stawić przed komisją wojskową, robili wszystko, by jak najgorzej wypaść – samookaleczenia, opłacone oświadczenia lekarskie, przekupywanie komisji i sfingowane choroby, byle w wojsku nie służyć. Teraz młodzież garnie się do wojska. Tworzone są oddziały terytorialne, które rosną w siłę. Ochotnicy w weekendy zgłaszają się na doszkalanie – strzelanie, musztrę i dowodzenie. Tamtym kazano bronić ojczyzny naznaczonej przez Wielkiego Brata. Teraz młodzież chce stanąć i bronić ojczyzny. Dbają o pamięć o żołnierzach wyklętych. Tworzą grupy rekonstrukcyjne. Poświęcają swój czas i środki, by uszanować poprzedników. Nie tylko mężczyźni, ale i dziewczyny chcą stanąć w szeregu. Są pomocni przy klęskach żywiołowych, w rolnictwie przy zbiorach. Nie są to przymusowe czyny w służbie PRL – ja razem z kolegami ze szkoły teatralnej przymusowo jeździłam na Mazury zbierać plony.

Wynika z tego, że zaczynamy żyć w prawdzie, żyć w Polsce rozumianej jako nasza ojczyzna, którą – jak mówił Ojciec Święty – mamy szanować jak matkę. Mnóstwo młodych ludzi widzi, że dobra zmiana stara się w Polsce pozostać. Trzeba jej ognik pielęgnować, by wyrósł wspaniały płomień dobroci, prawdy i wolności. Wtedy będzie nas dużo do pieczenia polskiego pachnącego chleba, przed którego krojeniem matka zawsze na zewnętrznej stronie robiła znak krzyża. Jego też trzeba szanować.

eprasa.pl d736cb0a63

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Produkcja niewinnych

Sąd stanie przed wyzwaniem wybronienia pijanego redaktora za kierownicą



Ryszard Makowski

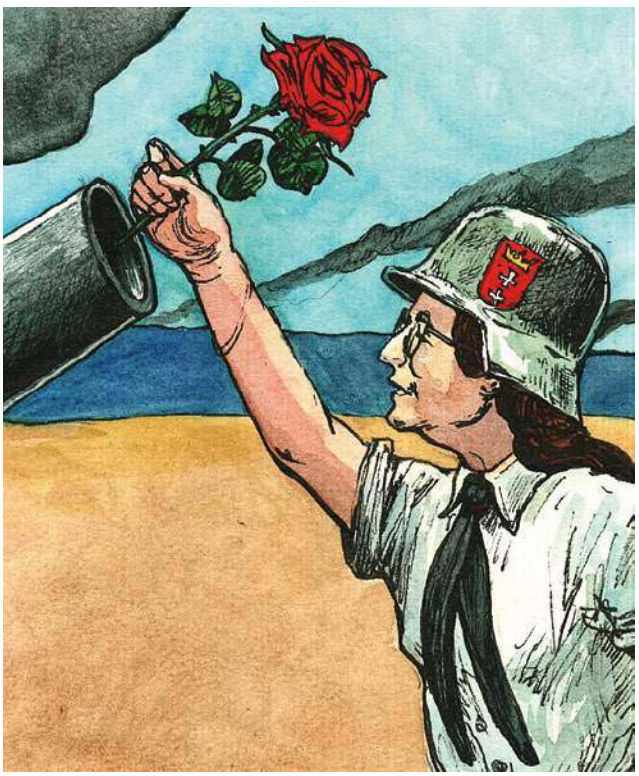
Lektora informacyjnego Kamila Durczoka zatrzymała policja. Gnał wypasioną beemwicą po robotach drogowych na A1. Był w sztok pijany. 2,6 promila, jak na kierowanie pojazdem, to ekstremum. Trafił nawet za kratki, ale sąd w Piotrkowie Trybunalskim uznał, że po wpłaceniu 15 tys. zł może wyjść i pić dalej. Na zasłużonej wolności wygłosił krótki speech: „Bardzo, bardzo wszystkich przepraszam. To są dla mnie bardzo trudne dni. Mam pełną świadomość, że to, co się wydarzyło, jest karygodne".

Kluczem jest słowo „karygodne". W przypływie emocji zdecydowanie przesadził. Nasze sądy stworzyły dla wybrańców specjalny Kodeks drogowy. Potrącenie staruszki na pasach samochodem bez badań technicznych, bez OC i prawa jazdy, nie kwalifikuje się na wyrok skazujący. Ominięcie samochodu, który się zatrzymał, by przepuścić pieszego na pasach, i spowodowanie, że 46-letni mężczyzna trafia w ciężkim stanie do szpitala, też nie łamie przepisów. Tak wychowano ludzi, że celebryckie przejechanie kogoś na pasach nie przeszkadza w zostaniu europosłem.

Kto za trzy lata, kiedy dojdzie do rozprawy Kamila Durczoka, będzie się przejmował realiami... Okaże się, że redaktor przedawkował syrop na kaszel. Wypił wiadro medykamentu i stąd promile. Pachołki na jezdni ustawiono tendencyjnie. A w ogóle to się zwyczajnie zamyślił, jaki to reżim panuje w Polsce. Tym bardziej że może akurat sądzić wyrozumiały sędzia, który wie, jak to jest być zatrzymanym za jazdę po pijanemu.

eprasa.pl d736cb0a63

***Zawistowski prezentuje:* Danzig**



Wycinki z przeszłości

„»Czy dzieci są szczęśliwe« – nad tem zagadnieniem zastanawiał się pewien znakomity myśliciel – i dowodzi, że dzieci wcale nie są tak szczęśliwe, jak ogólnie mniemamy. Że nieszczęścia swoje i cierpienia odczuwają równie dotkliwie jak dorośli i że jest wiele rzeczy uciskających ich młode duszyczki, o jakich sobie nie zdajemy sprawy. Powiada, że we wspomnieniach z dzieciństwa swego daleko więcej widzi smutnych aniżeli jasnych chwil.

Obserwacje jego w tym kierunku dowodzą dobroci serca i odwagi, gdyż dotychczas nikt przedmiotu tego nie poruszył. Zwykle lekko zapatrujemy się na tak zwane nieszczęścia i łzy dziecka, nie zastanawiając się, że pominąwszy naturalne złość i kaprysy, które są wynikiem wychowania, cierpią one może stokroć więcej, jak my, bo łzy ich są szczere, kiedy u dorosłych często... udane".



Tak pisała krakowska „Niwa Polska" w sierpniu 1910 r. Wiek ponad już od tego czasu minął, psychologia i pedagogika dziecięca rozwinęły się bardzo, a wrażliwość serca na potrzeby i cierpienie dzieci nadal w wielu domach zbyt małe ma miejsce. Po drodze nasilił się problem drugi – zupełny brak wychowania, zezwalanie na wszystko. Jak widać, nic nie zastąpi miłości i zdrowego rozsądku.

(mk)

Serce w człowieku przystaje...



Leszek Długosz

...z oczarowania, kiedy czyta te strofki. Z oczarowania miłością do tej ziemi. I z trwogi, z rozpaczliwej bezsilności, kiedy uświadamia sobie, jaki los właśnie na tej ziemi spotkał autora tych strofek.

Absolwent Liceum Krzemienieckiego, student polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim, żołnierz działający w konspiracji tam, na Wołyniu. Tak, to ten „z filmu Smarzowskiego". Rozerwany końmi przez upowskich bandytów. Jeden z najzdolniejszych polskich poetów ówczesnego najmłodszego pokolenia.

Wiersz wydobywam z opublikowanego przez PiW (pod redakcją Karola Samsela) tomiku „Wiersze zebrane". Z kolejnego zbioru poetów krzemienieckich przywracanych dopiero dziś szerszej świadomości Polaków.

Zygmunt Rumel 1915–1943
„Wołyń"

Kocham długie pagóry złotej pszenicy i żyta,
Gryki miodem pachnące i pszczelny zapach pasieki
Południem gorącem zwisłe w płachtach sinego błękitu
Daleki, senny widnokrąg zasnuty chmurami jak mlekiem

Kocham tęskniące śpiewy, kraśne zapaski robotnic
I starców, co z czapką w dłoni mówią mi „sława Bohu",
I sad za chatą, co się wiśniami stokrotni...
Kocham śpiewny, szeroki czarnoziemny Wołyń.

Jakże do ciebie nie tęsknić, ziemio sina
W poranki, a złota najzłocistsza wieczorem.
Ujęta w dróg gliniastych widłate ramiona
Lub białą linią szosy przekrajana wczoraj...

Jakże do ciebie nie tęsknić, kiedy w oczach staje
Dzień roześmiany słońcem, słomą kryte chaty
I ponad modły ludu wzniesiony Poczajów...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl d736cb0a63



OD A DO ZYBERTOWICZ

Kraina Bugu

Siedząc nad zakolem Bugu, wyrwałam się z natłoku dzisiejszych quasi-opowieści, w których coraz trudniej się połapać

Podlasie nie musi się kojarzyć jedynie z Białymstokiem i zadymami. Wystarczy wyłączyć TV i pojechać.

DO POCZYTANIA NAD BUGIEM

W Hotelu Drohickim poza typowymi ulotkami turystycznymi leżał jeszcze magazyn „Kraina Bugu".

Jakaż to odmiana, gdy porównać z kolorowymi periodykami rozrywkowymi (również tymi uchodzącymi za ambitniejsze), po które chętnie sięgamy podczas wakacji. W „Krainie..." urzekające zdjęcia, ciekawe teksty, wywiady, historie... i jeszcze można sobie czytać, dosłownie siedząc nad rzeką Bug. Jedyne, co może zakłócać magię Bugu, to niepokojąco niski stan wody w rzece.

Sama się zastanawiam, na czym w istocie ta odmienność „Krainy Bugu" polega. Może to jest po prostu tak jak z winem? Któż choć raz nie odczuł, jak bardzo na jakość wina potrafi wpłynąć sytuacja towarzysko-przyrodnicza, w której jest ono degustowane.

ŚLADY NA PLAŻY

Lekturę rozpoczęłam od rozmowy Waldemara Sulisza z wybitnym jazzmanem Włodzimierzem Nahornym.

Od tego tekstu zaczęłam, bo może przyciągnął moją uwagę wyróżniony przez redakcję fragment: „Jest taka piękna przypowieść. Ktoś narzekał: Panie Boże, zostawiłeś mnie samego. Szliśmy cały czas razem. Zostawialiśmy obaj ślady na plaży. W pewnej chwili jest tylko pojedynczy ślad. Czemu? Pan Bóg na to: Przecież wtedy Cię wziąłem na ręce".

Jakąś zwyczajną niezwyczajnością urzekła mnie ta rozmowa. Sulisz pyta Nahornego: „Jest Pan człowiekiem szczęśliwym i spełnionym?". Muzyk odpowiada: „Tak". A pytany o plany artystyczne mówi: „Ostatnio wydałem kolejną płytę. Bardzo prywatną. Siedzi facet przy fortepianiku. Po cichutku gra swoje utwory. Powolutku, bez szaleństw, bez popisów, bez fajerwerków i podskoków. I dobrze. Ludzie przychodzą na koncerty. I dobrze. To jest cudowne".

STORY

Jest jeszcze inny wywiad. Daniel Parol rozmawia z Krzysztofem Storym. Dziennikarz i podróżnik Krzysztof Story realizuje projekt „#Za Drzwiami: Polska pod jednym adresem".

Odwiedza ludzi mieszkających pod tym samym adresem, lecz w innych miejscowościach, w różnych częściach Polski. Wybrał jeden adres (pewna ulica i numer) – przypadkowy. Szuka go po całym naszym kraju. Puka do drzwi i prosi o rozmowę. Słucha i spisuje. Powstaje z tego książka.

Co już odkrył? To, „że obraz świata zamkniętego, w którym boimy się obcych, nie chcemy nawiązywać kontaktów i nie mamy na to czasu, nie do końca jest zgodny z prawdą. [...] Historie, które usłyszałem, w większości są absolutnie unikatowe". Ludzie chcą opowiadać, trzeba stworzyć im tylko dogodne do tego warunki. I jeszcze ciekawostka: „Zdecydowanie moim największym sprzymierzeńcem w podróży był rower, bo dzięki niemu dosłownie było widać wysiłek, jaki włożyłem w przyjazd do danego człowieka i możliwość rozmowy z nim". (Tu przypomniała mi się opowieść męża, któremu nieżyjący już poeta i pisarz Edward Stachura powiedział, że przyjął zaproszenie na serię występów w studenckich klubach Poznania, dlatego że mąż przyjechał doń do Warszawy z Bydgoszczy na rowerze).

MOŻNA POZNAĆ PO KWIATKACH

Znajdziemy też trudny temat: „Wołyń. Zostało tylko echo". Magdalena i Maksymilian Rigamonti opowiadają o rzezi wołyńskiej. Z fotograficznej wyprawy powstał album zatytułowany „Echo" – uznany za najlepszą książkę fotograficzną roku (2019) w konkursie Pictures of the Year International.

Opowiadają: „Kupiliśmy stary aparat. Rolleiflex. Taki z lat 40., jakim mógł ktoś fotografować wtedy, na Wołyniu. Na czarno-biały film – 12 klatek. Mało. Ale dzięki temu można myśleć, zastanawiać się, szukać kadrów. [...] Na horyzoncie człowiek z rowerem. Kłaniamy się. Zatrzymujemy. [...] Mówi, że tam dalej też była polska wieś, że można poznać po kwiatkach. Jesteśmy. Co kawałek połacie drobnych kwiatów. Siano je wokół domów. Przetrwały tylko one".

ŚWIAT Z OPOWIEŚCI

Oczywiście, że przyciągają mnie światy jakoś już opowiedziane. Okruchy Podlasia subiektywnie uchwycone. Bez zadym i wulgaryzmów.

Ale czyż nie żyjemy w opowieściach? Siedząc nad zakolem Bugu, wyrwałam się z natłoku dzisiejszych quasi-opowieści, w których coraz trudniej się połapać i których nie sposób chyba uspójnić.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | 1/0719/F

eprasa.pl d736cb0a63

Spotkajmy się w telewizji

W POLSCE PL

Oglądaj od poniedziałku do piątku od godz. 14:00

Pobierz za darmo
pierwszą w Polsce aplikację mobilną,
dzięki której porozmawiasz na żywo w telewizji
z ulubionym dziennikarzem
w nowym programie Studio Polaków.

Studio Polaków

Pobierz bezpłatnie aplikację mobilną na swój smartfon.
Wybierz system operacyjny, który posiadasz:

POBIERZ Z Google Play

Pobierz w App Store

Jeżeli nie masz możliwości zainstalowania aplikacji mobilnej - nie martw się. Możesz wziąć udział w programie poprzez kontakt telefoniczny.

Zadzwoń do nas w trakcie programu na nr. 22-463-49-99



ZGŁOŚ SIĘ DO PROGRAMU:

www.StudioPolaków.pl

PARTNERZY:

Bank Pekao

ORLEN

eprasa.pl d736cb0a63

Lato na bogato

Loteriada

Ponad 1000 nagród

Weź udział w loterii od 1 lipca do 31 sierpnia 2019 r.

Kup Lotto lub Lotto Plus oraz inną dowolną grę liczbową za min. 8 zł



2 X PIENIĄDZE NA MIESZKANIE 300 000 zł*

9 X STYLOWY FIAT 500



18 X VESPA PRIMAVERA





27 X SAMSUNG GALAXY S10+



36 X THERMOMIX



45 X HULAJNOGA ELEKTRYCZNA XIAOMI



270 X TABLET GALAXY TAB A



100 X GALAXY WATCH ACTIVE



100 X KARTA PREZENTOWA 500 ZŁ



200 X SŁUCHAWKI



200 X GŁOŚNIK

Lotto | EuroJackpot | Ekstra Pensja | Multi Multi | Mini Lotto | Super Szansa | Keno | Lotto | Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl

PAMIĘTAJ, ZACHOWAJ KUPON LOTERII PROMOCYJNEJ!

*Nagroda pieniężna w wysokości 300 000 zł z przeznaczeniem na zakup mieszkania. Z loterii wykluczone są loterie pieniężne (Zdrapki oraz Kaskada). Zapoznaj się z regulaminem na www.loteriada.pl. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 1 lipca 2019 r. do wyczerpania puli kodów promocyjnych przewidzianych przez organizatora, nie dłużej jednak niż do 31 sierpnia 2019 r. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa. W przypadku pytań skontaktuj się z infolinią dostępną pod numerem: 459 595 955, czynną 7 dni w tygodniu w godzinach 8:00 – 20:00. Koszt połączenia zgodny z taryfą operatora.

eprasa.pl d736c00a63